

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na **Święta**



FOT. JAKUB ORZECZOWSKI

**PiS wyrzucił
go z Janowa.**
Zadzwonila
księżniczka
► 20

**Cierpienie
nie uszlachetnia**
– pisze Eutanazja
Kowalska
► 16



**WYSOKIE
OBCASY**
Kura to bardzo
towarzyskie
zwierzę



MAGAZYN
wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

*Wiosny
w sercu*

życzy redakcja „Wyborczej”

Barbara
Bursztynowicz
odchodzi
z „Klanu”
po 27 latach

Słyszę, że kobiety
w moim wieku
chcą za dużo

► 4

FOT. MATEUSZ SKWARCEK / AGENCIA WYBORCZA.PL

GAZETA
wyborcza
Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198
16>
ISSN 0860-908X
9 770860 908167

Sobota-czwartek, 19-24 kwietnia 2025 | Redaktorka prowadząca **Ewa Wieczorek** | Cena gazety **13,99 zł** (w tym 8% VAT) | nr 92.10889 | Nakład 90 tys. + 302 tys. prenumerat cyfrowych

REKLAMA

Kraj/34371472

19 IV 1943
POWSTANIE W GETTOR
WARSZAWSKIM
**Łączy nas
pamięć**
.....
polin.pl

POLIN Muzeum
Historii
Żydów
Polskich

Agnieszka
Kublik

Metoda na Trumpa

Czy PiS wykorzysta ostatnie telewizyjne debaty do atakowania – niczym Trump pięć lat temu – wyników wyborów? Widać, że już szykuje się na tę sytuację. Ma pomocnika. Najcięższe działa przeciwko TVP w sprawie debaty w Końskich – choć relacjonowały ją też TVN i Polsat – wyciągnął Maciej Świrski, szef KRRiT.

Spójrzmy na kontekst. Są dwa: wyborczy i prywatny.

Świrski, wierny żołnierz PiS, osadzony przez nią w fotelu szefa KRRiT, w piśmie do Sylwestra Marciniaka, szefa PKW, wspomina o nielegalnej agitacji wyborczej. To argument, którymi PiS chce podważyć wybory w razie porażki. Bo kandydaci mieli nierówny dostęp do telewizji publicznej.

Że to Nawrocki wezwał Trzaskowskiego do debaty „jeden na jeden”, Świrski pomija. Zastrzeżeń do tego nie zgłaszał.

A gdzie kontekst prywatny? Otóż Świrski przynosi PiS arcydowód na wypadek porażki – „sam szef KRRiT w trakcie kampanii ubolewał nad łamaniem prawa przez TVP i jednego z kandydatów!” – bo jest w fatalnej sytuacji.

W krótkim czasie zapadły dwa kompromitujące go wyroki. Bezprecedensowe. WSA uchylili decyzję Rady w sprawie koncesji dla TV Republika i w Polsce24. Uznał, że prawo zostało istotnie naruszone przez Świrskiego. Niedługo potem WSA ocenił decyzję Świrskiego o zablokowaniu mediom publicznym pieniędzy z abonamentu po przegranych przez PiS wyborach jesienią 2023. I znowu porażka: to decyzja nieprawomocna.

NIK właśnie przygotował raport o KRRiT. Jest dla Świrskiego miazdzący. Zarzut podejmowania uchwał bez podstawy prawnej to tylko jeden z wielu. A lada chwila Trybunał Stanu postawi mu zarzuty – między innymi właśnie za blokowanie pieniędzy z abonamentu i blokowanie koncesji dla prywatnych nadawców. Świrski zostanie automatycznie zawieszony.

Świrski dostarcza PiS argumentu do podważenia wyniku wyborów, bo jest w fatalnej sytuacji

Nim to się stanie, wykorzysta swoją pozycję, jak mu każą. Wszelkie wątpliwości co do ważności wyborów zrodzą chaos. Bo to Sąd Najwyższy rozstrzyga o wyborach. Ale która izba? Bo przecież nie Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych. Ona w myśl orzeczeń europejskich instytucji sądem nie jest. Tylko PiS ją uznaje.

Ale odchodzący prezydent może oznajmić, że skoro nie wiadomo, kto jest prezydentem, on musi kontynuować misję. W kraju chaos prawny i rosnące skrajne emocje, a dookoła Trump w Białym Domu, Rosja prowadząca wojnę hybrydową, altrightowcy i eurosceptycy destabilizujący unijne stolice. Gotowy scenariusz na katastrofę.

Przecież Świrski to rozumie. Mimo to kontynuuje ostrzeliwanie rządzących. Obóz władzy nazwał „szajką stalinowską”, prace komisji odpowiedzialności konstytucyjnej, która bada postawione mu zarzuty, uznał za „nielegalne”. No i obiecał, że sprawy debaty nie opuszcza.

Może czas na rachunek sumienia? Takich porażek żadna KRRiT przez ponad 30 lat istnienia nie miała. Świrski cały czas pracuje na najgorsze miejsce w tej historii. ●

Andrzej rysuje

Liczba
dnia

100

TYS.
artefaktów, w tym maska pośmiertna Tutanchamona, powierzchnia większa niż w Luwrze i koszt przekraczający miliard dolarów. W Egipcie otwierają największe muzeum świata. Ma się to stać 3 lipca

Kod dostępu
do Wyborcza.plWiadomości z kraju
i ze świata
czytaj teraz na
wyborcza.plUŻYJ
BEZPŁATNEGO KODU
i bądź na bieżąco
w Wielkanoc*

66FSP5R

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp**

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl.

** Dostęp do serwisu w dniach 19-21.04.2025 r.

Cytat dnia

Nie ma takiego bólu,
który trwałby
tysiąc lat



MARIO VARGASA LLOSA

w „Szelmowstwach niegrzecznej dziewczynki”.

Ten wielki pisarz zmarł 13 kwietnia

Wielkanocna medytacja

Idealnie ugotowane jajko



FOT. GETTY IMAGES

Ma delikatnie ścięte białko oraz kremowe żółtko. Jest to metoda prawdopodobnie całkowicie nieznana szefom kuchni i kucharzom amatorom. Jedynym problemem może być czas, jaki zajmuje. Ale może to zaleta?

Zespół włoskich badaczy rozwiązywał problem, który nurtuje ludzkość od wieków: jajko ma podwójną strukturę – białko ścina się idealnie w temperaturze ok. 85 st. C, a żółtko – 65 st. C. Dlatego większość metod gotowania (na miękko, twardo, czy sous vide, gdy jajko ścina się przez godzinę w wodzie o temperaturze 63-65 st. C) to kompromis, w którym jedna z części jest niedogotowana lub przegotowana.

Włoscy naukowcy połączyli inżynierię chemiczną z wiedzą o transporcie ciepła w materiałach, by ugotować obie części jajka idealnie. Właściwą metodę zasugerowały symulacje komputerowe. Szczegóły opisali w piśmie „Communications Engineering”. Jajko należy włożyć

do garnka z wrzątkiem na dwie minuty, a potem chłodzić je przez kolejne dwie w letniej wodzie (30 st. C). Trzeba powtórzyć ten cykl osiem razy. Cała procedura trwa więc 32 minuty.

Ale efekt jest wspaniały. Wiem, bo sprawdziłem we własnej kuchni. Białko ścina się w całości, a żółtko pozostaje kremowe i aksamitne, ma strukturę gładkiego, lekko płynnego żelu, wręcz rozplywa się w ustach.

Wynika to z tego, że podczas okresowego gotowania temperatura w białku wahała się od 35 do 100 st. C, a w żółtku przez cały czas utrzymywała się na idealnym poziomie 67 st. C. Co więcej, naukowcy twierdzą, że tak gotowane jajka są też zdrowsze – żółtko zawierało więcej polifenoli (obniżają ryzyko chorób układu krążenia i niektórych nowotworów) niż w jajach gotowanych innymi metodami.

No i gotowanie w ten sposób staje się rytuałem, a rytmiczne cykle mają niemal medytacyjny charakter. ●

Piotr Cieśliński

www.nekrologi.wyborcza.pl/34371066



Pierwszy Rektor Uniwersytetu Medycznego w Łodzi

9 października 2024 roku
ze smutkiem pożegnaliśmy

Prof. dr hab. n. med.
Andrzeja Lewińskiego

dla nas Najukochańszego Męża i Tatę.

Składamy serdeczne podziękowania:

Duchowieństwu,
Przedstawicielom Ministerstw Rzeczypospolitej Polskiej,
Władzom Województwa Łódzkiego i Miasta Łodzi,
Władzom Uniwersytetu Medycznego w Łodzi
i Instytutu Centrum Zdrowia Matki Polki w Łodzi
oraz wielu innych Uczelni Polskich i Europejskich,
Przedstawicielom Towarzystw Naukowych Krajowych i Międzynarodowych,
Rodzinie,
Współpracownikom,
Przyjaciołom
oraz Wszystkim, którzy w jakikolwiek sposób
wspierali nas w tym trudnym czasie.

Prof. dr hab. n. med. Małgorzata Karbownik-Lewińska
Kierownik Katedry i Kliniki Endokrynologii i Chorób Metabolicznych
Uniwersytetu Medycznego w Łodzi

z Synami Michałem i Jakubem

Krajobraz po debatach

Nawet ja zasnąłam

Wielowieyska



Nie ulega wątpliwości, że sztab Rafała Trzaskowskiego popełnił błąd, zapraszając Karola Nawrockiego na debatę „jeden na jeden” do Końskich. Ludzie Trzaskowskiego nie przewidzieli rozwoju wydarzeń.

Formule „jeden na jeden” sprzeciwił się Szymon Hołownia i trudno się dziwić. Marszałek Sejmu postanowił się wbić na spotkanie w Końskich, nie chciał się godzić na marginalizację – i plus dla niego, bo dzięki temu mocno zaistniał na scenie kampanijnej.

Bunt Hołowni sztab Trzaskowskiego powinien przewidzieć. Wyszła z tego awantura wewnątrz koalicji, która kandydatowi KO zwyczajnie szkodzi.

I dlatego cała operacja była błędem, a w dodatku sztab stracił kontrolę nad samym wydarzeniem. W panice ogłosił na 1,5 godziny przed startem, że w takim razie na debatę mogą przyjść wszyscy. Wizerunkowo to nie był dobry strzał, delikatnie rzecz ujmując. Ostatecznie zabrakło Sławomira Mentzena i Adriana Zandberga, jeśli chodzi o czołówkę rankingu prezydenckiego. Obaj na tym stracili, bo przeważnie nieobecni tracą, jeśli abdykują z wydarzenia, które jest w centrum uwagi.

Owszem, konkurenci Trzaskowskiego ślą teraz zawiadomienia do Państwowej Komisji Wyborczej i do prokuratury, chcą analizować, kto był organizatorem debaty i czy nie złamano przepisów dotyczących finansowania kampanii wyborczej. Strona formalna nie ma jednak wielkiego znaczenia, bo nie ma zwrotu wydatków za kampanię prezydencką. Kandydat zaprosił oponentów, część przyjechała i tyle. Nie sądzę, aby wynikły z tego komplikacje prawne.

W gorszej sytuacji jest TVP, bo musi udowodnić, że żadnych kosztów w związku z debatą nie poniosła. Stare zalecenia KRR iT wskazują, że owszem, TVP może transmitować wydarzenia kampanijne, współorganizować debaty, ale powinna uwzględniać interesy wszystkich kandydatów. Wobec tego jeden ze startujących żartownisiów, Krzysztof Stanowski z Kanału Zero, wysłał do TVP prośbę, aby pomogła mu zorganizować debatę jego komitetu wyborczego. Skoro Trzaskowski poprosił i debatę miał, to Stanowski z wybranymi osobami też chce sobie podebatować w czasie największej oglądalności.

Owszem Stanowski jest jedynie supportem Nawrockiego i Mentzena, ale trzeba przyznać, że uderzył celnie. Jak TVP się zgodzi, zaraz wszyscy kandydaci przybiegną i poproszą o to samo.

●

Nie bez powodu zaraz po debacie w Końskich na koncie Donalda Tuska na X panowała cisza. Dopiero po jakimś czasie pojawił się wpis, ale mało triumfalny. Premier uważa, że sztab zawałił sprawę. We wtorek zaapelował do koalicjantów, aby podczas kampanii prezydenckiej „nie zagalopowali się” i nie doprowadzili do konfliktów, które mogłyby zagrozić przyszłej współpracy rządowej.

To prawda, że Trzaskowski nie krytykuje kolegów z koalicji, a oni Trzaskowskiego owszem. Ale można było przewidzieć, że debata „jeden na jeden” zirytuje Lewicę i Trzecią Drogą. Więc premier powinien kierować apel do wszystkich członków koalicji.

●

Po zamieszczeniu w Końskich pojawiło się pytanie, czy Trzaskowski pojawi się na debacie w TV Republika. To w końcu stacja, która jest przybudówką partijną PiS, szerzy hejt i kłamstwa.

Jeszcze w poniedziałek rano sztabowcy Trzaskowskiego obserwowali reakcje głównych mediów i konsultowali decyzję z wieloma osobami. Część uważała, że Trzaskowski powinien iść,

aby udowodnić, że nawet w najtrudniejszych warunkach sobie poradzi. Mówili, że odczarowałby siłę PiS-owskich mediów i zdemaskował ich kłamstwa. Inni uważali z kolei, że nie można nadawać takiej rangi telewizji Tomasz Sakiewicza, pompować jej zysków, a tak by się stało, gdyby faworyt pojawił się w studiu. I tym samym przyznałby, że to jest równorzędna z innymi stacją.

Przeważały względy pragmatyczne: Trzaskowski w Republice nie ma zbyt wiele do ugrania, a może wywołać irytację swoich wyborców. A debatę i tak będą oglądać jedynie zwolennicy PiS i po części Mentzena oraz dziennikarze zajmujący się polityką. To chyba trafny argument i niewykluczone, że nawet widzowie zagorziali i ci z obowiązku zawiadli. Bo ja zasnąłam, trwająca trzy godziny trzecia debata z rządu – przecież była jeszcze ta na rynku w Końskich – to nawet dla mnie zbyt wiele. A co dopiero mówić o wyborcach.

●

Często jest podnoszony argument, że Trzaskowski w 2020 r. powinien pojechać na debatę z Andrzejem Dudą organizowaną przez TVP Jacka Kurskiego, nawet jeśli mógł się spodziewać pułapek. Panuje przekonanie, że gdyby tam pojechał i pokonał Dudę, to może jednak by wybory wygrał.

Nie wiemy, jak by było, wiemy natomiast, że Jacek Kurski jest zdolny do dużych łajdactw. Ale na chwilę uznajmy, że Trzaskowski wtedy popełnił błąd. Ale warto jednak zauważyć fundamentalną różnicę między sytuacją sprzed pięciu lat a obecną kampanią.

W 2020 r. Trzaskowski był tym, który goni faworyta i to byłaby debata „jeden na jeden”. Jadąc tam, nie miałby wiele do stracenia. Dziś to Trzaskowski jest faworytem i ma do stracenia bardzo wiele. Pójście na debatę, gdzie wszyscy uczestnicy będą właśnie jego atakować, korzyści mu nie przyniesie.

●

Debatę w TV Republika obejrzałam na raty w kolejnych dniach. Stawili się Na-

wrocki, Hołownia, Mentzen, Zandberg. Oprócz Trzaskowskiego nie było Magdaleny Biejat. W części, w której kandydaci mieli zadawać sobie pytania, obiektem krytyki byli właściwie wszyscy, bo z braku faworyta trzeba było się jakoś odróżnić.

Główny ciężar wziął na siebie Hołownia, poradził sobie bardzo dobrze, bo debaty to jego domena. Z punktu widzenia lidera Polski 2050 udział we wszelkich debatach, w jakich się da, jest słuszną strategią, bo on nie ma nic do stracenia. A jego obecność w Republice działa na korzyść całej koalicji rządzącej. Wyborcy PiS doznali dysnansu poznawczego: istnieje inny świat niż ten, który wykreował Sakiewicz.

Także Zandberg, który oczywiście krytykował rząd Tuska, działał na rzecz Trzaskowskiego, bo sprawnie odbijał piłeczkę. Na przykład, gdy padło fundamentalne pytanie „ile jest plci”.

Debata trochę rozmasowała PiS-owski elektorat, osłabiła mobilizację. Też dlatego, że nie było Trzaskowskiego. Nawet pytania Katarzyny Gójskiej były niemal neutralne w porównaniu z tym, co wyrabiał jej mąż Michał Rachoń na debacie w TVP w 2023 r. przed wyborami parlamentarnymi.

Jarosław Kaczyński i sztab Nawrockiego nie byli zachwyceni efektami tego widowiska, bo choć Nawrocki radzi sobie jako tako, to jednak nadal w zestawieniu z Hołownią i Zandbergiem wypada strasznie sztywno.

Tak jak i Mentzen, który jak katarzynka powtarzał, że ma większe szanse w II turze na wygraną z Trzaskowskim niż kandydat PiS. To też Kaczyńskiemu się nie podobało, bo jednak Republika to główny kanał komunikacji z elektoratem PiS, któremu nie można podsuwać takich niebezpiecznych komunikatów.

Ale Sakiewicz akurat ma zupełnie inny cel: pieniądze, pieniądze i jeszcze raz pieniądze. On wie, że taka debata nakręca oglądalność i daje zyski. A to, kto wygra wybory prezydenckie, ma dla niego drugorzędne znaczenie. ●

Dominika Wielowieyska

REKLAMA

Kraj/34371623



OLIVIA
PULSE

APARTAMENTY INWESTYCYJNE
W BIZNESOWYM CENTRUM GDAŃSKA

Olivia Pulse to luksusowy apartamentowiec powstający w strategicznej lokalizacji Trójmiasta tuż obok największego centrum biznesowo-usługowego w Polsce.



245
apartamentów
klasy premium



15 000
rezydentów,
25 000
studentów



3
style
wykończenia
wnętrz



Profesjonalna
obsługa
operatorska

5 – MINUTOWE MIASTO

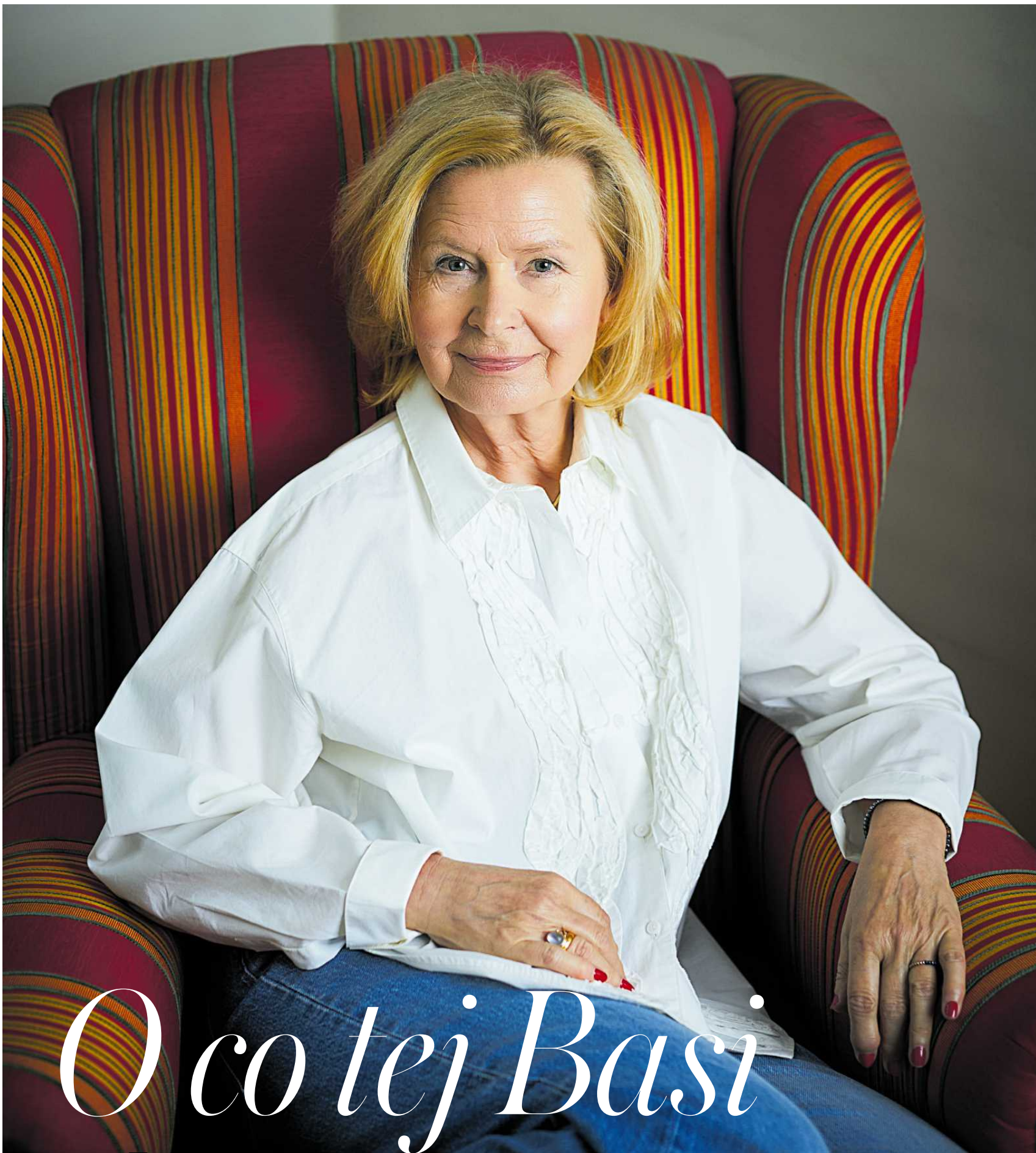
Olivia Pulse to nie tylko komfortowe apartamenty, to całkowicie nowy poziom usług, jakie Olivia zapewni rezydentom i domknęćcie klamry oznaczającej w pełni wielofunkcyjny charakter miejsca, które dziś zapewni pracę w najbardziej prestiżowych, globalnych korporacjach i dynamicznych start-upach, bogatą infrastrukturę, wyjątkową ofertę gastronomiczną i kulturalną. To miejsce do życia, pracy, rozrywki i spędzania czasu w doskonale zaprojektowanych i przemyślanych przestrzeniach.

sprzedaz@oliviahome.com
+48 533 329 756

www.oliviahome.com



Olivia
HOME



FOT. MATEUSZ SKWARCEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

O co tej Basi chodzi?

Przyznam, że od ponad dziesięciu lat nie oglądałam „Klanu”.

Z **BARBARĄ BURSZTYNOWICZ**
ROZMAWIA **DOROTA WODECKA**

BARBARA BURSZTYNOWICZ: Uprzedzę, że jestem osobą wysoko wrażliwą. Ostatnio często się wzruszam.

DOROTA WODECKA: Czy to przeszkadza naszej rozmowie?

– Nie, ale zainteresowanie moją osobą powoduje, że otwierają się we mnie tematy, których rozgrzebywania przez lata unikałam. Dopóki nie odeszłam z „Klanu”, dziennikarze pytali mnie zwykle, co ugotuję na Wielkanoc albo Boże Narodzenie. Podejrzewam, że za sprawą widzów, którzy nie mogą pogodzić się z moją decyzją, poważne media nagle uznały, że jestem kimś ważnym albo interesującym.

Mnie zastanawia pani decyzja i społeczna presja, że otworzy się pani na nowe wyzwania, co nie musi być takie oczywiste.

– Dostałam kilka propozycji pracy, które rozważam. Tymczasem chciałabym być w domu i wyciszyć się po tej historii, ale presja mediów mi nie pozwala.

Rozstanie z postacią, którą się grało przez 27 lat i z miejscem pracy, jest chyba bolesne niczym rozwód.

– Nie, ja jestem szczęśliwa, że odzyskałam wolność. Poczułam ulgę, kiedy złożyłam wypowiedzenie. Kierowały mną różne powody, o których niechętnie chciałabym opowiadać, bo uważam to za nieeleganckie.

Spędziłam z kolegami i z widzami 27 lat i nie były to tylko lata rozczarowań. Przeciwnie. Mieliśmy możliwość zagrania drugiego życia, równoległego do naszej prywatności, a zadania aktorskie, jakie wielokrotnie dostawaliśmy, pozwalały nam wyżyć się zawodowo, a nawet spełnić.

Rozczarowaniem był scenariusz?

– Jestem zbyt dobrą aktorką, żeby grać tylko „dzień dobry”, „do widzenia”, „czego się napijesz?” i tak dalej, jak to ostatnio coraz częściej się zdarzało.

Albo mieszać zupę w garnku, w fartuszkach lub bez fartuszków.

– Nie mogę się pogodzić z tym, że kobieta, którą grałam, była sprowadzona do roli tła dla mężczyzny, dzieci i wnuków. Byłam pierwszą osobą, co mówię z pełną odpowiedzialnością za słowa, która buntowała się przeciwko powielaniu patriarchalnych klisz w scenariuszu.

Z jakim skutkiem?

– Marnym. Słyszałam czasami uwagi w stylu: „O co tej Basi chodzi?”. A chodziło mi na przykład o pokazywanie, że i ona, i on wracają zmęczeni z pracy,

on kładzie się na kanapie i mówi, że coś by zjadł, a ona odpowiada, że też miała ciężki dzień, ale zaraz mu przygotowuje posiłek.

Znam domy, w których tak to wciąż wygląda.
– I czas najwyższy to zmienić. Próbowalam dotrzeć do scenarzystów, żeby im uświadomić, co mnie w mojej bohaterce dręczy, ale bez skutku.

Na początku pracy w „Klanie” wymogła pani na scenarzystach, by pani bohaterka rzuciła palenie.
– 27 lat temu jedynie ta przypadłość mojej bohaterki mi przeszkadzała, wszystko inne z radością akceptowałam. Czułam się wtedy ważna i doceniana. Potem to się zmieniło. Chociaż kiedy złożyłam podanie o rozwiązanie umowy o pracę, nagle się okazało, że telewizji bardzo zależy na mojej obecności, bo podobno jestem dla serialu tym, czym Lewandowski dla Barcelony.

Co musiałoby się zmienić w scenariuszu, żeby pani wróciła?
– Już nic. Zadzwońska do mnie scenarzystka z pytaniem, co chciałabym, żeby dla mnie napisali. „Chcę, by mój wątek godnie się skończył” – odpowiadałam. Zastanawiam się, dlaczego publiczność była tak przywiązana do mojej postaci, która rysowała się coraz bardziej jednowymiarowo i nudno. Nawet ja się nudziłam, mimo że robiłam wszystko, żeby to, co miałam zagrać, było atrakcyjne. Usilnie walczyłam z rutyną i monotonią.

Czym zajmowała się Elżbieta oprócz mieszania zupy w garnku?
– Kiedy ktoś z rodziny miał problemy, jej rola polegała na tym, by go pogłaskać po głowie, przytulić i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Nie byłoby w tym nic złego, gdyby pogłębić problem i pokazać, jakie doświadczenia życiowe stoją za jej pewnością, że będzie dobrze.
Chciałam, żeby Elżbieta w mądry sposób się czasem zirytowała na jakieś zjawisko społeczne, ale słyszałam, że nie ma takiej potrzeby, bo telenowela nie musi sięgać zbyt głęboko. Proponowałam, by skorzystać z wiedzy naukowej i zwrócić się do psychologów, którzy znają wzorce dojrziałych kobiet i mogliby podpowiedzieć, jak uciec od powierzchowności, ale może rzeczywiście moje oczekiwania były zbyt ambitne.

Właściwie przeciwko czemu mogłaby się buntować pani bohaterka?
– Miała okazję powiedzieć coś istotnego w imieniu kobiet w moim wieku, które są spychane na margines. Doceniam ich poświęcenie dla dzieci, wnuków, dla swoich starych mężów, dla rodziców. Chapeau bas. Natomiast zapomina się, że te kobiety mają życie wewnętrzne, są wykształcone i inteligentne i mają prawo siebie wyrazić i wypowiedzieć się na istotne tematy, czy to społeczne i polityczne, czy życiowe. Zdanie dojrziałych kobiet jest nieobecne w jakiegokolwiek debacie, bo świat już ich nie potrzebuje, a skoro tak, to wycofują się z tego świata, co ma swoje negatywne konsekwencje, również dla nich.

Jakie prócz samotności?
– Gdyby przyjrzeć się większości kobiet w moim wieku, to trzeba przyznać, co jest przykre, a wręcz okrutne, że uwstecniają się w rozwoju emocjonalnym i intelektualnym. Bo w społecznej ciszy nie mają możliwości wysłowienia tego, co czują. Nikt ich nie słucha. Nikt nie potrzebuje ich mądrości.

Wnuki?
– To za mało. Między wnukami i dziadkami często występuje luka pokoleniowa i nie ma partnerskiej płaszczyzny intelektualnej.
Ten, kto wymyślił Uniwersytet Trzeciego Wieku, powinien dostać Nagrodę Nobla, bo część z nas znajduje tam miejsce dla swojego rozwoju. Ale to, co mówię o prawie starszych kobiet do wyrażania siebie, jest niepopularne.

Skąd pani wie?
– Dostaje mi się czasami na Instagramie od osób, które piszą w tonie: „Stara baba i jeszcze ma oczekiwania”, albo „O co jej chodzi? Niech wreszcie odpoczywa”. Kobiety z dużych miast rzeczywiście mają sporo ofert pozwalających im się rozwijać albo choćby spotkać. W przeciwieństwie do kobiet z małych miasteczek czy wiosek.
Jedna z nich napisała do mnie. Ma 50 lat i popołudniami nie ma co ze sobą zrobić. Wszystko jest pozamykane i nie ma żadnej oferty kulturalnej. A ma, jak pisze, dużo energii, empatii i jest wykształcona. Nie oszukujmy się, „Klan” był oglądany głównie przez

prowincję, w małych miasteczkach i na wsiach, i to tam jest emancypacyjne zadanie do zrobienia.
Przypomnę, że „Klan” miał być z założenia serialem misyjnym, ale z misji chyba niewiele zostało. Może gdyby scenarzystom dano więcej swobody, gdyby pozwolono zaszaleć... Może, może? Przyznam, że od ponad 10 lat nie oglądałam „Klanu”.

Nie chcę pani urazić, ale trudno jest to oglądać. Drętwość, co wychwytuje facebookowy profil „Beka z Klanu”.
– Aktor musi mieć materiał. Co najmniej 70 proc. powodzenia, wszystko jedno, czy serialu, czy filmu, zależy od scenariusza. Nie chcę się już zbytnio rozwodzić nad jego niedostatkami w przypadku „Klanu”, chociaż jego niedoskonałości zawsze można usprawiedliwić niskim budżetem i koniecznością pisania na bieżąco.
W każdym razie, kiedy zaczęłam się nad tym zastanawiać, rozumiałam, że moja postać i ja jestem traktowane przedmiotowo.

W programie Kuby Wojewódzkiego powiedziała pani, że była spełniona w pracy 10 lat. Dlaczego nie odeszła pani wcześniej? Szło o komfort etatu i stały dochód?
– Dzięki stałemu dochodowi z „Klanu” mogliśmy żyć na dobrym poziomie, a nawet czasem pomagać kolegom aktorom, którzy stracili pracę.
Wtedy uważaliśmy, że złapaliśmy Pana Boga za nogi, i rzeczywiście chyba tak było. Miałam stały dochód i mogłam zrezygnować z etatu w teatrze. Święty spokój był poważnym argumentem.
Na początku miałam bardzo dużo dni zdjęciowych, bo moja postać była jedną z wiodących, ale od dłuższego czasu bywało ich mniej, gdyż Elżbieta stała się drugoplanową rolą, przez co praca w serialu przestała być absorbującym zajęciem. Wszystko przemawiało za tym, by w końcu podjąć ostateczną decyzję.

Co przełamało czary goryczy?
– Kilkakrotnie chciałam odejść, ale nie artykułowałam tego zamiaru. Rozważałam to w sobie i z mężem. Jacek długo mnie powstrzymywał przed podjęciem takiej decyzji, ale widział, co się ze mną działo, kiedy zbliżał się dzień zdjęciowy. Byłam niespokojna, nerwowa. Nie chciałam tam iść.

Z powodu pracy czy relacji towarzyskich?
– Miałam bardzo dobre relacje z kolegami. Byłam lubiana.

To co panią wpędzało w taki stres?
– Moja osobowość. Mówiłam, że jestem osobą wysoko wrażliwą.

Uważa pani, że to pani jest winna temu, że szła do pracy w dygocie? To typowe, że ofiary przemocy szukają winy w sobie za to, co im się przytrafiło.
– Nie wiem, czy jestem ofiarą, przecież odważyłam się odejść. Niektórzy koledzy komentują w mediach, że nie rozumieją mojej decyzji. Wiem, że nie wszystkim przeszkadza to, co przeszkadza mnie. Na przykład głośne upominanie i głośne komendy. Ja jestem bardzo wrażliwa na dźwięki.

Jakie komendy?
– „Akcja!”. Jesteśmy w małym pomieszczeniu, stoję obok, a ktoś krzyczy: „Akcja!”, jakbyśmy grali bitwę pod Grunwaldem.

Kiedys tak nie było?
– Kiedyś starałam się nie zwracać na to uwagi. Niektórym jest wszystko jedno albo mają tak wysoki próg odporności, że znoszą takie napięcia. Ja potrzebuję ciszy i skupienia. Też lubię żartować, uwielbiam ludzi z poczuciem humoru, ale kiedy pracujemy, to pracujemy. Czasami czułam się na planie bardzo samotna.

Jak pani sobie radziła, kiedy czuła, że nie pasuje do towarzystwa albo do atmosfery?
– Uciekałam w swój świat. Szłam na spacer albo znajdowałam azyl, w którym nikt mógł mnie znaleźć.
Kiedy wracałam do domu, mąż mówił: „Mów, wyrzuć to z siebie”. Jestem mu wdzięczna, że mogłam to

Barbara Bursztynowicz

• Urodziła się w 1954 r. w Bielsku Białej. Aktorka teatralna, filmowa i telewizyjna. W latach 1977–2011 pracowała w teatrze Ateneum w Warszawie. Z mężem Jackiem Bursztynowiczem i Januszem Tylmanem, pianistą i kompozytorem stworzyła kabaret liryczny „Cafe-teatr na Francuskiej” (obecnie mieści się tam Trattoria Rucola).

• Rola Elżbiety Chojnickiej w „Klanie”, emitowanej od 1997 r. tele-sadze o trzypokoleniowym rodzie Lubiczów, przyniosła jej ogromną popularność i zwycięstwo w kilku plebiscytach na najlepszą aktorkę telewizyjną. Po 27 latach zrezygnowała z udziału w produkcji. Mieszka w Warszawie.

zrobić, że mogłam po raz setny, dwusetny, tysięczny opowiedzieć o swoich przeżyciach. I Jacek to wszystko znosił.

Dlaczego czuła pani, że osoby odpowiedzialne za plan nie szanują pani pracy?
– Nie nazywajmy tego brakiem szacunku, to były raczej nieporozumienia dotyczące różnego pojmowania relacji międzyludzkich. Jestem bardzo precyzyjna i wymagam od reżysera czy operatora precyzyjnej uwagi. To wielkie szczęście dla aktora, jeśli ma do czynienia z kimś, kto nim umiejętnie pokieruje. Bo aktor jest jak delikatna struna, zwłaszcza aktorka wrażliwa, jak ja. Wystarczy delikatnie wprowadzić ją w drgania, by rozjaśniła się jej wyobraźnia. Na szczęście w zespole były też osoby myślące i czujące jak ja. Empatyczne i wyrozumiałe. Bez nich byłoby mi trudniej. Jestem im wdzięczna. Dziękuję. Praca w serialu codziennym to ciężki kawałek chleba.
Kiedy złożyłam wypowiedzenie, atmosfera na planie się zmieniła. Nagle się okazało, że może być cisza, a uwagi są bardzo wyważone. Mało tego, mogę robić pauzy w dialogu. Pomyślałam wtedy: „Mój Boże, dlaczego nie mogło tak być zawsze?”.

To jak było wcześniej?
– Wcześniej słyszałam: „Szybko, szybko”. Podstawowa uwaga brzmiała: mówimy szybko, nie robimy pauzy. A przecież ja w tej pauzie mogę coś zagrać, czyli mogę nadać sens zdaniu, które wypowiadam, albo wręcz całej scenie. Kiedy aktorka słyszy tylko uwagi: „Szybko, szybko”, to odechciewa się jej uprawiania tego zawodu.

Co jest jeszcze ważne dla pani komfortu pracy?
– Ludzie potrzebują w pracy nie tylko potwierdzenia swoich racji, swojego talentu, swoich możliwości, ale najprościej mówiąc: życzliwości. Skoro nie otrzymują potwierdzenia, że to, co robią, jest dobre, akceptowane i się podoba, to gasną. Tracą motywację.

Dostawała pani scenariusz, uczyła się go i co dalej?
– Próba jedna, druga i kręcimy. Na początku mogliśmy się sami ustawiać fizycznie w sytuacji, dzięki temu byliśmy bliżej tego, co chcieliśmy zagrać. Ale potem nie było już na to czasu. Pracowaliśmy bardzo szybko.

Reżyser mówi: „Ty staniesz tu, a ty tam”?
– Tak, ty stajesz tu, tu mieszasz zupę, tutaj podajesz, tutaj nalewasz, tu idziesz. Jeżeli tekst jest o niczym, to trzeba go zatupać czynnościami. A ja jestem ambitna i chciałabym czegoś więcej. Powinnam odejść wcześniej, ale trudno było rezygnować z wygód, do których już się przyzwyczaiłam.

Sądzi pani, że jest ofiarą ageizmu?
– Nie wiem, może. Nie chciałam o tym, co czuję, mówić publicznie, żeby nikogo nie skrzywdzić. Może to naprawdę ja jestem winna i moja wysoka wrażliwość? Bo ludzie tacy jak ja potrzebują absolutnej akceptacji. Czasami wdaję się w dyskusje, próbuję wyartykułować, co myślę o jakimś zjawisku, ale gdy pojawia się sprzeciw i zdanie diametralnie inne, to nie wiem, czy mam przekonywać kogoś do swojego, czy odpuścić. Boję się włączyć w dyskusję osób, które są nadekspresyjne w słowach i w gestach, w obawie, że pod wpływem ich agresywnie narzucanych opinii w siebie zwątpię. Dlatego najczęściej się wycofuję.

Pożegnała się pani na planie?
– Nie, nie chciałam żadnego oficjalnego pożegnania i udawania, że jest cudownie. Chciałam pozostać w swoim przeświadczeniu, że zrobiłam dobrze, że nie uległam żadnym prośbom ani zapewnieniom.

Koledzy dzwonili?
– Jedna osoba zadzwoniła.

A widzowie?
– Wzrusza mnie ich przywiązanie do mnie i do mojej bohaterki. Wzmogło się zapotrzebowanie na spotkania ze mną. Niedawno byłam w Tychach, pełna sala, 300 osób. Rozmawialiśmy o braku pomysłu na uaktywnienie dojrziałych kobiet i o tym, że często czujemy się niepotrzebne. Mój mąż uważa inaczej, bo jak twierdzi, każdy jest kowalem swojego losu.

Co nie jest prawdą, bo to, co się z tego życia wykuje, zależy chociażby od kapitału kulturowego.
– Słyszę, że kobiety w moim wieku marudzą i chcą za dużo. A my nie chcemy „za dużo”, chcemy całego świata, jak pisała Nałkowska, co w naszym wieku może być uważane za kaprys. Ja chcę jeszcze czuć się osobą potrzebną. Ja aktorka i ja kobieta.

Jaka jest dzisiaj starość kobiety w Polsce?

– Jesteśmy bardzo niedojrzałym społeczeństwem. Często starość kojarzy się z niezgodą na nią i z brzydotą. A jeśli ktoś ze starością jest pogodzony, to schodzi ze sceny, co w moim przypadku brzmi dosłownie.

Wielu starych ludzi czuje, że wciąż ma młodą duszę i jeszcze mogliby zrobić więcej niż nic, tylko że samemu nie jest to takie proste.

Czyli pogodzenie się ze starością jawi się abdykacją?

– Ja nie chcę abdykować. Nigdy. Istnieję dzięki temu, że się nie poddaję. Ja chcę żyć. Przygotowałam monodram i mam nadzieję, że się w nim spełnię. Ten tekst napisaliśmy z mężem przed pandemią, ale pracując w „Klanie”, nie miałam wolnej głowy, by się nim zająć.

Powiem teraz coś banalnego, ale jeśli ktoś nie chce zgnuśnić i mentalnie się zestarzeć, musi dbać o swój ciągły rozwój.

Ale co zrobić, gdy chcą nas usadzać w ostatnim rzędzie, mimo że kiedyś z honorami zapraszano nas do rzędu pierwszego? Podobał mi się pani felieton o waszym wtargnięciu na polski czerwony dywan.

– Przez pierwsze pięć lat emisji „Klanu” byliśmy traktowani jak zespół rockowy. Ogromna rozpoznawalność przekładała się na zapraszanie mnie na rozmaite gale wieńczące plebiscyty popularności. Z czasem jednak przesadzano nas z mężem z pierwszych rzędów do dalszych, aż w końcu dostaliśmy miejsce na balkonie. Cóż, takie są prawa show-biznesu, mówiliśmy sobie, i zapewniam, że żadna gorycz nas z tego powodu nie dławila.

Kiedy jednak okazało się, że nie możemy wejść głównym wejściem po owym czerwonym dywanie, tylko bocznym, „dla służby”, Jacek złapał mnie za rękę i nieco zdezorientowaną pociągnął za sobą do wejścia głównego. Otoczyli nas fotoreporterzy, a my pozwaliśmy do zdjęć, uśmiechając się od ucha do ucha. Tak, zagrałiśmy organizatorom na nosie, ale cóż, show-biznes jest brutalny.

Czy pani mama też chciała całego świata?

– Mama? Od niej przejęłam gesty i mimikę. I im jestem starsza, tym bardziej do niej podobna. Patrząc w lustro, widzę mamę. Tęsknię za nią.

Mama pochodziła z Wielkopolski. Moja babcia była Niemką, o czym bardzo długo nie wiedziałam, bo dorośli nie poruszali na wszelki wypadek tego tematu. W powojennych czasach w Bielsku-Białej nie można było się przyznać, że babcia była Niemką. Swoją drogą w naszej dzielnicy mieszkały Niemki, ale były zamknięte w sobie i nie odpowiadały nam na „dzień dobry”. Może nie znały polskiego? Ale nie wiem, czy to prawda, to takie moje mgliste wspomnienia z dzieciństwa.

Mama taty z kolei była Ukrainką i do tej ukraińskiej babci jestem podobna. Po niemieckiej mam zamiłowanie do pedanterii i obowiązkowości, tak zresztą wychowała mnie mama. Nie wiem, jaki jeszcze wpływ na wychowanie mojej mamy miała babcia, ale na pewno nauczyła ją podporządkowywać sobie otoczenie.

Była apodyktyczna?

– Na tym polega panowanie nad otoczeniem.

Może nie miała wyjścia?

– Może. Moi rodzice ciężko pracowali. Mama była krawcową, pracowała w spółdzielni i w domu. Nie znoszę stukotu maszyny do szycia, bo ten dźwięk słyszałam w domu na okrągło.

Ojciec wyprzedzał epokę, bo dzielił z mamą obowiązki domowe. Prał, prasował i gotował z nią niedzielne obiady. Byłam jego oczkiem w głowie, przyciągaliśmy się charakterologicznie. Czuliśmy, że jestem wrażliwa i empatyczna, ale jednak dawał mi rady, które dziś nie wydają mi się właściwe.

Jakie?

– Byłam środkowym dzieckiem, a to oznaczało, że zwykle dwójka jest przeciwko środkowemu. I ojciec mówił: „Ustąp, bądź mądrzejsza”. A ja chciałam być mądrzejsza, chciałam być tą, która realizuje polecenia



FOT. ARTUR RADZKO / JULIAN SZCZERKOWSKI / TVP

• **Rok 2006. Wigilia w „Klanie”.** Elżbieta Chojnicka (Barbara Bursztynowicz) z rodziną: ojcem Władysławem Lubiczem (śp. Zygmunt Kęstowicz), córką Beatą (Dorota Naruszewicz), zięciem Jackiem (Tomasz Bednarek) i mężem Jerzym (Andrzej Grabarczyk)



nia rodziców. Bardzo byłam karna, a może powinienam była się buntować?

Środkowym dzieciom wydaje się, że jeśli będą perfekcyjne, to zasłużą sobie na miłość i uwagę. Znam taką dziewczynkę.

– Trudno mi teraz zapanować nad wzruszeniem, bo wchodzę w skórę dziewczynki, o której pani mówi. Tak. Chciałam zasłużyć. Byłam tą mądrzejszą i byłam chwalona.

Przytulana?

– Mama nie lubiła się przytulać. Mówiła: „Nie płaczemy, nie płaczemy”, więc byłam dzielna. Opowiadała mi, że cały czas trzymałam się jej spódnicy, a kiedy już trzeba było ją puścić, to trzymałam się mojej siostry. W sensie dosłownym.

To znaczy?

– Chodziłyśmy za rękę, ale to nie ona ze mną, tylko ja z nią. Zawsze się chowałam za nią. Jeśli mi się gdzieś zapodziało, to dostawałam hysterii. Kiedy jeździliśmy na kolonie i nas rozdzielano do różnych grup, bo między nami jest różnica dwóch lat, to płakałam, dopóki mnie nie przenieśli do grupy mojej siostry. Ale bywało tak, że rodzice musieli przyjeżdżać po mnie.

Rozwiedli się, kiedy dostała się pani na studia.

– Po latach wrócili do siebie, o co ojciec długo zabiegał. To my z siostrą odkryłyśmy jego romans, świat nam runął, ale nie powiedziałyśmy mamie. W tamtych czasach było wiele tajemnic i tematów tabu, których należało dochować. Mówiło się nam zawsze, by nie mówić w szkole tego, co się dzieje w domu, i odwrotnie. Kiedy skarżyliśmy się rodzicom na niesprawiedliwość nauczyciela wobec nas, to mama mówiła, że to on jest autorytetem i na pewno nie mamy racji.

• **Ekipa „Klanu” obchodzi 10. urodziny telenoweli.** Barbara Bursztynowicz kroi tort, obok Izabela Trojanowska i Piotr Swend oraz Paweł Karpiński (od 1997 r. reżyser serialu) i Andrzej Strzelecki. Siedziba TVP na Woronicza, 14.11.2007.

FOT. ALINA GAJDA-MOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Gdy pani myśli o swoim domu, to jaki obraz się w pani pojawia?

– Przede wszystkim zapach. Kiedyś domy pachniały powietrzem i za tym zapachem tęsknię. Jeśli tylko poczuję powiew świeżego wiatru, nie mogę się nawdychać, bo to jest jak powrót do dzieciństwa. Kiedy poznałam Jacka, najbardziej mnie uderzyło to, że on pachnie powietrzem.

Pani dom na Saskiej Kępie jest jak wyjęty z planu filmu o seniorach wielopokoleniowego rodu. Stare, masywne meble, obrazy, porcelana...

– Portret nad fortepianem przedstawia mamę Jacka. Była śpiewaczką operową. Meble i porcelana też są po jego rodzicach. Mojego nic tu nie ma. Nie miałam nic takiego w rodzinnym domu, do czego byłabym tak przywiązana, że musiałabym to nosić ze sobą do końca życia.

Pobraliście się na czwartym roku studiów.

Wspomina pani to szaleństwo?

– Szaleństwo? Bez przesady. Byłam dumna. Moja mama powtarzała nam, byśmy nigdy nie zabiegały o chłopaka i nie okazywały, że nam na nim bardzo zależy. To nie była miłość od pierwszego wejrzenia. Zakochiwałam się w Jacku powoli.

W zbiorze felietonów „Jak w życiu” napisała pani taki: „Rano/ Budzę się/ Otwieram oczy/ Siwa głowa na poduszce obok/ I co z tego, że się zestarzeliszy”. Naprawdę, nic to?

– Miłość to ewolucja, a to, co było na początku, dzieli przepaść od tego, co jest teraz. Dzięki miłości dojrzejemy, poznając siebie nawzajem. Miłość to akceptacja. Kiedy poznałam Jacka, był szalenie przystojny, inteligentny i błyskotliwy i to w nim zostało. Mówi, że rozmowa jest sensem życia, a my bardzo dużo ze sobą rozmawiamy. W odbiorze świata jesteśmy dwoma przeciwnymi biegunami, ale Jacek zaczyna rozumieć moją przypadłość, jeśli wysoką wrażliwość można nazwać przypadłością. On też zresztą jest wrażliwym człowiekiem.

Jakie są jej plusy?

– To jest odwieczne pytanie, czy to przekleństwo, czy dar od Boga. W obecnym momencie mojego życia stawiałabym bardziej na przekleństwo niż na dar. Ale nie żałuję, że czuję więcej i głębiej i widzę więcej. My wrażliwcy jesteśmy potrzebni światu.

Czytacie między zdaniem, prawda?

– Tak, czytając ludzi, przejmując ich radości i smutki, co jest też niewątpliwie przydatne w aktorstwie. Jacek mówi, że dzięki temu, iż mam taką wrażliwość i wyobraźnię, mogę wzbogacać moje role o wiele psychologicznych niuansów. Mam nadzieję, że mój monodram, który jest również opowieścią o osobach wysoko wrażliwych, da mi możliwość zaprezentowania w pełni moich aktorskich możliwości.

Aktywność zawodowa to jedyny sposób, by nie dać się frustracji i nie pozwolić życiu usadzić siebie na drugim balkonie w ostatnim rzędzie?

– Mnie stymuluje do życia przyroda. To banał, ale jestem egzaltowana na jej punkcie. To może być drobniaczek, jak unerwienie liścia, maleńki fragment natury, tak maleńki, jak niepozorna jest moja obecność we wszechświecie. I w poczuciu tej nieznacności przyglądam się sobie, zwierzętom i innym żywym istotom. Czuję, że są mi bliskie niczym rodzinna. Ta bliskość daje mi spokój i wytchnienie. ●

**Mama nie lubiła się przytulać.
Mówiła: „Nie płaczemy,
nie płaczemy”**

Stoliku, wywróć się

Wizja tego, że gdzieś przy pokrytym zielonym suknem meblu siedzą starzejący się politycy, kupcząc Polską, przyciąga młodych wyborców.



Marcin Matczak

W kampanii prezydenckiej raz po raz ktoś mówi o stoliku. Sławomir Mentzen chce go wywracać, Szymon Hołownia do niego zaprasza, zaprzeczając, że jego udział w debatach w TV Republika tym stolikiem chwije. Grzegorz Braun chętnie odpawilby nad nim mszę w rycie łacińskim, a Karol Nawrocki wałnaby w niego pięścią, naśladowując najlepsze miny Dudy. Nie jest do końca jasne, co o stoliku myśli Rafał Trzaskowski – oprócz tego, że chciałby przy nim usiąść i porządzić, oczywiście w stopniu, w jakim u nas prezydentowi rządzić wolno.

Młodzi gniewni*

Gdzie jest ten stolik i dlaczego nie może spokojnie stać? Może to echo historii, w której założyciel chrześcijaństwa upłócił bicz ze sznurków i wyrzucił kupców ze Świątyni Jerozolimskiej, wy-

wracając ich stoiska? W końcu, jak mówią, kiedy przewrócisz taki stolik, przez chwilę monety, które z niego spadną, należą do wszystkich.

Wizja tego, że gdzieś przy pokrytym zielonym suknem meblu siedzą starzejący się politycy, kupcząc Polską, przyciąga młodych wyborców, którzy w Mentzenie widzą Chrystusa, w bożym gniewie rozganiającego PO-PiS na cztery wiatry. Warto nad tym pragnieniem się pochylić, bo prawdopodobnie zdecyduje ono, jeśli nie o tych, to o następnych wyborach.

Wywrócić stolik chcą, co jasne, ludzie sfrustrowani. W tym destrukcyjnym impulsie jest jakieś pragnienie sensu w świecie, który jawi im się jako bezsensowny.

Chaos przyciąga tyranów

Dorastają ci wywrotowcy w rzeczywistości, w której tradycyjne narracje – religia, patriotyzm, poświęcenie dla innych – zostały wyjąłowo nie lub skompromitowane. Szkoła nie uczy marzyć, polityka nie budzi szacunku, praca nie daje dumy. Pozostaje pustka codzienności: konsumować, rywalizować, przetrwać.

Naturalne staje się więc pragnienie sensu radykalnego: „Skoro nic nie ma wartości, to rozwiąłmy wszystko, może wyłoni się coś prawdziwego”. To głęboko ludzkie pragnienie. Ale i niebezpieczne, jeśli nie zostanie świadomie przepracowane.

Destrukcja zastępuje działanie i daje natychmiastową iluzję siły:

„Patrzcie, wywróciłem coś, co wydawało się niewywracalne. Teraz wszystko się zmieni!”. To jednak pusty gest. Po krótkim triumfie następuje chaos, a chaos przyciąga nie twórców, ale tyranów.

Wywrócenie stolika nie jest początkiem zmiany – jest oddaniem pola silniejszym od siebie. Konfederaci, najczęściej mówiący o stoliku, świetnie nadają się na jakobinów – kuszą wolnością, w zanadru skrywając wizję moralnego wzięcia ludzi za twarz. I złapią nas za nią, jak tylko będą mogli.

Rewolucjonista myśli, że zniszczy system i sam stanie się twórcą nowego ładu. W rzeczywistości pustkę po wywróceniu wypełniają ci, którzy mają plan podporządkowania, a nie wyzwolenia. Każda wielka rewolucja bez pozytywnego projektu kończy się terrorystyczną dyktaturą. To nie przypadek. To mechanizm.

Wernyjama miast Wernyhory

A może ten stolik to skarlała wersja stołu z „Wesela” Wyspiańskiego, tyle że nie siedzą przy nim dzisiaj chłopci z inteligencją, ale starzy z młodymi? Tak samo się nie rozumieją, podobnie udają, że jeszcze można kruchą wspólnotę utrzymać. Ale nikt nie ma na to dobrego planu.

Wernyhory brak albo raczej różni próbują go podrabiać. Jeśli przyjąć, że to imię znaczy nie tylko prorocze, Mojżeszowe „wracanie

z góry”, ale i przywracanie czegoś, co jak góra wielkie, mamy wielu dziś kuglarzy, którzy chcą uczynić Polskę znowu wielką. Ich metoda wskazuje, że skończy się to źle – nie jednością, ale rozbiciem, nie otwartością i zrozumieniem, ale zamknięciem i ksenofobią. Zamiast Wernyhory będzie Wernyjama – powrót do dziury zamiast powrotu na szczyt.

Dokąd wiedzie trzecia droga

Zwróćcie uwagę, że młodzi ludzie nie widzą trzeciej drogi ani w Trzeciej Drodze, ani w lewicy. Szymon Hołownia jest dla nich za delikatny, bo nie obija pyska przeciwnikom jak nadpobudliwi liderzy Konfy. Lewica jest dla nich zbyt rozlazła, zbyt relatywistyczna. Nie ma w swoim menu niczego, co mogłoby zaspokoić głód zakorzenienia. A ten jest spory w świecie postrzeganym jako egzystencjalnie niepewny.

W takiej sytuacji tradycja i surowe zasady wydają się oferować stabilność, coś trwałego w świecie, w którym wszystko jest ruchome. Prawica nacjonalistyczna sprzedaje dziś prostą obietnicę: „Wracamy do jasnych reguł. Wiadomo, kto jest kim. Wiadomo, co robić”. Co z tego, że to obietnica fałszywa, skoro tak atrakcyjna.

Takiej atrakcyjności nie zastąpią ani prezydenckie kredyty, które oferuje młodym Rafał Trzaskowski, ani darmowe lekcje nauki jazdy, które chce im dać kandydat PiS.

Nic nie da chowanie flagi pod stół

Trzeba wizji antykonfederackiej, gorącej pod względem wartości. Skoro było o Wernyhorze, dobrym przykładem jest tu relacja z Ukrainą. Nie ma już w przestrzeni publicznej tego ognia sojuszu z 2022 roku, gdy wydawało się, że razem walczymy z ruskim imperium zła.

Zamiast braterstwa jest antyukraińskość Konfederacji. Znowu okazało się, że nienawiść łatwiej jednoczy niż solidarność. Ale czy tak musi być? Może po prostu liderzy liberalni zaniedbali potrzebę wielkiej narracji i mówią o rzeczach mniejszych. Zapomnieli, że nic tak nie przywraca sensu w płynnym świecie jak porywająca opowieść.

Jeśli wywracanie stolika jest tak kuszące, trzeba równie kusząco uzasadnić, że on powinien jednak stać. Na każde dictum Konfederacji trzeba odpowiedzieć. Na ich antyukraińskie szczucie powinno odpowiedzieć proukraińskie współczucie – i nowe wezwanie do walki z Putinem i jego orkami. A odpowiada kłopotliwe milczenie. Na ich: „Będiesz nienawidził bliźniego swego jak siebie samego” musi paść odpowiedź: sensowna hierarchia wartości, nie płynność.

Jeśli liberalizm nie narzuci opowieści porządkującej świat, przegra z zamordyzmem. Nic nie da chowanie jakiejś flagi pod stół – trzeba na blacie postawić swoją i nie może być ona biała. ●

*śródytuły od redakcji

Mnożenie razy pięćset plus

Można więc powiedzieć, że cła, którymi teraz straszy świat prezydent Stanów Zjednoczonych i które grożą globalnym kryzysem – są pomysłem fikcyjnego eksperta.



Michał Rusinek

Prezydent Donald Trump postanowił zatrudnić doradcę ekonomicznego. Poprosił swojego zięcia Jareda Kushnera, by znalazł mu kogoś odpowiedniego na to stanowisko. Przedtem przedstawił mu swoje dość mgliste poglądy na gospodarkę, sprowadzające się do stwierdzenia, że Chiny są złe, a on – Trump – jest w kwestiach gospodarczych twardzielem.

Tak przynajmniej twierdzi dziennikarka telewizyjnej informacyjnej MSNBC Rachel Maddow. Kushner przyjął dość nieortodoksyjną metodę szukania rzeczzonego doradcy. Wszedł na stronę internetowej księgarni Amazon i zaczął szukać książek, które zawierałyby w tytule to, na czym zależało Trumpowi. Uwagę jego przykuł wstrząsający tytuł „Śmierć z rąk Chin” („Death by China”); współautorem tej publikacji był niejaki Peter Navarro, ekonomista o – delikatnie mówiąc

– radykalnych i ekstrawaganckich poglądach. Zadzwonił do niego i przekonał go, by dołączył do zespołu doradców Trumpa.

W swoich publikacjach Navarro propaguje tezę, że dobrą polityką dla Ameryki będzie wprowadzenie cła, zwłaszcza wobec znienawidzonych Chin. Powołuje się przy tym na zdanie „uznanego, międzynarodowego eksperta do spraw handlu i inwestycji” nazwiskiem Ron Vara, doktoranta na Harvardzie. Ekspert ten jest autorem wielu złotych myśli, np. „trzeba być szalonym, żeby jeść chińskie jedzenie” lub „tylko Chińczycy potrafią przerobić skórzaną sofę na wannę z kwasem, łóżeczko dziecięce na śmiercionośną broń, a baterię telefonu komórkowego na ładunek wybuchowy”.

Gdy Trump objął urząd prezydenta, członkowie jego administracji otrzymali notatkę analityczną autorstwa Rona Vary, w której wyrażał on poparcie dla wprowadzania radykalnych cła jako nowej strategii gospodarczej USA. Okazało się jednak, że Ron Vara nie tylko nie figuruje na liście doktorantów Harvarda, ale i w ogóle – nie istnieje. Przyznał to najpierw współautor książki „Śmierć z rąk Chin” Greg Autry, a później i sam Navarro. Tłumaczył on, że to taki żarcik: „pseudonim, którego używałem przez lata w celu wyrażania opinii i w celach rozrywkowych”. Łatwo zauważyć, że Ron Vara jest anagramem nazwiska Navarro.

Można więc powiedzieć, że cła, którymi teraz straszy świat prezydent Stanów Zjed-

noczonych i które grożą globalnym kryzysem – są pomysłem fikcyjnego eksperta. Brzmi to jak fabuła wiejskiej komedii. Jeśli dolożymy do niej jeszcze wątek nałożenia cła na terytoria zamieszkiwane wyłącznie przez pingwiny i foki – wyspy Heard i McDonalda, położone nieopodal Antarktydy – wartość komiczna komedii nieco wzrasta, ale i tak po jej obejrzeniu będziemy chcieli jak najszybciej o niej zapomnieć. A tu się nie da.

My, Polacy, możemy za to powspominać stare, dobrozmiarowe czasy, kiedy to minister spraw zagranicznych chciał spotkać się z ministrem nieistniejącego kraju San Escobar. Zaznaczmy jednak, że spotkanie to nie miało na celu wprowadzenia cła na produkty importowane z San Escobar, ale zdobycie przychylności władz tego państwa dla wniosku o kandydaturę Polski jako członka Rady Bezpieczeństwa ONZ.

Możemy też przypomnieć sobie niedawne odkrycie dziennikarzy, że Karol Nawrocki powołał do życia fikcyjną postać Tadeusza Batyra, którego pisarstwo wychwalał, i który rewanżował się komplementami pod adresem Nawrockiego. To zapewne przypadek, że nazwisko „Nawrocki” brzmi jak spolszczenie hiszpańskiego czy raczej iberoamerykańskiego nazwiska „Navarro”, ale przypadek, który wygląda, jakby był z wiejskiej literatury rodem. Szkoda, że Nawrocki po prostu wymyślił sobie pseudonim.

Gdyby chwilę pomyślał, mógłby nadać fikcyjnemu autorowi książki o Nikosiu nazwisko będące anagramem własnego, jak na przykład swojsko brzmiący „Karwocin”, onomatopeiczny „Warkocin”, czy rockandrollowo dudniący „Rockwina”. A gdyby dołączył jeszcze własne imię, jego pseudonim mógłby brzmieć „Koralnik Cowar”, lub – z krakowska – „Krak Lowarconi” czy „Coril an Krakow”. Moja znajoma mistrzyni anagramów, pani Marta, podpowiada jeszcze: „Kocia norka w RL”, „C.K. Krowa na roli”, „R. Kilka wron, a co!”, „Kociara L. Krown” oraz mój ulubiony: „O.R. Clown Iarka K.”. Dość!

Nie miejmy jednak kompleksów wobec Stanów Zjednoczonych. Owszem, rządy Trumpa pod wieloma względami wyglądają jak rządy PiS-u na sterydach, czyli podobnie, ale o wiele bardziej. O ile bardziej? To nawet można obliczyć. Przecież nas akurat nie dziwi, że Trump wprowadził możliwość kupowania sobie amerykańskiego obywatelstwa, skoro za PiS-u sprzedawano polskie wize. Tyle że sprzedawano je po cichu i tylko za 10 tys. euro, a Trump ogłosił z przypływem, że złota karta (z jego wizerunkiem) gwarantująca obywatelstwo USA kosztuje 5 milionów dolarów. Jestem przekonany, że takich analogii będzie jeszcze sporo. Jeśli teraz Amerykanie zachodzą w głowę, co jeszcze im zafunduje prezydent, polecam, żeby zajrzeli do historii Polski z lat 2015-2023. I te kurioza, które znajdują, przemnożyli sobie razy pięćset. Albo nawet pięćset plus. ●



Kryptowaluty, podatki, kandydat Konfederacji i jego brat

ZAPYTAŁEM MENTZENA O INTERESY

Piotr Głuchowski

Pytanie o źródła okazałego majątku oraz relacje z toruńsko-bydgoskimi macherami od hazardu i kryptowalut chciałem zadać Sławomirowi, starszemu i sławniejszemu z dwóch braci Mentzenów, od czasu, gdy w 2023 r. opisałem po raz pierwszy tajemnicze biznesy młodszego, Tomasza.

Dotąd nie było okazji do rozmowy, ale teraz Sławomir Mentzen – poseł Konfederacji i prezes współtworzącej ją partii Nowa Nadzieja – spotyka się z elektora-tem od Kamienia Pomorskiego po Ustrzyki Dolne. Postanowiłem więc jako wyborca mieszkający w województwie kujawsko-pomorskim zaczepić go 7 kwietnia w 12-tysięcznej Tucholi. Wcześniej obejrzałem w sieci kilka filmów, na których widać, jak kandydat na prezydenta pędem wybiega ze spotkań, by zdążyć na kolejne – dlatego założyłem trampki. Najwyżej będę pytał, biegnąc obok.

Dochodzi siedemnasta, na tucholskim rynku hula zimny wiatr. Mimo niepogody wokół namiotu i podium z mównicą podgrzewaną elektrycznym słoneczkiem zebrało się około tysiąca mieszkańców. W większości młodych.

Jako suport głównego gościa przemawia bydgoski europoseł Konfederacji Marcin Sypniewski, który ostrzega tucholan, że niedługo ich siostry i matki będą się bały wyjść na ulice, którymi „zaczną się przechadzać nielegalni migranci”. Sam kandydat Mentzen (pod krawatem i w grafitowym „angielskim” płaszczu) zaczyna od służby zdrowia.

– System nie działa, wszyscy wiedzą, że jest źle, bo się latami czeka na wizytę u specjalisty. Są jednak ludzie, którym taki stan odpowiada. To rządzący nami od 20 lat politycy z największych partii: PiS i PO. Przez dwie dekady nie podjęli reformy systemu opieki zdrowotnej! Kolejna sprawa: armia. Płacimy na zbrojenia więcej niż Izrael, a Wojsko Polskie ma amunicję na pięć dni obrony. Żołnierze do mnie przychodzą i mówią: „Panie Sławku, brakuje nam śpiworów, namiotów, nawet butów”. Muszą kupować za swoje. Tymczasem Rafał Trzaskowski zbudował w Warszawie toaletę za 650 tys.! Za tyle przecież dom można zbudować!

Mentzen przez kolejne minuty wymienia absurdy polskiej rzeczywistości. Nie mówi o swoim programie, niczego nie obiecuje, skupia się na krytyce. – Mamy najdroższy prąd w Europie, a płacimy 800 plus na dzieci, które mieszkają w Ukrainie! Nie mamy elektrowni atomowej, za to mamy 65 przepisów regulujących energetykę atomową! Dwadzieścia lat trwa proces inwestycyjny, a jeszcze nie wbili łopaty. W Bangladeszu budowa takiej elektrowni zajęła dziesięć lat. To

może sprowadźmy sobie polityków z Bangladeszu? Będą tańsi!

Młodzież wesoło klaszcze i macha rozdawanymi pod namiotem biało-czerwonymi chorągiewkami. Niektórzy założyli serwowane przez organizatorów bejsbolówki z napisem „Mentzen 2025”.

– Unia Europejska każe rolnikom ugorować pola i rejestrować kury – peroruje kandydat. – Nie wiem, ilu do Polski wjeżdża imigrantów, a mamy wiedzieć, ile jest w Polsce kur. Każą nam wymieniać auta na elektryczne, każą robić remonty domów, wymieniać okna, na co te wydatki? Żeby za 20 lat było o jeden stopień chłodniej!

Zmarznięci tucholanie biją brawo. Mentzen na koniec prosi: – Przekażcie to, o czym mówię, swoim babciom i dziadkom. Proszę, opowiedzcie im o mnie. Bo nie mam z nimi kontaktu. Telewizja, która cały czas kłamie, w ogóle mnie nie pokazuje. Dlatego proszę o pomoc! Razem zwyciężymy!

Kandydat schodzi z mównicy, przybija piątki zebranym z pierwszych szeregów, didżej puszcza z głośników hity AC/DC i Dire Straits – zrobiło się za głośno, by zadać pytanie.

Stają przy tylnym wyjściu z namiotu, ściskając w ręce dyktafon. Plachta się unosi... i zaskoczenie: Mentzen wyjeżdża na e-hulajnodze. Od razu na pełnym gwizdku. Tak szybko nie pobiegne. Trzeba zmienić plany. Ostatnie z pięciu dzisiejszych spotkań zaplanowane jest na dwudziestą w Wąbrzeźnie.



Okolo
150 mln zł

według śledczych zarobił Tomasz Mentzen i inni członkowie grupy kryjącej się za spółkami MTK i Forum na niby inwestycyjnych, a w istocie hazardowych „kioskach internetowych”. Straty Skarbu Państwa miały sięgnąć 100 mln zł

Okolo
3,5 tys.

maszyn zainstalowano pod szyldem MTK. Wedle Tomasza Mentzena nie były automatami do hazardu

Ponad
7 mln zł

w oświadczeniu poselskim są warte kryptowaluty – bitcoin, omega i kangacoin – w portfelu inwestycyjnym Sławomira Mentzena

Tylko się skrzywił i zerknął na ochroniarza. Poczułem, jak ktoś mnie gwałtownie szarpie od tyłu za ramiona

Związki braci Mentzen z wielokrotnie karanym bydgoszczaninem Adamem G. sięgają roku 2009, kiedy wybuchła tzw. afera hazardowa.

Ryszard Sobiesiak – duży biznesmen działający w branży hazardowej – dał się nagrać służbom, gdy przekonywał szefa Klubu Parlamentarnego Platformy, aby 10-procentowa „opłata na cele sportowe”, którą miały zostać obłożone salony gier, nie obejmowała licznie posiadanych przez tego przedsiębiorcę automatów o niskich wygranych. W tamtym czasie przez trzewia tzw. jednorękiach bandytów przepływało rocznie prawie 8 mld zł. Dzisiaj – dwa razy tyle. Na fali społecznego oburzenia aferą policja zaczęła masowo likwidować stojące na stacjach benzynowych i w całodobowych budkach automaty, co nie uszło uwadze Adama G.

Pochodzący z podbydgoskiego Solca Kujawskiego 30-letni wówczas mężczyzna zarejestrował działalność na rynku finansowym pod szyldami Money Transfer Kiosk (MTK) oraz Kancelarii Prawa Finansowego Forum. Do spółki przyjął 22-letniego informatyka oraz entuzjastę rodzącego się dopiero rynku kryptowalut – Tomasza Mentzena. Starszy o dwa lata Sławomir, absolwent ekonomii na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika, otwierał w tym samym czasie kantor walutowy.

Pomysł Adama G. i młodszego z Mentzenów miał polegać na stworzeniu alternatywnej sieci automa-

tów hazardowych, które oficjalnie nimi nie będą, przez co nie trzeba będzie płacić ani kilkudziesięcioprocentowego podatku od hazardu, ani wносить „opłat na cele sportowe”, nie mówiąc o staraniu się o zezwolenia z Ministerstwa Finansów.

W latach 2010-13 w ponad 800 barach, na stacjach benzynowych i w salonach gier całej Polski zainstalowano pod szyldem MTK około trzech i pół tysiąca maszyn. Wyglądały i działały jak jednoręcy bandyci. Jednak wedle Tomasza Mentzena nie były automatami do hazardu. – To były kioski internetowe dające możliwość inwestycji w krótkoterminowe, nawet 10-sekundowe opcje na instrumenty finansowe oferowane w ramach giełdy walutowej Forex – powiedział mi półtora roku temu młodszy z braci.

Z Foreksem miała się łączyć ukryta w „kiosku” tzw. płytka lub przejściówka, którą zaprojektował Tomasz Mentzen i którą rzekomo montowano w każdym z automatów. Zdaniem policjantów była to jednak lipa. „Faktycznie w kioskach internetowych MTK zainstalowano programy do gier losowych ustawione średnio na co dwudziestą wygraną” – głosi komunikat Centralnego Biura Śledczego z 25 kwietnia 2013 r. „Szereg ekspertyz i opinii biegłych wykazał, że terminale te nie współpracowały z serwerami obsługującymi giełdy walutowe, a grający w kioskach byli przekonani, że uczestniczą w normalnej grze hazardowej, bez świadomości, że może to mieć coś wspólnego z giełdą – co zresztą rzeczywiście było fikcją”.

Zdaniem Prokuratury Apelacyjnej w Rzeszowie pomiędzy rokiem 2010 a 2012 Adam G., Tomasz Mentzen i inni członkowie grupy kryjącej się za spółkami MTK i Forum zarobili na „kioskach internetowych” około 150 mln zł, a straty Skarbu Państwa z racji nieodprowadzonych podatków sięgnęły 100 mln.

Proceder został przerwany wiosną 2013 r., gdy przeszło 2 tys. policjantów i celników wkroczyło jednocześnie do 800 lokali, w których zaplombowano maszyny o wartości ok. 10 mln zł. Po tym nalicie rzeszowska prokuratura postawiła Tomaszowi Mentzenowi zarzut organizowania gier hazardowych bez zezwolenia, prania pieniędzy oraz kierowania grupą przestępczą. Podobnie prokuratura potraktowała Adama G., z tym że ten został aresztowany i odsiedział kilka miesięcy do sprawy, która mimo upływu 12 lat jeszcze nie znalazła się w sądzie.

Dlaczego? Jak mi wyjaśnia prokurator Katarzyna Calów-Jaszewska z działu prasowego Prokuratury Krajowej, śledztwo przeciwko G. i młodszemu z Mentzenów obejmuje też 126 innych osób, na przykład właścicieli barów i salonów gier, którzy instalowali u siebie kioski MTK. Postawiono im zarzuty z artykułów 258 k.k. (udział w zorganizowanej grupie mającej na celu popełnienie przestępstwa skarbowego), 299 k.k. (pranie pieniędzy) i kilku innych. „Zakres przedmiotowego śledztwa jest wyjątkowo rozległy, a zbadanie mechanizmu przestępczego wykorzystywanego przez podejrzanych wymagało przeprowadzenia skomplikowanych czynności dowodowych, w tym analiz, opinii biegłych, eksperymentów procesowych i innych (...)”. Dotychczas w sprawie zgromadzono już ponad czterdzieć tysięcy tomów akt (tomów, a nie stron!) – wlicza rzeczniczka PK.

I tłumaczy: „W konsekwencji dopiero w okresie ostatnich kilku lat (...) skierowano do sądów łącznie 45 aktów oskarżenia w zakresie wątków, które możliwe były do zakończenia w ramach odrębnych postępowań”. To oznacza, że właściciele lokali z kioskami MTK i ich pracownicy zostali już w części osądzeni lub dobrowolnie poddali się karom, natomiast proces Adama G. i młodszego Mentzena rozpocznie się najwcześniej w przyszłym roku.

Co to ma wspólnego z Mentzenem „właściwym”? Cierpliwości.

W omawianych latach 2010-15 majątek braci Mentzen – niezamożnych synów nauczyciela akademickiego – zdążył się znacznie powiększyć. Sławomir, teraz już doktor nauk ekonomicznych, otworzył w Toruniu sklep łowiecki o nazwie Skład Myśliwski Świętego Huberta i firmę księgową Amicus, a potem jeszcze biuro podatkowe Tax Consulting w Pile. Z biegiem lat ruszyła produkcja piwa sygnowanego „Mentzen” i podwoje otworzył pub pod tą samą nazwą tuż przy gotyckim ratuszu. Perłą w koronie biznesów prezesa Nowej Nadziei jest jednak Kancelaria Mentzen sp. z o.o. z siedzibą w Toruniu oraz oddziałami w Warszawie i Gdańsku.

Obejrzałem te miejsca w trakcie dwóch wizyt w Toruniu.

• **Browar Mentzen** mieści się w byłym pruskim forcie na południowo-wschodnim krańcu i nie produkuje piwa. – Jesteśmy browarem kontraktowym – wyjaśnił mi napotkany pracownik, jedyny, jakiego zastałem. – Zamawiamy u producenta zewnętrznego, a ja tu tylko pakuję i dystrybuuję.

– Kto jest producentem?

– Niestety, nie mogę zdradzić. Mamy pisemną umowę o pełnej poufności.

• **Pub Mentzen** dzieli od pomnika Kopernika jakieś 20 m. Można zamówić tu piwa: Mowa Nienawisści, Bitcoin i Uśmiechnięta Polska. Wchodzących wita tablica ze zdjęciami polityków PO, PiS i Lewicy oraz adnotacja: „Tych gości nie obsługujemy”. Według Google Trends lokal jest trzecim najpopularniejszym miejscem wśród toruńskich pubów.

• **Wreszcie centrala kancelarii**, którą sam poseł wycenił w oświadczeniu majątkowym na 45 mln zł. Opatrzona widocznym z kilometra szyldem „Mentzen” zajmuje większość parteru w nowoczesnym biurowcu Amicus Business Park przy ulicy Grudziądzkiej na północnym przedmieściu Torunia. Wchodzących witają cztery sekretarki, a ukryty za ich pokojem gabinet Sławomira Mentzena ma rozmiar sporego mieszkania. Jeszcze dwa lata temu widziałem tu złoty posąg przedstawiający byłego premiera Mateusza Morawieckiego.

– Bo to dzięki wprowadzonemu przez jego rząd Polskiemu Ładowi, czytaj nieładowi, Sławek Mentzen zarobił potężne pieniądze na poradach podatkowych dla małych przedsiębiorców – mówi mi toruński prawnik, również właściciel kancelarii. – W latach 2021-22 zyski tysięcy drobnych biznesmenów zależały od wyboru sposobu opodatkowania, a tych sposobów było pięć. I nagle każdy potrzebował doradcy podatkowego. Mentzen dotarł do ludzi z reklamą swej kancelarii przez jakieś konfederackie kanały, a potem już zadziałał efekt kuli śnieżnej.

– Ja to pamiętam inaczej – oponuje były adwokat, obecnie emeryt, również torunianin i daleki znajomy ojca braci Mentzenów. – Tomek i Sławek mieli własne pieniądze już w wieku dwudziestu paru lat. Słyszałem o wymianie walut, o tym, że Sławek był szantażowany, bo ktoś groził, że ujawni jakieś powiązania.

Ten szantaż starszy z braci sam opisał na Facebooku 5 grudnia 2022: „Mój brat Tomasz usłyszał zarzuty, za które grozi mu kara 10 lat więzienia...”. Chodzi oczywiście o sprawę MTK. „Dlaczego o tym piszę? Niektórzy bardzo źli i niestety dosyć wpływowi ludzie, mający dostęp do akt prokuratorskich, myślą teraz, że mogą mnie tym szantażować. Chodzą po mieście i chwalą się, że mają na mnie haka. Skoro mojemu bratu grozi więzienie, to oni będą mieli argumenty, żeby mnie nakłonić do korzystnego dla nich zachowania”.

Z dalszej części wpisu można się dowiedzieć, że szantażujący mogą mieć związki z PiS, co tłumaczy, dlaczego w tamtym czasie Sławomir Mentzen zaczął promować hasło „PiS, PO – jedno zło”. Teraz też je powtarza – w Wąbrzeźnie.

Wieczorny występ kandydata zaczyna się tak jak w Tucholi: niezreformowana służba zdrowia, armia bez butów, najdroższy prąd, najwyższe odsetki od kredytów hipotecznych w Europie, dwie główne partie wymieniają się władzą. Padają dokładnie te same zdania w tej samej kolejności.

– Przyjeżdżają z Ukrainy się leczyć, kupują leki refundowane z naszych podatków i wracają do siebie. Turystyka medyczna za nasze pieniądze! Sprawność systemu podatkowego – miejsce numer 63 na 64 zbadane kraje. Tylko w Peru jest gorzej. A w rozwoju sztucznej inteligencji Amerykanie ostatnio nas umieścili pomiędzy Kirgistanem a Burkina Faso.

Kandydat nie wyjaśnia, skąd te statystyki. Nie musi. To przecież wiec.

– Dlaczego jest tak fatalnie? – pyta. – Bo rządzą nami politycy, którzy niczego nie potrafią. Ich jedyną kompetencją jest legitymacja partyjna PiS albo PO. Za co się nie wezmą, to sieprzą!

Mieszkańcy 11-tysięcznego miasteczka, których zebrało się na głównym rynku przeszło półtora tysiąca, biją gromkie brawa.

Mentzen się rozkręca: – Zielony Ład... tę bzdurę trzeba jak najprędzej odwrócić! Stany Zjednoczone to wyrzuciły do kosza, wracają do węgla na potęgę! Chiny i Indie budują mnóstwo elektrowni węglowych! Tylko my w tej Unii zostaliśmy, bo ktoś wierzy, jakiś Trzaskowski, że mu planeta płonie! Oni chcą, ci wariaci, żebyśmy wydawali biliony złotych, po 250 tys. na każdego Polaka. Zamknąć huty, kopalnie, elektrownie... pozbyć się rolnictwa.

– Zielony Ład, zielony jad! – krzyczy ktoś blisko sceny.

▲ **Z czym będą się nam kojarzyły przedwyborcze wiece Sławomira Mentzena? Oczywiście z dynamiczną jazdą na hulajnodze. Na zdj.: szef Konfederatów odjeżdża po spotkaniu na rynku w Rykach. (22.03.2025).**

FOT. RAFAŁ SZCZEPAN-KOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Mentzen dalej: – Imigranci gwałcą co roku 60 tys. Brytyjek! 97 proc. przestępstw w Szwecji jest dziełem imigrantów! Czy mam coś przeciwko obcokrajowcom? A skądże! W Niemczech mieszka kilkadziesiąt tysięcy Japończyków i oni w minionym roku byli sprawcami dwóch przestępstw. Algierczyków jest mniej, ale popełnili przeszło 1,7 tys. czynów zabronionych. Nie mam nic przeciw Japończykom, natomiast Algierczycy mi się nie podobają!

Spośród kontrkandydatów Mentzen wymienia tylko Trzaskowskiego. – To jego patriotyzm: nie potrzebujemy nowego lotniska, „bo mamy lotnisko w Berlinie”. On jest patriotą i owszem... ale raczej niemieckim! Przeszkadza mu rocznica 11 listopada, przeszkadza Marsz Niepodległości, prawie co roku próbuje go zakazać. Co mu się nie podoba? Białe-czerwone flagi! A tęczowe mu nie przeszkadzają... marsze LGBT są dla niego dobre!

Na koniec tradycyjna prośba: „Powiedzieć o mnie waszym babciom i dziadkom”. A potem długa sesja fotograficzna z kandydatem. Chętnych, by pyknąć selfie, są setki. Ochroniarz o siwym zaróżwie organizuje to sprawnie: mieszkańcy podają telefony, ustawiają się obok polityka, pstryk, następni proszę.

Dzięki wstawiennictwu europosła Marcina Sypniewskiego tym razem czekam na Mentzena w namiocie, przy samej hulajnodze. Wreszcie podchodzi, bardzo szybko, zaroił się ochroniarz toruje mu drogę. Przedstawiam się z nazwiska, podaję nazwę redakcji: – Panie prezesie, co pana łączy z Adamem G. [wymieniam pełne nazwisko] i ze spółką Bitcoin Embassy?

W czasie, gdy bracia Mentzenowie inwestowali w legalne biznesy, by ostatecznie wkroczyć do polityki – Tomasz był kandydatem na posła, na europosła i na radnego Torunia, lecz mandatu nigdy nie zdobył – Adam G. żył hulaszczco. Utrzymywał żonę i dwie konkubiny, kupił parę mieszkań w Bydgoszczy i dom na pobliskiej wsi. Jeździł rolls-royce’em phantomem za półtora miliona, nieco tańszym czerwonym ferrari i lamborghini murcielago za 800 tys. Ponieważ nagminnie przekraczał prędkość (jego rekord to 140 km na godzinę w obszarze zabudowanym), prowadził po alkoholu, uszkadzał infrastrukturę drogową i odmawiał zastosowania się do poleceń policji – wielokrotnie zasądzano mu zakaz prowadzenia pojazdów. Poradził sobie i z tym. Poleciał na wczasy do afrykańskiej Liberii, gdzie wykupił status rezydenta i tamtejsze prawo.

Po wyjściu z rzeszowskiego aresztu rozkręcił nowy interes, gdzie zamiast giełdy Forex pojawiły się kryptowaluty, a zamiast „kiosków internetowych” – bitomaty. Do nowego przedsięwzięcia powołano grupę spółek, w większości zarejestrowanych w Toruniu, kilka na przybywszy z byłego Związku Radzieckiego. Dwie firmy Adam G. stworzył w Czechach, jedną na Słowacji, w Wielkiej Brytanii i w Niemczech. Wśród nich biznesy o nazwach Tygrysia Maska oraz Shitcoins.club („Klub gównianych monet”, angielska nazwa nawiązuje brzmieniem do bitcoina).

To drugie przedsięwzięcie Tomasz Mentzen promował osobiście w 2022 r. podczas targów nowych technologii Invest Cuffs w Krakowie.

Następne spółki kujawsko-pomorskich kryptowaluciarzy (rejestrowane w Toruniu i Poznaniu) to między innymi: giełda krypto BTC Duke („Bitcoinowy książe”); spółka, której nazwa zdradza znany internautom libertariański humor: Socjalizm Bohatersko Walczy z Problemami Nieznanymi w Żadnym Innym Ustroju sp. z o.o.; sieć punktów Bitcoin Embassy („Ambasada bitcoina”).

Cały powyższy konglomerat spółek służył wytwarzaniu i eksploatacji przysięganych bitomatów, czyli maszyn do zamieniania walut tradycyjnych na krypto. Brązowe prostopadłościany z dwukrotnie przekreśloną literą B (symbol bitcoina) instalowano zarówno w centrach handlowych od Bielska-Białej po Gdańsk, jak i za granicą:

Tomek i Sławek mieli własne pieniądze już w wieku dwudziestu paru lat. Słyszałem o wymianie walut i o tym, że Sławek był szantażowany – mówi były adwokat, torunianin, daleki znajomy ojca braci Mentzenów

w Niemczech, we Włoszech, w Hiszpanii, w Wielkiej Brytanii, a nawet na Wyspach Kanaryjskich i na Balearach.

Inwazji polskich bitomatów przyjrzała się w 2019 r. reporterka niemieckiego tygodnika „Die Zeit”. Mareike Müller zwróciła uwagę, że wiszące m.in. w Berlinie automaty w odróżnieniu od niemieckich nie wymagają od użytkowników podania własnych danych, dzięki czemu mogą w nich prac pieniądze dilerzy narkotyków.

Każdy, kto widział seriale „Narcos” albo „Breaking Bad”, wie, że problemem handlarzy jest uliczna gotówka – olbrzymie liczby banknotów o niskich nominalach, których nie da się „wyprać” bez podejrzeń. Wystarczy jednak wepchnąć do wyprodukowanego na podtoruńskiej wsi polskiego bitomatu „brudne” funty lub euro i zmienić na którąś z kryptowalut z giełdy BTC Duke. „Po takiej operacji pieniądze są praktycznie nie do namierzenia” – oceniła Müller.

Choć w Polsce giełda BTC Duke i Tygrysia Maska znalazły się niemal od razu na liście ostrzeżeń Komisji Nadzoru Finansowego, która złożyła w prokuraturze zawiadomienie o „nieuprawnionym świadczeniu usług płatniczych”, zainteresowani szybko docenili możliwości, jakie dawały polskie automaty. Jedna z maszyn wyprodukowanych pod Toruniem – zainstalowana na dworcu kolejowym w Londynie – została tak wypchana banknotami przez klientów chcących zmienić gotówkę na krypto, że latem 2019 r. zaczęła wyrzucać na posadzkę nadmiar dwudziestofuntówek. Gdy opisała to prasa, brytyjskie i niemieckie urzędy regulujące rynki finansowe nakazały demontaż polskich bitomatów.

Tymczasem u nas maszyny pełniły jeszcze inną funkcję.

W sierpniu 2019 r. dwaj nieumundurowani funkcjonariusze z Elbląga – pierwszy z Krajowej Administracji Skarbowej, drugi ze Straży Granicznej – wybrali się do warszawskiego Braniewa, by skontrolować jeden z ponad stu rozsianych po Polsce bezobsługowych saloników Bitcoin Embassy.

Formalnie ulokowane za przyciemnianymi szybami punkty służyły do kupowania, sprzedawania i wymieniania na gotówkę wszelkich kryptowalut, również ethereum, dogcoinów, litecoinów, dash i tym podobnych. Faktycznie – umieszczone wewnątrz bitomaty firmy Shitcoins.club i ustawione obok nich komputery umożliwiały, zdaniem urzędników KAS i nadzorującej nowe śledztwo prokuratury z Poznania, hazard pod pozorem gry na giełdzie kryptowalutowej BTC Duke. Spółka BE nie miała zezwolenia Ministerstwa Finansów na automaty o niskich wygranych ani nie odprowadzała stosownych podatków – podobnie jak to wcześniej było z „kioskami” MTK. Twórcy nowego przedsięwzięcia zwyczajnie mieli powtórzyć numer, który przyniósł im osiem lat wcześniej milionowe zyski. Tyle że teraz hazardziści – w swoim mniemaniu – nie tracili pieniędzy na Foreksie, ale na giełdzie krypto.

Braniewski punkt BE – jak wiele innych w Polsce – nie miał siedzącego na miejscu sprzedawcy. Wszystko działało zdalnie i automatycznie. Po wylegitymowaniu się do kamery funkcjonariusze w cywilu pokonali

śluzę ze zwalnianych naprzemiennie drzwi. Gdy już weszli, zablokowali wewnętrzne koszem na odpadki, by się nie zatrzasnęły. W tym momencie w lokalu włączyła się syrena, a gdy urzędnicy próbowali ją zgasić – ze zbiornika w ścianie trysnął gaz pieprzowy. Kontrolerzy musieli wyważyć zewnętrzne drzwi. Poleciało szkło. Wezwano pogotowie, które udzieliło załawnym pierwszemu pomocy. Przyjechała również policja, a potem o sprawie dowiedzieli się tamtejsi dziennikarze.

Co to ma wspólnego ze Sławomirem Mentzenem?

Gdy o spryskaniu pieprzem państwowych funkcjonariuszy napisał „Dziennik Elbląski”, a za nim portal miłośników kryptowalut BitHub.pl, lider Konfederacji (podówczas wiceprezes partii KORWIN) wziął BE w obronę. „Polska firma uruchomiła w ostatnich latach bankomaty, w których można kupić i sprzedać kryptowaluty. Te tzw. bitomaty niestety często są obrabowywane, nawet jeżeli stoją w galeriach handlowych. Dlatego firma musi wprowadzać zabezpieczenia. Przykładowo, samoobsługowe lokale z bitomatami mają system podwójnych drzwi” – pisał na Facebooku pod koniec sierpnia 2019 r.

„Niedawno do lokalu tej firmy weszli dwaj mężczyźni w bluzach z kapturem. Chwilę się w środku pokręcili, po czym jeden z nich zablokował drzwi koszem na śmieci, co spowodowało uruchomienie procedury bezpieczeństwa (...). Osoba odpowiedzialna rozpyliła gaz pieprzowy i zadzwoniła na policję (...) dopiero wtedy okazało się, że na lokal napadli celnicy, którzy w ten nieudolny sposób próbowali przeprowadzić kontrolę, by sprawdzić, czy bitomat nie jest może urządzeniem hazardowym” – relacjonował zdarzenie. Po czym załamywał ręce nad zniszczeniami: „Zabrano bitomat, stanowiska komputerowe, serwer, routery, zniszczono kamerę monitoringu, zabrano kable, UPS, akumulator, uszkodzono syrenę alarmową... Gdyby było to prawdziwe włamanie, szkody byłyby mniejsze. Niestety nastąpiły takie czasy, że bandyta może okazać się urzędnikiem”.

Jeszcze w tym samym miesiącu Sławomir Mentzen udzielił portalowi BitHub krótkiego wywiadu. Tytuł rozmowy – „Mentzen odpowiada na pytania ws. Bitcoin Embassy. »Dlaczego nie pokaże Pan nagrania z monitoringu!?«”. Przyznał, że materiał wideo z kamer zainstalowanych w braniewskim lokalu znajduje się... w jego rękach. Po czym próbował przekonać dziennikarza Łukasza Jeżaka, że lokale Bitcoin Embassy nie są salonami gier.

Redaktor: – Zdaje pan sobie jednak sprawę, że w tych lokalach uprawia się hazard?

Polityk: – Ten bitomat według mojej wiedzy jest taki sam jak bitomaty w galeriach handlowych. Nie wiem, jak pan na takim bitomacie chce jakiś hazard uprawiać.

Jeżak: – Mam na myśli lokal w całej swej okazałości, komputery, pulpity z grami...

Mentzen: – Według mojej wiedzy tam jest bitomat i komputery. A do czego użytkownicy wykorzystują te komputery, to już jest ich sprawa. Z mojej perspektywy to proste: albo postawienie bitomatu obok komputera jest legalne, albo nie jest legalne. Jeżeli jest nielegalne, to wszystkie te lokale powinny być zamknięte, a jeżeli jest legalne, należy je zostawić w spokoju.

Mareike Müller, reporterka „Die Zeit”, zwróciła uwagę, że wiszące m.in. w Berlinie polskie bitomaty są tak zaprojektowane, że mogą w nich prac pieniądze dilerzy narkotyków

Na koniec dziennikarz BitHub zapytał, jakim cudem jego gość stał się posiadaczem zapisu monitoringu z lokalu BE gdzieś pod rosyjską granicą, a także co łączy go z Shitcoins.club, BTC Duke i innymi spółkami toruńsko-bydgosko-poznańskich kryptowaluciarzy. Lider Konfederacji wymigał się od odpowiedzi.

Ja chciałbym temat zgłębić, dlatego stojąc w Wąbrzeźnie przy hulajnodze, pytam Mentzena o „ambasady bitcoina”. Ten się jedynie krzywi. Zamiast odpowiedzieć, zerka na ochroniarza, a ja czuję, że ktoś mnie gwałtownie szarpie od tyłu za ramiona i siłą wypycha z namiotu. Uwolniony od dziennikarza polityk dosiada hulajnogi i błyskawicznie odjeżdża.

Pozostało mi pytać drogą oficjalną, co zrobiłem nazajutrz. Wysłałem na adres rzecznika Nowej Nadziei Wojciecha Machulskiego dwa krótkie pytania o związek Sławomira Mentzena z BE i o znajomość z Adamem G. Czekam na odpowiedź.

Historia „ambasad bitcoina” kończy się podobnie jak ta z „kioskami internetowymi” MTK. Latem 2021 r., prawie dwa lata po spryskaniu urzędników gazem pieprzowym w Braniewie, policja przeprowadziła tzw. realizację w kilku miastach – między innymi w salonach BE w Bydgoszczy i Poznaniu. Zatrzymano 39 osób, z których pięć aresztowano (w tym ponownie Adama G.), resztę wypuszczono za wysokimi kaucjami.

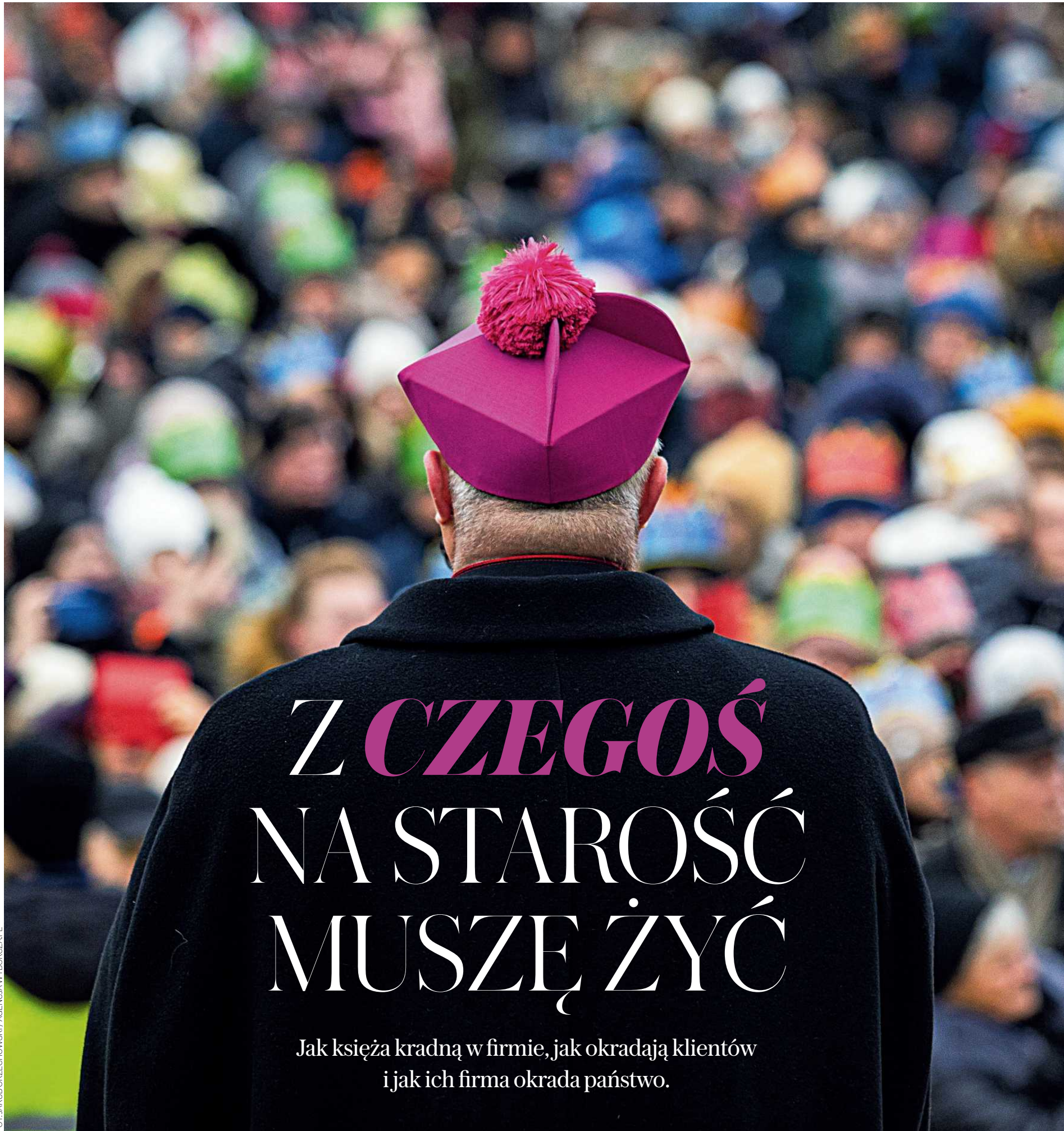
Tomasza Mentzena tym razem nikt nie niepokoił, nie postawiono mu żadnych zarzutów. Natomiast śledztwo poznańskiej prokuratury regionalnej trwa. Jak informuje mnie jej rzeczniczka, prokurator Anna Marszałek, „status podejrzanego przysługuje 55 osobom, którym zarzuca się popełnienie przestępstwa z artykułów 258 k.k. – udział w grupie przestępczej, 107 k.k.s. – organizację hazardu wbrew przepisom, wreszcie 299 k.k. – pranie pieniędzy”. Okres śledztwa „aktualnie został zakreślony do dnia 17 czerwca 2025”.

Adam G. czeka na rozpoczęcie sprawy na wolności. Ostatnio jeździ amerykańskim pick-upem ford raptor (cena auta w wersji monster truck, na kolach jak od traktora: 2 mln). W podbydgoskiej willi na skraju lasu wydaje weekendowe przyjęcia. Ma duży pakiet bitcoinów, lecz wszystko zapisał na swoje kobiety i członków rodziny.

Tomasz Mentzen też „siedzi w krypto”. Na Facebooku przedstawia się jako „ekspert od technologii blockchain”. W tym roku znowu reklamował bitcoiny na krakowskich targach Invest Cuffs. Choć w polityce mu się jak dotąd nie powiodło, deklaruje, że jeszcze powalczy. – Jeśli nie jesteś za Platformą albo za PiS-em, tylko jesteś normalny, musisz sobie odpowiedzieć na jedno ważne pytanie: co chcesz w życiu robić? A potem to robić – mówi w nagraniu wrzuconym do sieci. – Ja chcę masakrować lewaków!

Sławomir Mentzen, który według poselskiego oświadczenia majątkowego jest (obok żony Agnieszki) współwłaścicielem dwóch domów i jednego mieszkania, **także zainwestował w krypto.** Posiada cztery pakiety bitcoinów, omega i kangacoinów o wartości – według oświadczenia – ponad 7 mln zł. Już zapowiedział, że jeśli rodacy wybiorą go na prezydenta, „Polska stanie się przystanią dla branży kryptowalutowej” i utworzy „strategiczną, państwową rezerwę bitcoinów”.

P.S. Gdy organizatorzy imprezy w Wąbrzeźnie zaczęli sprzątać na rynku, odszukałem ochroniarza, który mnie wyrzucił z namiotu. Pokazałem legitymację prasową, przedstawiłem się jeszcze raz i spytałem o godność. Nie chciał zdradzić nazwiska, odnalazłem go jednak w sieci, przeglądając konfederackie witryny. To zbankrutowany przedsiębiorca, obecnie polityk Nowej Nadziei Bartosz Bocheńczak, który w ostatnich wyborach bezskutecznie walczył o mandat poselski z Krakowa. ●



Z CZEGOŚ NA STAROŚĆ MUSZĘ ŻYĆ

Jak księża kradną w firmie, jak okradają klientów
i jak ich firma okrada państwo.

Artur Nowak

Iaca bez paragonu, kolęda na kopertę, chrzest na cennik elastyczny jak sumienie. Urząd skarbowy nie patrzy, kuria udaje, że nie widzi, więc proboszcz robi swoje. Póki się dzieli z biskupem, może nawet kraść z budżetu parafii, byle bez przesady. Oto finansowy świat równoległy. Jeszcze niedawno, myśląc o duchownym w kajdankach, pierwsze skojarzenie było jedno – pedofilia. Ale Kościół ma szersze portfolio. Coraz częściej księża trafiają przed sąd nie za grzechy cielesne, ale za te czysto finansowe.

- **Styczeń 2024, Legnickie Pole.** Ksiądz Włodzimierz G. zostaje skazany przez legnicki sąd na dwa lata więzienia. Zarzut? Defraudacja ponad 1,2 mln zł z dotacji na remont zabytkowej bazyliki w Legnickim Polu i kościoła w Gniewomierzu. Za-

miast nowych tynków – nowe konto bankowe. Prywatne.

- **Kwiecień 2024, Warszawa.** Ksiądz z parafii św. Faustyny ląduje w areszcie. Śledczy tropią co najmniej 200 tys. zł, które wyparowały z darowizn, oraz podejrzone operacje podatkowe.
- **Sierpień 2024, Tarnobrzeg.** Były proboszcz z Domostawy nie próżnował na starość. Sąd okręgowy skazuje go za przytule nie 434 tys. zł z konta parafii.
- **Grudzień 2024, Płock.** Ksiądz i 12 towarzyszy zgarnięci przez CBA. Fikcyjne darowizny, lewe dokumenty, przekręty – jak z podręcznika mafii VAT-owskiej.
- **Luty 2025, Mazowsze.** CBA zatrzymuje księdza generała Sławomira Ż. Zarzut: „podejmowanie, w zamian za korzyść majątkową albo jej obietnicę, pośrednictwa w załatwieniu dostaw pojazdów mechanicznych z przeznaczeniem dla Wojsk Obrony Terytorialnej”. Sławomir Ż. to stara kościelno-polityczna gwardia. To on przed laty sprzedał

Morawieckiemu i jego żonie działkę wartą 4 mln za 700 tys. zł. Wcześniej Sławomir Ż., wówczas proboszcz, pozyskał ją dzięki cudowi rozmnożenia parafii – z garnizonowej zrobiła się cywilna, a potem każda wystąpiła o działkę.

I crème de la crème – Michał O. Ulubiony męczennik PiS, po zatrzymaniu przez CBA niemal wyniesiony na ołtarze przez prawnicze media. Kościelny influencer – prowadził kanał na YouTube, internetowe radio i portal – dostał kilkadziesiąt milionów z Funduszu Sprawiedliwości, niesławnej maszynki do rozdawania kasy przez ziobrystów. Jego fundacja Profeto miała zbudować ośrodek dla ofiar przestępstw w Wilanowie. I budowała, m.in. ze studiem nagrań, siłami firmy budowlanej, której właściciel był znajomym ojca ks. Michała. Przedsiębiorca zeznaje, że wszystko koordynował Jan O.

Budowlaniec opowiada o „zawyżanych fakturach” oraz fikcyjnym wynajmie działek, a śledczy i dziennikarze o kilkunastu milio-

nach, które ksiądz Michał przelewał różnym spółkom, przeznaczał na prywatne potrzeby i na interesy w rodzaju handlu pozyskanymi okazjnie, bo dla darczyńców, skarpetkami na Amazonie.

•

Wszystkie te przestępstwa łączy jedno: duchowni mają niekontrolowany i nieograniczony dostęp do pieniędzy. Obrót bezgotówkowy w tej firmie się nie przyjął, terminale płatnicze w kruchtach do składania ofiar czy przy stolikach ze świecami i prasą katolicką, o których z lubością jako o kuriozum – choć powinny w tonie pochwalnym – rozpisują się media, to tylko nieliczne wysepki na morzu tac, datków i kopert. A na wyższych szczeblach, tam, gdzie obieg pieniędzy musi być księgowany i dokumentowany – to level dotacji, funduszy celowych itp. – dotujący i dotowani robią wszystko, aby dokumenty były jak najmniej przejrzyste i możliwie niedostępne.

Kościół, jedna z najbogatszych instytucji w Polsce, funkcjonuje poza kontrolą finansową. Ani fiskus, ani NIK, ani Komisja Nadzoru Finansowego nie mają wglądu w pieniądze, które codziennie przepływają przez parafie, kurie, fundacje i stowarzyszenia.

Ani nawet biskupi. Bo nie mają narzędzi, by kontrolować wpływy i wypływy z parafii, a przede wszystkim nie mają chęci. Na każdym szczeblu tej korporacji – od zakrystii po biskupi pałac – obowiązuje jedna zasada: nie pytaj, nie sprawdzaj, nie zostawiaj śladu.

Remonty, druk ulotek, plakatów, gazetek, zlecenia na koszenie – wyceny z sufitu, bo fi-fty-fifty, a potem i tak niemal nikt nie wystawia faktur.

Oczywiście – trzeba znać umiar. Bo ktoś się może zdenerwować. Może parafianie, może współbracia, a może nawet jakiś biskup, któremu nie skapnęło.

Popularne porównanie Kościoła do spasionego kota to żadna złośliwość. To zwinne, sympatyczne zwierzę na skutek fałszywego rozumienia jego potrzeb często pada ofiarą złe pojętej troski. Gdy kot jest przekarmiony i leniwy, dzieje mu się krzywda, bo staje się ciężarem. Zamiast cieszyć otoczenie swoją obecnością, budzi rosnące zażenowanie.

– Oni dawno zapomnieli o ewangelizacji. Nie potrafią, nie chcą, boją się ludzi, chcą mieć spokój. To naprawdę jest bardzo proste – tłumaczy mi znajomy były ksiądz.

– No ale to się za chwilę skończy. Laicyzacja galopuje, owszem, na wsiach ludzie jeszcze chodzą do kościoła, bo wypada, ale te wsie też coraz bardziej miastowieją. Oni tego nie widzą? – dziwię się.

– Pewnie, że widzą. Ale biskupi mają tyle, że im ani ich dzieciom pieniędzy nie zabraknie. Proboszcz też się wyżywi, nawet przy garstce parafian na jego potrzeby starczy. A wikary niech się martwi, uwierzył, że „kto ma księdza w zagrodzie, tego bieda nie ubodzie”, to niech kombinuje – uśmiecha się.

Piotr Szela, były ksiądz, dziś społecznik, tłumaczy mi, że w postępowaniu Kościoła, który nie chce rozmawiać o realnych wpływach, oszczędnościach i środkach trwałych, jest przemysłana metoda.

– Im nie przeszkadza, że my mówimy: Kościół zgromadził wielkie zasoby i nadal jest pazerny. Ale też serio nie traktują własnych opowieści, jak to duchowni biednieją. Chodzi o to, żeby nikt nie wiedział, jak jest naprawdę.

To się udaje. Kościół, jeśli chodzi o przepływy finansowe, żyje w równoległej rzeczywistości. Odcięty od kontroli obraca gotówką: w pudełkach, kopertach, a nawet workach. To nie publicystyczna figura. Jeden z przybocznych budowniczego Licheń, księdzka pedofila Eugeniusza Makulskiego, opowiadał mi o workach pieniędzy pogryzionych przez szczury, które znajdowano w podziemiach monstrialnej świątyni.

W kaszubskiej wsi Sikorzyno biskup Ryszard Kasyna stawia rezydencję. Prywatną, ale zaplanowaną z rozmachem, jak pałac biskupi: budynek mieszkalny, łącznik i zabudowa gospodarcza mają 1250 m kw. Biskup buduje za swoje własne pieniądze. W dokumentach stoi, że jest rolnikiem, który stawia siedlisko. Skąd ma na to środki? Nie wytłumaczył.

A ile wynosi majątek abp. Sławoja Leszka Głódzia, hierarchy, który stał się symbolem wielkopańskiego stylu życia? Dziennikarze Wirtualnej Polski Szymon Jadcak i Patryk Słowik dotarli do ksiąg wieczystych, w których figuruje emerytowany arcybiskup. Specjaliści wyceniają nieruchomości Głódzia na 12,2-15,1 mln zł. Arcybiskup pobiera dwie emerytury, kościelną i wojskową, nie byle jaką, bo generalską, wcześniej pobierał generalskie uposażenie. Ale kwoty imponują. Skąd u niego takie środki? Księga z jego dawnej archidiecezji gdańskiej opowiadają, że za „Kuwejć”, czyli bogatą parafię, trzeba było dać w łapę. Anonimowi, więc może oczerniają. Ale że tak się działo w Warszawie za urzędowania Głódzia, opowiadał ksiądz pro-



FOT. SHUTTERSTOCK

Likwidację Funduszu Kościelnego KO wpisała na 16. miejscu wśród 100 konkretów na pierwsze 100 dni rządów. W zeszłym roku Kościół dostał od rządu Tuska rekordowe **257 mln zł.** Tyle, ile zapisał w budżecie na odchodne rząd PiS. Rekord został szybko pobity – tegoroczny Fundusz to **275 mln.**

fesor Alfred Wierzbicki, jeden z najbardziej szanowanych polskich duchownych.

Biskupi nie potrafią już żyć jak normalni ludzie. Muszą mieć pałac, ogrodnika, prywatną kaplicę, kierowcę, kapelana, szofera. Abp. Stanisław Gądecki na emeryturze zamieszka w zabytkowym budynku kanonii na Ostrowie Tumskim. Na remont wydano ponad 5 mln zł.

– Tam są nowe podłogi, ściany, schody – wszystko za pieniądze wiernych – opowiadają księża. – Nawet stropy specjalnie wzmacniano, by budynek udźwignął księgozbiór arcybiskupa, tysiące ksiąg.

Może cnotę ubóstwa ceni przynajmniej zwalczający cielesne pokusy integrysta Marek Jędraszewski? Nic z tych rzeczy. Emerytowany metropolita krakowski po wprowadzce z kurii zamieszka w parafii św. Floriana. Do dyspozycji będzie miał cały zabytkowy trzykondygnacyjny budynek, z którego wyrzucono lokatorów, w tym księdza, a także hektarowy ogród zamknięty dla parafian. Remont szacowany na miliony toczy się bez zgody konserwatora zabytków.

Pisząc „Plebanię”, a potem „Zakrystię”, często słyszałem o księżach od samych księży: „Oni są jak mafia. Co tam mafia? Mafia to się może od nich uczyć”. Ilekroć słyszę coś takiego, mam ochotę zapytać: „Halo, panowie! To co wy robicie w tym towarzystwie?”

Ale nie pytam, bo po ludzku rozumiem. Po latach ubezwłasnowolnienia i jednocześnie życia w komfortowym kokonie, bez styczności z praktyczną stroną życia, bez podstawowych umiejętności jak pranie czy gotowanie, z rachunkami, które same się opłacają, stołem, który sam się zastawia, i bez kwalifikacji, które pozwoliłyby się odnaleźć na rynku pracy, nie jest łatwo opuścić struktury cosa nostry. No i co powiedzialaby na to mama?

Ale porównania Kościoła z mafią są nie tylko retoryczne. I wcale nie chodzi o Watykan oraz Kościół włoski, gdzie jak camorra,

cosa nostra i jej amerykańskie odpowiedniki przez dekady wykorzystywały Instytut Dziel Religijnych, czyli tzw. Bank Watykański, do prania pieniędzy. W Polsce mieliśmy własny „Bank Watykański”. Kwota malwersacji – kilkakaset milionów – zwała z nóg. Ksiądz Ryszard M., prezes Fundacji Pomocy dla Młodzieży im. Świętego Jana Bosko w Lubinie, imponował w kręgach duchownych znajomościami w świecie biznesu i inwestorskim doświadczeniem. Zna giełdowe know-how, to może by pomógł? Do księdza Ryszarda zgłaszali się indywidualni duchowni, instytucje kościelne, zakony. On i jego koledzy wozili walizki z kasą do rzymskiej centrali, by poprzez Bank Watykański transferować je na parkiety Nowego Jorku, Londynu i Amsterdamu.

Osoby znające sprawę mówiły mi, że Ryszard M. otrzymywał od wysokich hierarchów sporą gotówkę. Rekordem był milion dolarów.

Ksiądz Grzegorz S., były dyrektor szkoły przy lubińskiej parafii św. Jana Bosko, zeznał: „M. uzyskiwał pieniądze we Włoszech, sam je stamtąd przywoziłem. Od biskupów Werony, Wenecji i innych miast. M. dwukrotnie przywoził z Włoch gotówkę. Ja osobiście z konta watykańskiego podjąłem 60 albo 100 tys. dolarów”.

Problem w tym, że po transferach do rajów podatkowych i grze na giełdzie do europejskich klientów wracało o wiele mniej środków. Zagięły bezpowrotnie blisko 133 mln zł. Jeden z kurierów zmarł w trakcie misji 4 czerwca 2001 r., kiedy poszedł się wykapać w Morzu Tyrreńskim. Lekarz, który przeprowadził oględziny zwłok, opowiadał rodzinie o rozbitej głowie i połamanych kręgach szyjnych.

Kiedy sprawa zrobiła się głośna, ksiądz Ryszard M. wyjechał za granicę, wrócił z adwokatem i udał się na przesłuchanie do prokuratury. Został aresztowany z powodu podejrzenia o udział w gigantycznym oszustwie finansowym. W zupełnie innej – jak się zdawało – sprawie.

Salezianie z Dolnego Śląska wzięli w Kredyt Banku 65 pożyczek, w sumie przeszło 400 mln zł. Miały zasilić budowę obiektów sakralnych. Ale szły na zakup nieruchomości, na prywatne wydatki, na spłatę poprzednich długów, a część – w sumie przeszło 100 mln zł – się rozpyłyła. Zakonnicy brali pożyczki na „słupy”. Wystawiali wiernym papiery o zdolności kredytowej uwiarygodnione zaświadczeniami o zatrudnieniu w instytucjach przykościelnych. Ponad sto osób wprost z banku szło z gotówką do salezjanów. Z czasem doszło do tego, że salezianie wyciągali klerykom z szafek w seminarium dowody osobiste, kserowali je i składali w banku wnioski o pożyczkę. Wspólny mianownik obu afer – ksiądz Ryszard. On wymyślił proceder ze „słupami”, a część kredytów salezianie zaciągali, by pokryć tamte giełdowe straty.

A co z szarakami, którzy chcieli pomóc duchownym? Nachodził ich komornik, a nie mieli za wiele. Prości ludzie, często żyli z rent albo głodowych pensji. Jak Waldemar, głowa pięcioosobowej rodziny. Kredyt poręczył on, jego żona i córka. W reportażu z cyklu „Uwaga!” w TVN ze łzami w oczach prosił komornika o litość: „Zajął mi pan już całe wynagrodzenie i chce mnie pan pognać bardziej niż salezianie?”. Kiedy komornik spisał jego majątek, zadzwonił do inspektorii salezjanów. „Niech się pan odpierdzieli” – usłyszał.

Ale duchowni potrafią zagrać też aferałną solówkę. Jednym z najsłynniejszych był zasłużony duchowny z Wielkopolski.

Kazimierz Królak studiował w Rzymie, typowano go nawet na biskupa. Przepadł, bo na pewnym etapie przesadził z ostentacją – nosił na co dzień luksusowe szaty kanoniczne i złoto. Utarło mu nosa, zdejmując go z urzędu kanclerza, ale uwzględnił zasługi i talenty – nie poszedł na zesłanie na przedmieścia, lecz dostał parafię pw. św. Jana Jerozolimskiego za Murami. W szacownej, najstarszej, jeszcze średniowiecznej poznańskiej parafii ks. Królak wymyślił się na nowo.

– Niesamowite – poznański ksiądz do dziś przeżywa tę historię. – Ciągłe cisnął ludzi o pieniądze, jeździł gruchotem, jadł byle co, nie wiem, czy z życia coś użył, a tu taka historia.

Taka historia – czyli majątek, jaki zgromadził ubogi ksiądz żyjący się w opiece społecznej, który rodzinie zapisał ubożuchny spadek. Gdy umarł w 2011 r., na otwarcie sejfów przyjechał jego siostrzeniec oraz kilku księży. Zdziwili się na widok dwóch kilogramowych sztab złota. Wszyscy byli jeszcze bardziej zdziwieni, gdy okazało się, że ks. Kazimierz miał jedną trzecią udziałów w poznańskim hotelu, a nowy proboszcz odkrył w papierach 4,5 mln zł w lokatach i papierach wartościowych.

Ale najpierw ksiądz Królak przeszedł do historii jako ten, który stał się z miastem. Jako proboszcz św. Jana Jerozolimskiego pozwał Poznań o zadośćuczynienie za 24 ha przejęte w PRL od parafii. Chciał najpierw 5 mln za bezumowne korzystanie z gruntu, w trakcie procesu – już 100 mln.

Jeszcze przed II wojną światową ksiądz Karol Mazurkiewicz, poprzednik Królaka, oddał ziemię biednym. Mieli za co wykarmić rodziny, uprawiając na działkach warzywa, wielu tam zamieszkało. Po wojnie gruntem zaczęło administrować miasto, władza ludowa przekształciła go w ogród działkowy i zalegalizowała chałupki. Po wyroku parafia wzbogaciła się o 75 mln oraz niezabudowane działki. Królak go nie dożył, ale jako że zasady obowiązują wszystkich, jeszcze przed wyrokiem musiał odsunąć na bok etos patronujących parafii kawalerów maltańskich, opiekunów ubogich, chorych i pokrzywdzonych.

Więc wymuszał podpisywanie umów. 80-latce zagroził, że nie pochowa jej w święconej ziemi. Od 90-latk, która miała 600 zł renty, zażądał blisko 50 tys. za mieszkanie w „lichej altance”. „Co zrobisz, kiedy proboszcz ją stąd wyrzuci?” – pytał w „Super Expressie”.

sie” jej syn. „Gdzie tu miłosierdzie, o którym tyle mówi?”. Gdy mieszkanka działek poszła zamówić mszę pogrzebową, usłyszała, że ksiądz ją odprawi, jeśli petentka podpisze dzierżawę. Dziennikarzom tłumaczył, że to nie dla siebie, odzyskany majątek będzie służyć uboższej parafii. „Przecież ja muszę zapłacić za wodę, gaz, energię elektryczną. Żeby Kościół mógł dawać, to musi też mieć”.

Piotr Żytnicki z „Wyborczej” próbował dopytać Zdzisława Fortuniaka, poznańskiego biskupa pomocniczego, o źródło fortuny Królaka.

– W latach studenckich wyjeżdżał do pracy do Anglii. Może to z tego?

– Tyle milionów?

– No to nie wiem.

Duch księdza Królaka nadal straszy. Parafia postanowiła wykorzystać odzyskany grunt i naciska na mieszkańców, by podpisali dzierżawy krótkoterminowe pod groźbą eksmisji. Również tych, którzy jeszcze w latach 90. wykupili ziemię w dobrej wierze.

● Nie wszyscy duchowni są aż tak pazerni. Nie trzeba zaraz jeść chochlą, lepiej łyżeczką.

Proboszcz parafii prowadzonej przez salezjanów, szanowany i nagradzany społecznik, inwestował w apartamenty, o czym wierni dowiedzieli się zupełnie przypadkiem. – To idiota, bo się tym bogactwem pochwalil – usłyszałem od jednego z mieszkańców. Choć lepiej powiedzieć, że przesadził z aktywnością biznesową – bo parafianie nabrali podejrzeń, gdy jeden z lokali wystawiono na wynajem. Skorzystali z usług detektyw, by sprawdzić majątek salezjanina. Ten odkrył, że duchowny z Dębna mieszkania w Łebie (warte milion) i w Kołobrzegu (około półtora miliona) kupił za gotówkę.

Gdy przełożeni z prowincji piłskiej wezwali zakonnika do złożenia wyjaśnień, tłumaczył, że pieniądze otrzymał jako darowiznę.

Proboszcz z parafii w Domostawie w dniu, w którym miał przejść na emeryturę, przelał 2 mln zł z konta parafii na swój rachunek. Gdy sprawa wyszła na jaw, stwierdził, że to jego osobiste oszczędności. Dziennikarze zapytali miejscowych, co o tym sądzą: – Dla mnie był w porządku. Szło z nim wszystko załatwić, tylko za dużo pieniędzy brał. – Na początku nie był taki pazerny. Później stale na coś trzeba było płacić. Wszystko na cele kościoła. Po 100 zł co roku. A w kościele nie ma wiaderka, wody, gasy. Sami to przynosimy. Kobiety mówiły, że jak na święta żarówki się spaliły, to zapytał: „Nie stać was kupić?”. – Na kościół trzeba było płacić 100 zł od każdej pracującej w domu osoby.

Gdy w domu było dwoje rodziców, dwójka pracujących dzieci i babcia, musieli przekazać 500 zł plus na koledę. Nie było wyjątku. Płaciła i bogata, i biedna rodzina. Jeśli kogoś nie było stać, proboszcz zapisywał w zeszycie dług. Sprawa się komplikowała, gdy zmarł członek rodziny albo trzeba było posłać dziecko do komunii. Wtedy trzeba było wyrównać wszystkie nieopłacone składki. Inaczej nie było mowy o żadnym sakramencie. Jak ktoś nie spłacił długu, to nie pochował.

● – Nie jest dobrze, naprawdę nie jest dobrze. Jak porównam dawne lata do tego, co jest teraz, to niebo a ziemia – śmieje się smutno były proboszcz wielkopolskiej parafii. Jest rezydentem, pomaga trochę młodemu proboszczowi. Siedzimy przy wystygłej kawie i piernikach twardych jak kamień.

– No to jak kiedyś było?

– O pieniądze się nikt nie martwił. Jeszcze się ludziom pomagało. Do czego to dziś doszło?

To prawda. Ksiądz, który o siebie nie dbał i nie kupił mieszkania, nie ubierał jakichś oszczędności, dziś może narzekać. Wiejskie parafie się wyludniają, starzeją, w miejskich coraz więcej wiernych z posługi kapłańskiej korzysta, ale na „tych pedofilów i politykierów”łożyć nie zamierza.

– Znam wielu takich księży, co to prędzej uszłaby im ręka, nim sięgnęliby po nie swo-

je. I dziś nie potrafią też poprosić o pomoc. Jak się słyszy o tym wszystkim, co się dzieje, to się wierzyć nie chce. O tych wszystkich aferach, kradzieżach – proboszcz macza w mleku zeschnięty pierniczek z dyskontu.

Kiedy pytam, od czego zależy dostatek księży, dziwi się, że musi tłumaczyć jak dziecku. – Ty to tak retorycznie pytasz? Przecież wiesz, że te zamożne, „kuwejty”, potrafią urządzać proboszcza do końca życia. U nas jest jak w firmie. Jak nie masz gadanego, nie jesteś cwany i beczelny, kariery nie zrobisz. Współczuję młodym. Ten zawód się strasznie pauperyzuje. Nie tylko w portfelu.

● Kiedyś udawało się zamiatać afery pod dywan. Teraz przełożeni wiedzą, że lepiej się od skandalu natychmiast odciąć. Skończyły się czasy omerty i zawodowej lojalności, lepiej od razu poinformować organy ścigania, niż potem tłumaczyć się w mediach i czytać hejterskie komentarze w serwisach społecznościowych. Dlatego na księdza z Legnickiego Pola, który za ponad 1 mln parafialnych złotych kupił kryptowaluty, do prokuratury doniósł sam biskup.

Milion nie dziwi, to rozmach, do jakiego księża aferzyści mnie przyzwyczaili. Ale pomyślałem, że rzeczywiście na Kościół przyszła bieda, kiedy przeczytałem o dwóch duchownych, którzy próbowali zarobić na kości słoniowej. 55-latek i jego o pięć lat młodszy kolega przytachali kontrabandę z Przasnysza do Szczytna. Cena za kiel była okazyjna, 20 tys., ale kontrahent uznał, że sprawa jest podejrzana, i zawiadomił policję.

Co na to przełożeni? Ksiądz z kurii rozkłada ręce: – No i co my mamy niby zrobić? No przecież ich wszystkich nie pozamykamy, bo zostaniemy sami. I kto będzie odprawał msze? Ja z biskupem?

A mnie przypomina się historia „Edwarda Nożycorękiego”. Tak go ochrzcił, od słynnej komedii grozy Tima Burtona – wikarzy i proboszcz w jednej z warszawskich parafii. Edward – imię prawdziwe – okradał kościół z tacy, a kolegów z ofiar i intencji, czyli opłat od wiernych za zamawiane msze. Co najlepsze, w świetle dnia, nic sobie z tego nie robiąc.

– A czemu ksiądz przyniósł tylko 300 zł z pogrzebu? – pyta proboszcz przy kolacji.

– Tyle dali.

– Nieprawda. Wiem, że dali 800.

– Stary jestem, zbieram na emeryturę.

Koledzy nakradli na mieszkanie i pielęgniarkę nawet. Ja całe życie uczciwie pracowałem. Coś mi się na starość należy – Edward nawet nie mrugnął. Zero zawstyżenia.

Proboszcz przykazał wikarym, by starszego kolegę mieli na oku. Ale jak dopilnować, gdy po mszy ktoś zaglądał do niego do zakrystii z intencją albo z co łaska za pogrzeb. Żeby go nie dyskryminować – czy jak kto woli: żeby parafianie nie zaczęli gadać i nie było wstydu – proboszcz stwierdził: niech dalej zbiera na tacę. Tylko gdy jak wszyscy stawia koszyk na stopniach ołtarza, to na widoku. Więc Edward cyrkował czas zbierania tacy tak, by przykleknąć na obu kolanach przed ołtarzem akurat podczas przemienienia. Wtedy miał przed sobą tylko księdza wpatzonego w hostię, schylał głowę przed Najświętszym Sakramentem i zgarniał garść banknotów z koszyczka. Łup wsuwał w rękaw sutanny. Aż fortel zauważył z zakrystii inny wikary.

– Na oczach Pana Jezusa okradasz kościół? Jak ci nie wstyd?

Księża uradzili, że jednak trzeba poinformować biskupa. Proboszcz był sceptyczny, ale pewnego wiosennego dnia jeden z warszawskich hierarchów przyjął delegację na audiencję. Wysłuchał ich z właściwą sobie udawaną uwagą, przybrał poważną minę i zadał kilka pytań:

– A ten Edward babę ma?

– Nie – odrzekł proboszcz.

– A może ma faceta?

– Nie.

– A może jakimś chamem jest?

– Nie – uczciwie wyznał proboszcz. – Ludzie go lubią.

– A to się dogadajcie.

No i Edward kradł dalej. A że miał długie ręce, stąd ksywka „Edward Nożycoręki”.

Gdzie jest granica żenady? Na początku 2020 r. cała Jasionka żyła wymianą proboszcza. Biskup musiał go usunąć po tym, gdy ks. Piotra przyłapano na kradzieży prezerwatyw w Biedronce. Co innego ksiądz, który ukradł w Biedronce w Sepólnie wódkę. Wstyd, „małpka” nie budzi zgorszenia, niech pierwszy rzuci kamieniem, kogo nagle nie suszyło. Więc prócz mandatu nie poniósł żadnych konsekwencji.

● A przecież wcale nie trzeba kraść. Są bardziej cywilizowane sposoby na łatwy zarobek.

Były jezuita, antropolog i historyk Stanisław Obirek opowiadał mi, jak to przełożeni zakonni bez skrupowania zachęcali go, by zaangażował się w relację z wdówkami. Nie chodziło o nic zdrożnego. Ot, wizyta na herbatce, prezenty na imieniny, miłe słowo i chwila uwagi. To inwestycja. Działo się to w Chicago, a chodziło o spadki.

Samotny starszy człowiek, który pozostaje w luźnych relacjach z bliskimi, to doskonały adres. Tak jak 90-latka ze Słupska. Mieszkała sama w dwupokojowym mieszkaniu. Kiedy zmarła, okazało się, że jego właścicielem został ksiądz. Jak donosił „Głos Pomorza”: „Jeszcze nie odbył się pogrzeb, a w mieszkaniu pojawił się ks. Edward, były wikary z parafii Świętego Serca Jezusowego. Powiedział, że będzie naszym nowym sąsiadem. Posprzątał mieszkanie po pani Edycie, wymienił klucze, zostawił numer kontaktowy i odjechał ładnym samochodem – opowiadają sąsiedzi”.

W Krakowie opowiadano mi o przeniesieniu właścicieli kamienic w dobrych lokalizacjach do domów spokojnej starości prowadzonych przez siostry. Kobiety dostawały w ostatnich latach życia uwagę, bliskość duchową z absolutem. Ksiądz, inicjator tej szlachetnej akcji, przypadkiem został właścicielem kilku dobrych mieszkań. To norma: starsza pani czuje się wysłuchana, zaopiekowana i pęka z dumy z przyjęcia księdza przed sąsiadkami. W końcu postanawia oddać wszystko, co doczesne, Kościołowi. Bliscy o niej zapomnieli, a ksiądz Tomek, Marcin czy Adrian są tacy dobrzy. Notariusz wpisuje w rubryce „osoba obdarowana” nazwisko księdza. Staruszka nie docieka, bo czego? Przecież to jest to samo, ksiądz równa się Kościół.

● Notariusz z dolnośląskiego, znajomy znajomego, początkowo zasłania się tajemnicą, choć spotykamy się właśnie po to, by porozmawiać na ten temat. Po dłuższej pogawędce o branżowych sprawach, polityce i księżach rzuca: – Absolutnie proszę nie podawać miasta, najlepiej zmienić województwo. Po czym opowiada mi o apartamentach, które kupują na starość księża. Najlepsze lokalizacje, wysoki standard, cena za metr kw. nie gra większej roli.

– Wycwanili się – zauważa. – Kupują na partnerki. Sobie wpisują jednak służebność lokalu. Gdyby kto pytał, nic nie mają. No ale mają do końca życia gdzie mieszkać. I dzieci są zabezpieczone.

Uśmiecha się. – Był taki jeden, co poszedł bardzo grubo.

– Grubo?

– Przyszedł do mnie kiedyś z panią do brzo po siedemdziesiątce. Zapisala na niego mieszkanie, choć miałem wrażenie, że dopiero go poznała. To był nowy ksiądz w parafii.

– Nie miał pan oporów?

– A co ja mam do decyzji tych pań? Skoro chcą obdarowywać za życia tym, co mają, akurat księży?

Mimo wszystko mam z tym problem.

– No nie wiem... Wykorzystanie funkcji...

– A na kogo mają to przepisać? Na posterunek policji? – zirytowany macha ręką i przechodzi do konkretów: – Tamten ksiądz przyszedł raz jeszcze sam. No i zaczyna mi coś klarować, że jest jeszcze jedna pani, no, ale ona sama to się do mnie nie pofatyguje.

– Znaczy, że co?

– No, że już nie chodzi jakby. No to pojechalismy. Mieszkała w takiej pięknej kamienicy. Ale nie dalo się wejść w żaden dialog. Widzę, że kobieta nic z tego, co się do niej mówi, nie rozumie. I ja mu tłumaczę, że to jest śliski temat. Że tu by trzeba mieć jakieś zaświadczenie od lekarza, że ona jest w pełni władz umysłowych, no ale w tym stanie to żaden lekarz raczej nie da.

– No i...

– No i niech pan sobie wyobrazi, że dwa dni później on mi takie zaświadczenie przynosi. Papier od psychiatry. Bardzo zgrabne pismo. Ale to nie wszystko. Bo on mi mruga porozumiewawczo i mówi, żeby zrobić ten akt na kolegę, bo on już na siebie ma za dużo. Pan sobie wyobraża?!

Oczywiście, że sobie wyobrażam. Nie takie numery robili przecież księża. O jednym z patentów opowiada mi wierna z Małopolski. Siedzimy w rynku przy pierogach, jeszcze po rusku. „Był taki ksiądz, co to non stop na coś zbierał pieniądze. A to na witraż, a to na jakiś remont, przebudowę albo rozbudowę. No, ale efektów nie było jakoś widać. I ludzie zaczęli gadać, że coś jest nie tak. Aż przesadził. Opowiadał, że zbiera środki na operację jakiejś dziewczynki, lecz na prośbę jej bliskich nie może nic więcej powiedzieć. Naprawdę wprawiał cały kościół w łzawy nastrój i przestępował na współczucie. No i ludzie dawali”. Okazało się, że młody przedsiębiorczy ksiądz kupił sobie apartament na boku. Biskup zabrał go z parafii z dnia na dzień. Ale musiał mieć coś poważniejszego na sumieniu, bo za jedno mieszkanie nikt nikogo nie przenosi do odległej parafii.

Tyle szczęścia nie miał starszy jezuita zatrzymany na warszawskim Mokotowie. Wcześniej z kilkanaście lat młodszym pryncipalem okradli braci z klasztoru na Rakowieckiej z zabytkowego krzyża i obrazów z XVIII wieku. Łup wyceniał się na 100 tys. zł. Dwa dni po opuszczeniu zakonu świeżo upieczony eks poślubił 91-latkę, która tuż przed zawarciem małżeństwa przepisała cały swój majątek na partnera jezuitę.

● – Proboszczowie kradną, to było i jest dla wszystkich oczywiste – tłumaczy mi prawa ręka biskupa z jednej z zamożnych diecezji na południu Polski. – Ale jest jedna zasada: dobrego gracza cechuje umiar. Jak dochody z jakiejś parafii gwałtownie spadały, staraliśmy się jakoś wyjaśnić. Ale częściej wszystko wychodzi po fakcie. Nastaje następca i dochody gwałtownie rosną. Przykre sytuacje, bo obciążały często zasłużonych księży.

– A ile da się dorobić na boku, żeby nikt się nie czepiał?

– Po zmianie warty w parafialnej kasie po miesiącu nagle przybywa kilkadziesiąt tysięcy.

– Wyciągacie konsekwencje?

– A niby jak? Gdybyśmy mieli wszystkich proboszczów rozliczać, żaden by się nie ostał.

– Prokuratura?

– To wtedy, gdy kradną miliony – uśmiecha się. – Nie no, żartuję. To się nie opłaca, bo robi się afera i ludzie zupełnie przestają dawać.

● Przykład idzie z góry. Kościół instytucjonalny wykorzystuje szereg przywilejów w konstytucji i konkordacie ustanowionych w zamian za poparcie przystąpienia Polski do Unii Europejskiej. Ale najważniejszy pochodzi z początków Polski Ludowej. To słynny Fundusz Kościelny. W roku 1950 państwo przejęło kościelne dobra martwej ręki – czyli majątki niezbywalne (spełniając, na marginesie, jeszcze przedrozbiorowe postulaty szlachty). W zamian ustanowiło fundusz, z którego miano m.in. opłacać składki emerytalne i zdrowotne duchownych, konserwację zabytków sakralnych i pokrywać inne potrzeby Kościoła (przy okazji – dwie pieczenie przy jednym ogniu – uzależniając go od siebie i pacyfikując wzburzenie wiernych).

Drugi kluczowy akt prawny to sam schyłek Polski Ludowej. Słabnący rządzący po-

stanowili odwdziżyć się biskupom za pośrednictwo w pokojowym podzieleniu się władzą z opozycją. Tuż przed przełomowymi wyborami czerwcowymi 1989 roku w ramach nowej ustawy o stosunku Państwa do Kościoła Katolickiego w Rzeczypospolitej Polskiej powołano przy MSWiA pięć komisji – dla katolików, ewangelików, prawosławnych, żydowską i „międzykościelną” dla pozostałych wyznań. Miały orzekać w sprawie zwrotu Kościołom i związkom wyznaniowym majątku przejętego przez państwo za PRL.

Do „katolickiej” Komisji Majątkowej w ustawowym terminie, czyli do końca 1992 r., wpłynęło ponad 3 tys. wniosków. Do 2011 r. – kiedy po licznych skandalach i pod naciskiem opinii publicznej rząd Donalda Tuska ją rozwiązał – 1,5 tys. spraw zakończyło się ugodą. Niezakończonymi zajęły się sądy powszechne. W „Sprawozdaniu z działalności Komisji Majątkowej w latach 1989-2011” czytamy, że przekazano „kościelnym osobom prawnym” rekompensaty i odszkodowania w wysokości 143 534 231,41 zł oraz ponad pół tysiąca nieruchomości wartych około 5 mld zł. Obejmowały one 66 tys. ha. Plus 76 tys. ha od Agencji Nieruchomości Rolnych i 4 tys. ha od Lasów Państwowych.

Na papierze przywracała sprawiedliwość dziejową. W realu Komisja Majątkowa stała się jednym z najbardziej patologicznych organów III RP. Przykłady jedne z wielu:

W lutym 2011 r. CBA kieruje do prokuratury sprawę, w której Kościół otrzymał rekompensatę o 318 ha większą niż utracona ziemia. Nikt nie pamięta, jak do tego doszło. Brakuje pełnej dokumentacji. Jaka parafia skorzystała – nie wiadomo. Osoby – nieznane. Sprawa umorzona.

W 1991 r. parafia Apostołów Filipa i Jakuba w Żorach zażądała zadośćuczynienia za ponad 40 ha rolnych. Dostała w kilku orzeczeniach 360 ha.

W 2007 r. parafia św. Małgorzaty i Katarzyny w Kętach przedkłada operat szacunkowy, z którego wynika, że należy jej się ponad 2,2 mln zł. Komisja przyklepuje, choć wycena była zawyżona i znalazły się w niej nieruchomości, za które Kościół już dostał rekompensatę.

Kraków. Zgromadzenie Księży Misjonarzy św. Wincentego à Paulo otrzymuje grunty o wartości 24 mln zł, choć wartość utraconych nieruchomości nie przekracza 1 mln. CBA mówi o zawyżonych roszczeniach, заниzonych operatach, braku nadzoru. Kościół niczego nie oddaje.

Stolica. Teren przy Targowej, jednej z głównych ulic prawobrzeżnej Warszawy, zostaje oddany w ramach rekompensaty, choć dokumenty wskazują, że roszczenia już zaspokojono. Wartość ziemi – 6 mln zł.

Bieszczady. Ponad 400 ha przekazanych zakonowi. Wycena: 1,2 mln zł. Rynkowa wartość: ponad 15 mln. Tereny szybko trafiają w ręce inwestorów.

W 2008 r. Towarzystwo Pomocy Bezdomnym im. Brata Alberta przy krakowskim zakonie albertynek dostało dwie działki w Zabrze. Powołany przez komisję rzeczoznawca wycenił je na 6 mln zł. Prawdziwa wartość – 34 mln. Ale to nie albertynki zrobiły na zwrocie ziemi biznes życia. Zarobiła zaprzyjaźniona z biskupem Piotrem Libera rodzina śląskiego biznesmena, która szybko odkupiła od zakonu ziemię. Jak podała „Wyborcza”, biznesmen podarował archidiecezji katowickiej 8 mln zł.

Ksiądz Tadeusz Nowok, proboszcz parafii Jana Chrzciciela w Bielsku-Białej i jednocześnie wiceprzewodniczący Komisji Majątkowej, doprowadza do przekazania jednej z bielskich parafii czterech działek po 10 ha każda – m.in. u podnóża Dębowca i Szyn-dzielni. Wkrótce parafia sprzedaje dwie. Jedną ks. Nowokowi, drugą – jego znajomemu Markowi Piotrowskiemu. „Człowiekowi, który załatwia”, czyli byłemu funkcjonariuszowi peerelowskiej bezpieki, któremu ksiądz pomógł się wkręcić do Episkopatu, dzięki czemu został reprezentantem parafii i zakonów chcących popchnąć swoje sprawy w ko-

misji. Działka poszła do proboszcza za około 145 tys. zł, choć jej rynkowa wartość mogła sięgać kilku milionów.

Komisja działała po cichu. Nie publikowała protokołów. Nie udostępniała uzasadnień. Decyzje były ostateczne. Nie było odwołań. Była jak czarna skrzynka.

Jak to się stało, że zakony, parafie i kurie dostały więcej, niż utraciły? Komisja nie prowadziła rejestru dat wpływu wniosków ani przedmiotów, których wnioski dotyczyły. Więc bywało, że jeden wniosek był rozpatrywany kilka razy. Rekord to rozpoznanie tego samego wniosku 15 razy. Prokuratura stwierdziła, że organ, od którego orzeczeń nie było odwołania, przyjmował operaty sporządzone przez biegłych bez żadnej refleksji. Nie badano nawet, czy żądana nieruchomości należy w ogóle do skarbu państwa. Zdarzyło się, że przekazano Kościołowi ziemię osób prywatnych.

W 2012 r. prawnicy z działu kontroli kancelarii premiera opisali działalność komisji. Dokument utajniono, ale można było do niego dotrzeć, gdyż był załączany do innych postępowań. Oto jego wnioski: Komisja nie rejestrowała dat składania wniosków ani cen przekazywanych gruntów. Akta spraw nie były opisane ani uporządkowane. Bez spisu treści nie można ustalić, czy teckiz są kompletne. Akta 57 spraw zaginęły. Nie rejestrowano, kto pobiera dokumenty, więc nie można ustalić winnych. Komisja nie weryfikowała cen gruntów przedstawianych przez stronę kościelną. Komisja nie sporządzała protokołów głosowań. Stwierdzono liczne braki w dokumentacji – np. w 1994 r. nie zapisano, że cystersi otrzymali działki w Krakowie, więc dziesięć lat później otrzymali jeszcze 66 mln zł rekompensaty. Członków komisji powoływano bez kryteriów, nie weryfikowano ich kompetencji czy potencjalnych konfliktów interesów.

Choć komisja jest już przeszłością, dziś też Kościół nie musi się martwić o majątek. Nie tylko dlatego, że Fundusz Kościelny wciąż działa i choć miał zniknąć – przed wyborami 2023 roku opozycyjna wówczas KO wpi-sała jego likwidację na 16. miejscu wśród 100 konkretów na pierwsze 100 dni rządów – tylko rośnie. Mimo że biskupi za rządów Zjednoczonej Prawicy przed każdymi wyborami wspierali PiS słowem i czynem – np. udostępniając na spotkania z rządowymi kandydatami kościelne obiekty i salki parafialne – w zeszłym roku Kościół dostał od rządu Tuska rekordowe 257 mln zł. Tyle, ile zapisał w budżecie na odchodne PiS, po którego rządach nowa koalicja miała sprzątać. Rekord został szybko pobity – tegoroczny Fundusz to 275 mln. Gdy w 2017 r., pierwszym pełnym roku rządów PiS, biskupi dostali 126 mln, by dobić do 216 mln.

Hierarchowie, świadomi, że wpływ z tacy i opłat za sakramenty będą topnieć, myślał o inwestycjach. Archidiecezja Warmińska wybudowała w Rybakach kompleks hotelowy, 300 pokoi i 28 domków letniskowych. „Jesteśmy zmuszeni do poszukiwania nowych, zewnętrznych źródeł finansowania” – wyjaśnił arcybiskup. Spółka Omninvest, w której udział mają diecezje plocka i toruńska, zainwestowała w budowę farmy fotowoltaicznej EPV Wesółka w Płocku.

Jeszcze ambitniejszy projekt, na skalę największych deweloperów, od lat ma kardynał Kazimierz Nycz. Chce postawić w centrum Warszawy 170-metrowy drapacz chmur. Zaprotestowali społecznie broniący zabytkowego układu przestrzennego, zaczął się urzędniczy ping-pong między resortem kultury, samorządem, konserwatorem zabytków a wojewodą, więc Roma Tower zostaje na razie na deskach kreślarskich.

Takie newsy wywołują krytyczne, wręcz hejterskie komentarze. Ale w tym, że korporacja legalnie inwestuje i pomnaża majątek, nie ma nic złego.

Lecz dlaczego wszyscy obywatele, również ci, którzy nie korzystają z usług tej korporacji, zrzucają się na jej utrzymanie? I to

mimo że byłaby w stanie utrzymać się z oficjalnego majątku, przychodów zeń i inwestycji? Nie mówiąc o szarej strefie, nierejestrowanych tacach, ślubach i pogrzebach co laska szacowanych na 5-7 mld zł. Wobec tej góry gotówki ćwierć miliarda z Funduszu to grosze. Dlaczego państwo nadal łoży miliony złotych na remonty kościołów, i to nie tylko tych wpisanych do rejestru zabytków, na dotacje dla zakonów, na szkolne katechezy? Na koniec z ministerialnych gabinetów i pałaców biskupich wróćmy na wieś, do kościelnej codzienności.

Ten lipcowy poranek przypada w poniedziałek. Marcin ma wreszcie wolny dzień. Jedzie 70 km za granicę powiatu, w którym na co dzień mieszka i pracuje. Nierzucającą się w oczy skodą fabią wyjeżdża spod nadszarpniętego zębem czasu budynku. Ma na sobie służbowe ubranie: wypchane od kolan spodnie z materiału, czarną koszulę z wytartym kołnierzykiem i koloratką oraz szarą jak życie w parafii, w której jest proboszczem, marynarkę. Nie różni się od innych księży szaraków.

Były jezuita Stanisław Obirek opowiadał mi, jak to przełożeni zakonni bez skrupowania zachęcali go, by zaangażował się w relację z wdówkami. Nie chodziło o nic zdrożnego. Ot, wizyta na herbatce, prezenty na imieniny, miłe słowo i chwila uwagi. To inwestycja. W spadki

Ale za chwilę ma się to zmienić. Kupił za miastem ranczo. A że przy okazji robi remont w kościele, ma pod ręką sporo materiału. Jak mu się znudzi malowanie ścian, cyklinowanie parkietu i przebudowa komin-ka, pójdzie do warsztatu. Taka złota rączka z niego, ma to w genach po ojcu, który dorobił się na wykończeniówce w Niemczech: kładzenie glazury, parkietów, równanie ścian.

Ale warsztat to jego własne odkrycie. Ksiądz ma dwa harleje. W warsztacie odpala muzykę ze Spotify na głośniku JBL ZZ Top. Poza motorami kupił sporo harleyowych gadżetów – skóry, buty, rękawiczki do łokci, ma też kilka kasków. To drogie hobby. Ale jakoś gdy skończył 45 lat, stwierdził, że jego życie nie ma sensu. Na co się spinać: budować kolejny kościół, organizować pielgrzymki i duszpasterstwa...? Czas zrobić coś dla siebie. Koledzy doszli do tego już dawno.

Pije piwo, jeszcze podkręca muzykę. Był nie myśleć o tym, co będzie jutro. Na rachunku jeszcze niedawno brakowało 300 tys., ale teraz brakuje 500 – i to już może się wydać. Mógłby poprosić tu i ówdzie o zawyżenie rachunku za jakiś remont, ale takiej kwoty to nie pokryje. Myślał nawet, czy nie wzniecić pożaru albo nie sprokurować napa-
du na plebanię.

Wie, że prędzej czy później biskup go przejrzy. Właśnie objeżdża z duszpasterskimi wizytami diecezję. Jasne, że Marcin wręczy mu, jak wszyscy proboszczowie wszystkim biskupom, stojącą kopertę. A do bry platnik może liczyć na wyrozumiałość. Może mieć dziewczynę, jeździć na chłopaków, niespecjalnie ukrywać dzieci. Musi tylko pilnować, żeby żadna z jego słabości nie przedostała się do mediów.

Tylko że Marcin nie jest dobrym płatnikiem. Pieniądze z ostatniej zbiórki na kościół już się rozeszły, a kolejnej raptem po miesiącu nie może ogłosić. Bo ludzie zaczną szep-

tać, pytać, sprawę zwietrzy pismak z lokalnego portalu.

Marcina i jego strapienia poznałem, pisząc „Plebanię”. Jak ten czas szybko płynie: napisałem „Zakrystię”, już kończę „Pałac”, gdy znowu się spotykamy.

– Już nie boisz się, że to wszystko kiedyś wyjdzie? – pytam.

Zamiast odpowiedzi pokazuje mi list od swojego biskupa, który dziękuje mu za godne przyjęcie.

– No i jak było na tej wizytacji? – Już wtedy, gdy kierowca otwierał mu drzwi, wiedziałem, że będzie dobrze.

Arcybiskup jest na rauszu. To trzecia tego dnia wizytacja, więc nasącza się alkoholem od rana. A wszyscy w diecezji wiedzą, że szef pije na wesoło, nie na smutno czy groźnie. Jest pogodny, wyrozumiały i jowialny. Prosi księdza, by zaprowadził go na chwilę do kościoła. Wpada mu w oko pewien obraz.

– Piękny – ze znanstwem ocenia hierarcha.

– Piękny – przyznaje rację Marcin.

Żeby hierarcha mógł kontemplować, zapalono w kościele wszystkie światła.

– Trochę wart, co?

– No tak. To przecież XVI wiek – Marcin przyznaje rację, choć wie, że to żaden Dürer czy Memling, tylko malowidło, jakich wiele, co z tego, że ponad 400-letnie, skoro spod pędzla lokalnego pacykarza.

Biskup rozgląda się po kościele, zafrasowany przechyla głowę i postanawia: – Nie może tu zostać. Bierzymy go ze sobą.

Ksiądz jest zdziwiony.

– Ale jak to?

– Tu jest niebezpiecznie. Mogą ukraść.

– Ale co ludzie powiedzą? – martwi się pleban.

– Dam księdzu dobrą radę. Proszę się nie tłumaczyć – uśmiecha się biskup.

Marcin, krok z tyłu, odprowadza go do limuzyny ze zbolą miną. Całym sobą mówi: „Takie poświęcenie!”, no ale dla księdza biskupa... A w duchu aż podskakuje z radości.

Biskup też ma ranczo. To w zasadzie pałac. Nie zna się na sztuce, ale od zaprzyjaźnionych biznesmenów usłyszał, że warto obrazy zbierać. No to zbiera po parafiach. Ma swoje lata, wizytacje są męczące, ale już do-bija do wieku emerytalnego, więc trzeba się spieszyć. Za dwa lata wprowadzi się do swojej posiadłości.

– A następca? – pytam Marcina.

– A skąd ma wiedzieć, co wisiało w prywatnych apartamentach biskupich w kurii?

A nawet gdyby jakiś chcący się przypodobać, ambitny albo pamiętliwy kurialista coś szepnął, to nowy nie będzie wnikał. Przecież nie zawiadomi prokuratury, że coś mu poginęło. Co by to było, jakby ludzie się dowiedzieli? Nic by już więcej na tacę nie dali.

Nie oplaca się. Lepiej już dalej kraść. Tylko z głową. ●



Artur Nowak

• ur. w 1974 r., adwokat reprezentujący ofiary pedofilii w Kościele, pisarz, publicysta. Autor książek reporterskich „**Plebania**” i „**Zakrystia**”, współautor (z prof. Stanisławem Obirkim) reportaży „**Babilon. Kryminalna historia Kościoła**”, „**Gomora. Władza, strach i pieniądze w polskim Kościele**” oraz „**Skandaliści w sutannach. Od kardynała Wyszyńskiego do arcybiskupa Jędraszewskiego**” (dostępne w formie e-bookana Publio.pl), a także – z Ireneuszem Ziemińskim – książki historyczno-socjologicznej „**Chrześcijaństwo. Amoralna religia**”. Współtwórca podcastu „Kryminalna historia Kościoła”. W maju ukaże się nowa książka, którą napisał razem z prof. Obirkim „**Antysemickie chrześcijaństwo**”.

MAGAZYN wyborcza

**Tworzymy go
my i Wy:**
dziennikarze
i Czytelnicy

Opisujemy
wydarzenia,
poglądy i emocje.
**Zawsze
prawdziwe**

Zachęcamy
do refleksji
i inspirujemy



Czytasz. Myślisz. Rozmawiasz.

 MAGAZYN
wyborcza

szukaj w punktach sprzedaży prasy
przez cały tydzień!

Cierpienie nie uszlachetnia

z poważaniem
Eutanazja Kowalska

Agata Szczygielska-Jakubowska

W sobotę 5 kwietnia dr Maciej Jędrzejko, ginekolog i położnik z Uniwersyteckiego Centrum Klinicznego im. prof. Kornela Gibińskiego w Katowicach-Ligocie, otworzył list od swojej pacjentki. Prosiła, by list upowszechnić. Podpisała się: „Eutanazja Kowalska”.

11 kwietnia o godzinie 4.34 jej mąż przekazał wiadomość, że Eutanazja Kowalska odeszła.

„Proszę podziękować wszystkim, którzy udostępniili list mojej ukochanej żony” – napisał do doktora Jędrzejki.

– Odeszła tak, jak chciała i wtedy, kiedy chciała – na swoich zasadach. Ból był nie do zniesienia, ale Eutanazja nie chciała sedacji – bo ją otepiała i usypiała. Ona chciała odejść po swojemu, w pełni świadomie, trzymając nas za ręce. Byliśmy przy niej do końca. Odeszła spokojna i szczęśliwa. Poprosiła, by podczas infuzji puścić jej na koniec utwór Beethovena „Dla Elizy”. Bo tak naprawdę miała na imię – Eliza. Niech ten utwór stanie się hymnem wolności i prawa do podejmowania decyzji o własnym życiu. Eutanazja to po grecku znaczy „dobra śmierć” – dodał mąż Elizy-Eutanazji Kowalskiej.

**Nie proszę o śmierć.
Proszę o możliwość wyboru.**

„Piszę do Pana ten list z miejsca, do którego nie dociera już nadzieja.

Nie piszę po to, by prosić o jeszcze jedną próbę. Piszę, bo moje życie zbliża się do końca – i bardzo bym chciała, żeby jego zakoń-

czenie miało jeszcze sens. Nie tylko biologiczny. Ludzki.

Zna mnie Pan dobrze. Zrobił Pan dla mnie więcej niż ktokolwiek na świecie poza moją rodziną, mężem i dziećmi. Jeśli zdecyduje się Pan opublikować mój list – proszę, niech Pan zmieni moje imię na Eutanazja, bo to imię brzmi pięknie jak Anastazja.

Mam zatem na imię Eutanazja. Mam 44 lata. Kiedyś byłam prawniczką. Potem nagle stałam się pacjentką.

Zgłosiłam się za późno – poprzedni lekarz powiedział, że jestem »za młoda na raka«, i nie wysłał mnie na USG, rezonans ani mammografię. A ja zaufałam jego palcom, a nie swoim...

Dziś jestem resztką człowieka, którego pamiętam z lustra. Rak piersi IV stopnia z przerzutami do kości, wątroby, a ostatnio – do kanału kręgowego – nie zostawił mi wiele. Nie chodzę. Nie poruszam się sama. Jestem pod opieką hospicjum domowego. Cudowni ludzie.

Nie zostało mi już nic – może poza świadomością. I bólem. Na który nie pomaga już morfina. Ani fentanyl. Ani medyczna marihuana.

Wiem, że to może być tzw. przejaśnienie świadomości – taka ostatnia jasność, która czasem pojawia się kilka dni przed śmiercią.

I właśnie dlatego piszę – bo to może moje ostatnie słowa, których już nie wypowiem. Piszę, żeby się pożegnać.

Nie przyjadę już do Pana na wizytę – choć uwielbiałam te spotkania. Wchodziłam do Pana załamana, a wychodziłam pełna siły. To Pan sprawił, że przeżyłam dłużej, niż przewidywały mediany i statystyki.

Pamiętam, jak mówił Pan o seksie i beta-endorfinach. Wtedy myślałam: »Co za nieakt... ja umieram, a on mi o orgazmach opowiada...«. Jednak chcę, żeby Pan wiedział: dzięki tym rozmowom nasz seks z mężem – w ostatnim roku mojego życia – był

najlepszy w całym naszym małżeństwie. Mimo amputacji piersi otworzyłam się na niego. A On – patrzył na mnie tak, że uwierzyłam, że jestem piękna.

Zrozumiałam wreszcie, że »prawdziwa miłość to patrzeć sercem, a nie receptarami wzroku« – tak jak Pan mówił. Gdy byłam zdrowa, miałam naprawdę ładny biust. Jednak nie wierzyłam, że jestem piękna. Dopiero po amputacji uwierzyłam. Dopiero w chorobie zrozumiałam.

Panie Doktorze – Pan ma jakąś tajemną moc. Zmienia Pan świat słowem. Ludzie czytają Pana długie posty, wbrew wszelkim algorytmom. Dlatego piszę do Pana – nie do ministra, nie do lekarza, nie do księdza. Do Pana – bo Pan rozumie cierpienie, ale go nie mitologizuje.

Był Pan współtwórcą filmu „O tym się nie mówi” w reżyserii Marka Osiecińskiego – filmu, który powinien być lekturą obowiązkową w każdej szkole medycznej. To nie był film. To był krzyk kobiet, którym odebrano prawo wyboru. W jednej ze scen doktor (a dziś już chyba profesor) Maciej Socha opowiada o ostatnich dniach ks. prof. Józefa Tischnera. Kiedy Tischner nie mógł już mówić, przekazał swoim bliskim na kartce jedno zdanie: »...nie uszlachetnia...«.

To prawda. Ja, prawniczka, żona, matka, pacjentka potwierdzam: cierpienie nie uszlachetnia.

To zdanie powinno być wyryte nad wejściem do każdego hospicjum, każdego sejmiku, każdego kościoła i każdej sali sądowej, gdzie decyduje się o życiu innych ludzi.

Bo ja już wiem. Wiem, co znaczy oddawać moc przez cewnik. Być karmioną przez PEG. Mieć wylonioną stomię. Wycić z bólu po cichu, w nocy, mimo pompy z morfiną.

Wiem, co znaczy bać się nie śmierci – tylko tego, jak długo jeszcze potrwa umieranie. To nie duchowa podróż.

To rozkład.

To bezradne czekanie w bólu na śmierć.

Panie Doktorze – błagam Pana, nie jako pacjentka, ale jako człowiek – niech Pan opublikuje ten list. Niech Pan wykrzyczy to, czego ja już nie zdążę powiedzieć:

CZŁOWIEK MA PRAWO ODEJŚĆ GODNIE, GDY MEDYCYNĄ I PSYCHOLOGIA SĄ BEZRADNE.

Nie proszę o śmierć. Proszę o możliwość wyboru.

Bo teraz – to Wy, Narodzie – jesteście panami mojego cierpienia. To Wy podejmujecie decyzję, czy mam zdychać, czy odejść.

Ja w Polsce mogę popełnić samobójstwo – ale nie mam już siły. Nie wstanę, nie sięgnę po tabletki, nie rzucę się z okna. W Polsce muszę zdychać.

Wiem, że jeśli będzie trzeba – mój mąż... przyłoży mi poduszkę do ust, gdy już nie będę dawać rady. Tylko że on będzie z tym żył. Z poczuciem, że mnie zabił.

A ja chcę, żeby ktoś – jak w Holandii, jak w Belgii, jak w Kanadzie – usiadł przy mnie, wziął za rękę i powiedział: »Nie możemy już nic więcej zrobić. Szanuję Pani decyzję. Zaczynamy się żegnać«.

I teraz pytanie do Was – do tych, którzy to czytają: Gdybyś był na moim miejscu – chory terminalnie, połamany, w bólu, który rozrywa duszę – czy chciałbyś mieć prawo, by zakończyć to wszystko, zanim staniesz się tylko ciałem do przewijania pampersa?

A jeśli byłbyś na miejscu mojego lekarza – co byś powiedział? »Nie, nie pozwolę Ci odejść, bo moja wiara mi na to nie pozwala«? Czy może: »Kim ja jestem, by Ci tego zabronić, kiedy zrobiłaś już wszystko, a medycyna skapitulowała wobec Twojego cierpienia?«.

I przypomnij sobie – swojemu psu pozwoliłeś odejść bez bólu, bo nie chciałeś, żeby się męczył.

**Z poważaniem
Eutanazja Kowalska”.**



FOT. ELSA CAENEZ/ISTOCKPHOTO/GETTY IMAGES

GDY MILCZYMY – LUDZIE UMIERAJĄ ŹLE, NIEGODNIE.

Z **DR MACIEJEM JĘDRZEJKO**
ROZMAWIA
AGATA SZCZYGIELSKA-JAKUBOWSKA

Jak odebrałeś list Eutanazji – Elizy Kowskiej?

– Dostaję codziennie po kilkadziesiąt wiadomości od pacjentek. Jednak ta była zupełnie inna, to było nie tylko głęboko wzruszające, osobiste pożegnanie z lekarzem prowadzącym, ale przede wszystkim wstrząsający manifest, w którym autorka domaga się godności, wolności i szacunku dla jej decyzji w jej własnym kraju.

Jej list dosłownie wprasał mnie w fotel. Każde kolejne zdanie było potwierdzeniem tego, co od dawna myślę i czuję na temat eutanazji, ale nigdy nie odważyłem się tego wypowiedzieć. Czytając ten wstrząsający list, miałem poczucie, że dobrze znam tę historię, tę opowieść. Pracuję w tym zawodzie już 21 lat, diagnostyką raka piersi zajmuję się od ponad 10. Obecnie co najmniej kilka-, kilkanaście moich pacjentek jest w podobnej sytuacji. Jednak nigdy jeszcze żadna pacjentka w taki sposób do mnie nie wróciła. Nigdy dotąd nie miałem takiego potężnego feedbacku.

Co to znaczy?

– Zwyczajnie. Przychodzi do mnie bardzo dużo pacjentek, po postawieniu diagnozy na podstawie biopsji gruboigłowej odsyłam je do instytutów onkologii, gdzie onkolodzy przejmują leczenie. Wracają do mnie na konsultację ginekologiczną raz w roku lub raz na pół roku. W zaawanso-

wanych stadiach choroby zwykle po jednej-dwóch kolejnych wizytach kontakt się urywał...

Pacjentki znikały, nie przychodziły na kolejne wizyty... Czasem słyszałem od tych, które chorowały na raka piersi w IV stadium: „Panie doktorze, to prawdopodobnie już ostatni raz”. W takich przypadkach ich nie okłamuję, staram się podtrzymywać je na duchu, zachęcać, żeby zrobiły jeszcze coś ważnego, czego nigdy nie robiły. Takich historii też mam dużo.

Potem zdarzają się lapidarne, pisane w bólu SMS-y od mężów: „Żona odeszła, prosila przekazać pozdrowienia i podziękowania za wsparcie”.

Ten list był inny.

– Tak. Przez to, że ta pacjentka to wszystkim nazwała, opisała. To było przeżycie, które wcześniej na ogół starałem się w sobie hamować. W mojej praktyce lekarskiej mam umierających pacjentów, czasem towarzyszę im w tej ostatniej drodze, trzymam ich za rękę, czasem jestem w kontakcie telefonicznym czy SMS-owym. Przeżyłem wiele historii osób, których już de facto nie było, a raczej były tylko wyjącem z bólu, rozpadającym się ciałem.

Dlaczego więc historia akurat tej pacjentki była dla ciebie tak szczególna?

– Nigdy nie dostałem takiej odpowiedzi, dlatego to był dla mnie wstrząs. Emocje mnie przepelniły. Musiałem to w sobie poukładać, pozwolić sobie to przeżyć, trochę popłakać w samotności. Nie miałem siły opublikować tego listu od razu, nie dałem rady, musiałem trochę odczekać.

Obawiałeś się komentarzy?

– I tak, i nie. Z jednej strony od lat zamieszczam treści medyczne w internecie i jestem przyzwyczajony do wszelkich reakcji, w tym do hejtu, ale pomyślałem, że ten list jest tak mocny, że z pewnością spowoduje poruszenie we wszystkich obozach sceny politycznej – uruchomią się obrońcy życia, uruchomią się populiści, uruchomią się paranoicy – jak zawsze, kiedy temat jest społecznym tabu.

Pomyślałem: „O nie... jak zaczną się komentarze, to chcę mieć siłę, żeby na niektóre z nich odpisywać, a teraz nie dam rady”. Od 30 lat współtworzę zespół Banana Boat, właśnie jechaliśmy na festiwal do Białegostoku. Przeczytałem list Elizy mojemu bratu, potem reszcie zespołu. Pięciu dorosłych mężczyzn poruszył do łez. Zrozumiałem wtedy, że bezwzględnie to trzeba opublikować, bo to nie tylko ostatnia wola tej pacjentki, ale przekaz, który ma szansę zmienić Polską rzeczywistość.

Czy wiesz coś więcej o Elizie Eutanazji?

– Obowiązuje mnie tajemnica lekarska. Była moją pacjentką, gdy pracowałem jeszcze w Piekarach Śląskich, ze dwa lata temu. Twarzy nie pamiętam. Nazwiska nie znam – bo pacjentka napisała do mnie na Messengerze z anonimowego konta. Nie podała nazwiska, a ja nie dopytywałem. Wiedziałem tylko, że naprowadzał na imię Eliza, ale poprosiła wprost, żebym zanonimizował jej dane i zmienił je na Eutanazja Kowalska.

Przypomniała mi, że pierwszy raz zgłosiła się do mnie na wizytę mniej więcej cztery lata temu, że miała dużego, pięciocentymetrowego guza piersi. Wysłałem ją na mammografię, wynik badania był niepewny i niemiarodajny, zaproponowałem od razu biopsję gruboigłową. Ona nie bardzo chciała tej biopsji, ale podobno uparłem się jak osioł i powiedziałem jej, że jeśli się mylę, to zwrócę jej pieniądze za badanie. Niestety, się nie pomyliłem.

Potem jeszcze dwa-trzy razy była u mnie na wizytach, ostatni raz mniej więcej rok temu, i już wtedy śmiała się,

że dzięki naszym rozmowom „żyje dłużej, niż mediana przewiduje”. Była już po radykalnej mastektomii z usunięciem węzłów chłonnych i chemio-radioterapii, ale niestety, szybko okazało się, że pojawiły się przerzuty i rozpoznano u niej IV stadium.

Jak rozmawiasz z pacjentami, których choroba tak postępuje?

– Przychodzi do mnie wiele osób, które mają rozsiany nowotwór, są pod kontrolą instytutu onkologii. Współpracuję z prof. Michałem Jarząbem. Pacjentki w IV stopniu, dopóki mogą się poruszać samodzielnie – przychodzą do mnie na kontrolę ginekologiczną.

Podczas tych wizyt rozmawiamy o wszystkim, zwykle pacjentki zadają wiele pytań, a ja staram się dać im wsparcie. Rozmawiamy o tym, jak sobie radzą, jak im się życie układa, czy poza onkologią coś w ich życiu jeszcze istnieje. Pytam: „Czy oprócz tego, że pani ma raka, próbuje pani rozwijać jakieś pasje?”. Ona często mówi: „Ale jakie pasje? Panie doktorze, ja umieram!”. Wtedy tłumaczę: „Ale to właśnie o to chodzi. Pani teraz całe swoje siły i energię powinna skoncentrować nie na liczeniu dni do końca, tylko na tym, by każdy z nich przeżyć najlepiej jak to możliwe. Bo im więcej przyjemności, im więcej pozytywnych bodźców, tym lepsza jakość życia i tym większa szansa, że układ odpornościowy zacień walczyć z nowotworem osłabionym

Mam 44 lata. Kiedyś byłam prawniczką. Potem nagle stałam się pacjentką

przez chemię czy radioterapię. Nieważne, jak długie jest życie, tylko czy smakowała pani każdy dzień”.

Mówię pacjentom prawdę – że często przygnębienie i depresja zabijają szybciej niż sam rak. Tego typu przekaz staram się wpajać wielu pacjentkom, Eliza nie była jedyna.

Rozmawiacie też o seksie?

– Oczywiście, choć nigdy z inicjatywy pacjentek. Nadal temat seksualności w naszym kraju jest wstydliwym tabu. Dodatkowo istnieje takie absurdatne przekonanie, że człowiek chory na cokolwiek nie może już mieć potrzeb seksualnych, a przecież to elementarna potrzeba człowieka.

Eliza opisuje w liście, że trochę była oburzona, że: „Ja tu umieram, a doktor mi o seksie i orgazmach gada”, ale potem podkreśliła, że dzięki tym rozmowom zmieniła nastawienie, że to stało się dla niej ważne. Nigdy podczas wizyty mi nie zakomunikowała, że to, co jej powiedziałem o orgazmach, było nietaktowne. Przeciwnie, pamiętam, że śmiała się z tego, mówiła, że jej poprawiłem humor. W pożegnalnym liście podkreśliła, że te rozmowy były dla niej bardzo ważne, że to był dla niej pod względem seksu najlepszy rok.

Niezwykle...

– Fragment o tym, że będąc w zaawansowanym stadium, po leczeniu wszystkimi możliwymi środkami, po zabiegu odjęcia piersi – odkryła swoje piękno, a właściwie odkryli je razem z mężem, rozłożył mnie totalnie. To mi jasno pokazało, jak złudne jest nasze wyuczone poczucie atrakcyjności. Prawdziwe poczucie atrakcyjności odnajduje się w oczach kochanego partnera i we własnej kochającej

siebie głowie. To, co uznajemy za piękne, atrakcyjne, zależy od przyjętych społecznie, zmieniających się kanonów piękna, ale też naszych doświadczeń, nastawienia, wyuczonych stereotypów.

Tymczasem Eliza pokazała, że można mieć raka, można być po mastektomii i nadal być dla kogoś ukochanego pięknym. Przebija się w tym liście taki jakiś smutek, że kiedy miała piękne piersi, nie umiała postrzegać siebie jako pięknej, a dopiero choroba pokazała jej, czym naprawdę jest piękno.

Ja zrozumiałem ten przekaz tak, że głębokie piękno rodzi się w miłości. W relacji – tej najważniejszej – ze sobą samym i tej drugiej, równie ważnej, z partnerem, który jest mentalnie obecny i uważny.

Dla mnie ten list jest nie tyle o samej eutanazji, ile o godności, o walce o godne życie u kresu, godną śmierć.

– Dla mnie to jest manifest wolności do podejmowania własnych decyzji. Mówi o wartości, jaką jest odzyskiwanie wolności i pokonywanie własnych ograniczeń. Tak wiele kobiet latami źle siebie traktuje: „jestem niepełnowartościowa”, „jestem brzydka”, „jestem za gruba”, „jestem za chuda”, „mam to za małe, tamto za duże”, „jestem beznadziejna”, „jestem nie dość dobra”... Rozważanie Elizy jest poruszające na tym poziomie. Przepraszam. Rozmawiamy przez telefon, a ja przełykam łzy.

Ja również. A podobno lekarz nie powinien się emocjonalnie angażować w przypadki pacjentów...

– No tak się mówi, ale mam to gdzieś. W zawodzie lekarza cenię sobie poznanie pacjentów jako ludzi, a nie jako przypadki. Nie umiem skutecznie pracować z pacjentami bez zbudowania przynajmniej jakiejś cienkiej nici relacji. Ten list pokazał mi, że ominęła mnie okazja, by głębiej poznać kogoś niezwykłego.

Jak ten list przemawia do ciebie?

– Jest niezwykle nośny. Dla mnie jest o wolności, o odzyskiwaniu siebie, o godności i o jakości życia. Jasne, że długość życia jest ważna – bo więcej można doświadczyć, ale najważniejsza jednak jest jego jakość. Lepiej żyć dobrze niż długo. Żyć dobrze to dla mnie żyć świadomie, podejmować własne decyzje w zgodzie ze sobą.

Jednak to jest list również o tym, że naród, społeczeństwo odbiera jednostce prawo do podjęcia najważniejszej, bo ostatniej decyzji o tym, jak chcemy odejść.

Mam nadzieję, że w wielu ludziach słowa Elizy zasieją przekonanie, że tak nie można. Tak nie może być, żeby człowiek nie mógł decydować o sobie w ostatnich tygodniach życia z nowotworem. Trzeba zmienić prawo i ten świat.

Polskie społeczeństwo, decydenci chyba nie są na to gotowi...

– Każdy, kto dotknął takiej sytuacji osobiście – nie ma wątpliwości, że prawo do eutanazji jest dobrem, a nie złem. Najwięcej do powiedzenia mają ci, którzy nigdy nie doświadczyli cierpienia swojego ani swoich bliskich, są sedesowymi teoretykami. Albo nawet doświadczyli choroby onkologicznej, ale we wczesnym sta-

dium i zostali wyleczeni, zanim tak naprawdę poczuli się chorzy, przez co nie mają wyobrażenia, jak wygląda rozsiany nowotwór w stadium terminalnym.

Czy możliwość podjęcia decyzji o eutanazji powinna być ograniczona do przypadków nowotworu w bardzo zaawansowanym stadium?

– Przeciwnicy eutanazji argumentują, że jeśli pozwoli się na eutanazję w jakimś przypadku, to „pojawi się pokusa rozszerzania tego prawa na coraz więcej przypadków, również w innych chorobach, gdy człowiek czuje się ciężarem, nie chce żyć”, i pojawią się nadużycia.

Rozumiem takie obawy, ale uspokajam wszystkich, że w krajach, w których eutanazja jest legalna, a system dobrze zorganizowany – nadużycia się zdarzają incydentalnie. Prawo do eutanazji musi wynikać z obiektywnych, medycznych przesłanek. Wymaga często wielokrotnego wyrażenia świadomej zgody przez pacjenta. Wymaga konsylium lekarsko-psychologicznego. Wymaga bardzo licznych badań potwierdzających chorobę i jej nieuleczalny charakter i wyczerpanie wszelkich opcji terapeutycznych.

Przeciwnicy eutanazji, między innymi Kościół katolicki, uznają ją za morderstwo, głoszą, że odebrać życie może tylko ten, kto je dał – Bóg.

– Tymczasem żaden z nich nie jest w stanie zabronić człowiekowi popełnienia samobójstwa. Do popełnienia samobójstwa nie trzeba żadnego prawa. Przeciwnicy eutanazji uzurpują sobie prawo do wpływania na decyzję pacjentów terminalnie chorych. To absurd taki sam jak zakaz aborcji, który nie zmniejsza liczby aborcji.

Jak wygląda sytuacja człowieka, który znalazł się w terminalnym stadium nowotworu?

– W przypadku raka pacjenci proszą o pomoc, nie o śmierć. Jednak kiedy my, lekarze, nie mamy już nic do zaproponowania – powinniśmy powiedzieć pacjentowi prawdę: „Nie możemy już nic więcej dla ciebie zrobić, a żeby ulżyć ci w bólu, możemy tylko wprowadzić cię w stan śpiączki farmakologicznej – sedacji paliatywnej. Już nie będziesz miał świadomości istnienia, ale twoje ciało będzie żyło, aż samo umrze.

Co może zrobić pacjent, gdy taką informację usłyszy?

– Możliwości są trzy. Albo godzę się na cierpienie, ofiaruję je Bogu, w które wierzę. Albo zgadzam się na sedację paliatywną, wyłączenie umysłu, podczas gdy ciało umiera we własnym tempie. Albo decyduję: chcę dożyć do momentu, gdy jeszcze mam świadomość, ale jeśli ból będzie przekraczać moje możliwości zniesienia go mimo leków, a życie stanie się wegetacją i czekaniem na śmierć, to mam prawo podjąć decyzję o eutanazji – bo dla mnie sensem życia jest bycie świadomą istotą ludzką.

A co z metodami niekonwencjonalnymi takimi jak modlitwa, bioenergoterapia.

– Uważam, że zawsze decyzja powinna należeć do pacjenta. Rolą lekarza jest przedstawić mu sytuację z naukowej per-

nej, nieuleczalnej depresji endogennej. Tak, w takich przypadkach również konsylium lekarskie powinno wydać orzeczenie o wyczerpaniu wszelkich opcji terapeutycznych, a człowiek na tej podstawie powinien mieć prawo do eutanazji, bo cierpienie psychiczne nie jest mniej dotkliwe od fizycznego bólu.

Jednak pamiętajmy, że zdecydowana większość przypadków depresji udaje się skutecznie i całkowicie wyleczyć lekami i psychoterapią, mimo że pacjenci chwilowo nie widzą sensu życia i cierpią – ale to sytuacja wyjątkowa, bo właśnie na tym polega ta choroba. Jeśli ktoś nie chciałby podjąć leczenia, a tylko by nalegał: „zabijcie mnie”, to konsylium nie wydałoby takiego orzeczenia, dopóki nie zostały wyczerpane wszystkie możliwości.

dr Maciej Jędrzejko: Najwyższy czas zdemitologizować śmierć.

To nie jest żaden magiczny moment

spektywy. Podać w sposób zrozumiały rzetelne fakty naukowe, czyli maksymalnie obiektywną, opartą na najnowocześniejszej nauce i wiedzy prawdę. A jeśli pacjent po zapoznaniu się z faktami i rokowaniu chce spróbować metod niekonwencjonalnych – absolutnie ma do tego prawo. Nadzieja jest ważna. Nawet jeśli te metody nie przedłużą mu życia, ale poprawią mu humor – stają się wartościowe.

Zdarzają się przypadki ciężkiego przebiegu depresji, gdy chory myśli o samobójstwie, a nie można mu pomóc metodami psychiatrycznymi, farmakologicznymi, neurochirurgicznymi ani psychotherapeutycznymi. Czy i kiedy taki chory powinien mieć prawo do eutanazji?

– Takich przypadków mamy bardzo mało, ale rzeczywiście istnieją skrajnie ciężkie przypadki lekoodpornej, niereaktyw-

Zatem kluczem do jakiegokolwiek eutanazji jest wyczerpanie wszystkich dostępnych możliwości, jakie daje nauka?

– Tak, dla mnie tak. Jeśli wykonaliśmy wszystkie możliwe badania, żeby się upewnić co do diagnozy i nieuleczalnego charakteru choroby, zastosowaliśmy wszystkie leki, jakimi dysponujemy, sprawdziliśmy wszystkie dostępne preparaty, nawadnialiśmy, pielęgowaliśmy, wzmacnialiśmy – z punktu widzenia nauki możemy orzec, że dany pacjent kwalifikuje się do procedury eutanazji na własne życzenie.

Czym się różni przypadek osoby w depresji, która nie chce żyć, od przypadku chorego na nowotwór w terminalnym stadium?

– Człowiek w sytuacji załamania nerwowego nie potrafi zobaczyć wyjścia, rozwiązania. Jego choroba polega na tym, że tej pomocy nie chce, nie ma mocy, żeby pójść

dalej. Zadaniem lekarzy, otoczenia jest pokazanie mu tej drogi i wspieranie na niej. Kiedy ktoś planuje samobójstwo i o tym mówi w swoim otoczeniu, to w istocie formuluje przekaz: „Błagam, uratujcie mnie, bo ja już nie mam siły, a jeśli nic dla mnie nie możecie zrobić – zabiję się”.

W przypadku nieuleczalnego stadium nowotworu jest inaczej – człowiek bardzo chce pomocy, ale medycyna już wyczerpała wszelkie opcje i nie ma mu nic więcej do zaproponowania poza tą prawdą i sedacją paliatywną, czyli de facto znieczuleniem jak do operacji – zupełnym odcięciem świadomości.

Niektórzy argumentują, że w przypadku raka taka jest droga – można łagodzić cierpienie do końca...

– To prawda – bez świadomości nie ma cierpienia, co nie znaczy, że ciało nie czuje bólu. Jednak dla wielu ludzi dalsze życie bez świadomości to nie jest życie, tylko wegetacja. Chcą mieć prawo do przetrwania tego stanu. I moim zdaniem trzeba to uszanować. Możemy wyłączyć świadomość, tak jak robimy to przy operacjach chirurgicznych. Chory operowany nie cierpi, ale w momencie zabiegu nie ma już jego psychiki, nie ma go. Dopiero po operacji wraca, żeby normalnie żyć.

W grudniu 2013 roku kierowca rajdowy Michael Schumacher miał wypadek podczas jazdy na nartach, trafił do szpitala w stanie krytycznym, został poddany śpiączce farmakologicznej. W tym czasie był kilka razy operowany, inaczej nie zniósłby bólu związanego z urazem wielonarządowym. Tyle że w jego przypadku rokowania były dobre. Rany się zagoiły, złamania zasklepiły. To ma sens.

A jeśli pacjent jest w mocno zaawansowanym stadium raka – nie ma do czego wracać. To tylko czekanie na śmierć ciała, bo umysł już jest wyłączony. To tylko oddalanie nieuniknionego momentu śmierci. Utrzymywanie w śpiączce farmakologicznej tylko po to, żeby ciało umarło nie dzisiaj, ale za trzy-cztery tygodnie? No ja na przykład bym nie chciał tak funkcjonować. To nie jest łagodzenie cierpienia, to wyłączenie człowieka. O co chodzi? O te żyjące zwłoki?

To, że rozwój medycyny umożliwił podtrzymywanie bicia serca, krążenia i metabolizmu tkankowego, nie oznacza, że musimy to stosować w takiej sytuacji, szczególnie jeśli ktoś tego nie chce. Człowiek musi mieć prawo do zdecydowania, czy chce wegetować, czy nie.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34369791

WE WTOREK W „WYBORCZEJ” DODATEK SPECJALNY

Żyć lepiej na wiosnę

Mózg lubi się wysilić. Zafiksowaliśmy się na uczuciach pozytywnych. Tymczasem to, co trudne, nas rozwija

„Ja nie dam rady” to nawyk. Zamartwianie się to nasz wybór. Rozmowa z dr Ewą Woydyłło, psycholożką



Sztucznie podtrzymywane życie może trwać długo.

– Nie mamy w Polsce odpowiednich hospicjów stacjonarnych ani domów hospicyjnych, gdzie można prowadzić przez wiele miesięcy sedację paliatywną, ale należy je stworzyć, jeśli znajdują się pacjenci, którzy wyrażą zgodę i wolę wegetacji. To konieczne, aby nie blokować miejsca na OIOM-ach dla pacjentów, którzy rokują na wyleczenie. Jeśli nie znajdziemy dla ciężko chorego, ale uleczalnego pacjenta miejsca na OIOM-ie, bo będzie zajęte przez pacjenta nierokującego – to zginą dwie osoby.

W liście Elizy pojawia się wątek zakończenia jej życia przez męża. Motyw domowej eutanazji pojawia się też w sztuce i książce Mateusza Pakuły „Jak nie zabiłem swojego ojca i jak bardzo tego żałuję”.

– Musicie państwo wszyscy zdawać sobie sprawę z tego, że tak jak w przypadku aborcji, tak i w przypadku eutanazji prawo w Polsce jest martwe. Problemu samobójstwa, aborcji, alkoholizmu, narkomanii, prostytucji ani żadnych innych problemów społecznych nie da się rozwiązać żadnymi restrykcyjnymi zakazami i nakazami, a już na pewno nie totalną prohibicją.

Na papierze prawo rzekomo „chroni życie”. A jaka jest rzeczywistość? Wiedzą to doskonale rodziny osób, które umierały w męczarniach, lekarze i ratownicy pogotowia ratunkowego, lekarze rodzinni, którzy mają opiekę domową nad pacjentami nieuleczalnie chorymi czy wyjazdowe zespoły hospicyjne. Otóż wielu ludzi organizuje sobie eutanazję na własną rękę. Jest to tak zwana „eutanazja domowa”. Oczywiście nie ma żadnych statystyk, bo oficjalnie problem nie istnieje.

W jaki sposób się odbywa?

– Ludzie stosują morfinę, insulinę, benzydiazepiny, nielegalne narkotyki, wszelkie możliwe kombinacje leków zdobyte zwykle w nielegalny sposób (co pobudza kryminalne podziemie). No i oczywiście alkohol. Często są to środki o niepewnym składzie, nieznaney dawce, nieznanych domieszkach. Ludzie stosują te leki, nie znając ich prawidłowego dawkowania. Bez kontroli. Bez konsultacji z lekarzem. Bez przygotowania. Bez wiedzy, znajdując się między młotem a kowadłem.

Do tego dochodzi ciężki stres związany z atmosferą nielegalności i poczuciem winy. Takie postępowanie często kończy się jeszcze większą tragedią i cierpieniem za-

miast szybką, spokojną, godną śmiercią terminalnie chorego.

Co się może wydarzyć?

– Pojawiają się napady padaczkowe, wymioty, konwulsje, bezdechy i agonalne duszenie się. Cały ten proces może trwać wiele, wiele godzin, czasem dni. Nie ma w nim nic z godności. Nie ma nic z ciszy. Z łagodności. Jest panika, strach, samotność, atmosfera morderstwa.

Co gorsza, czasem człowiek przeżywa, bo osoba – zwykle członek rodziny – dokonująca eutanazji domowej, widząc, co się dzieje z ciałem pacjenta, wpada w panikę i dzwoni po pogotowie. Oczywiście nie

wydolności serca, tabletki przeciwbólowe, woń alkoholu, mimo że w wywiadzie nie ma zespołu zależności alkoholowej.

To wszystko to są desperackie próby zakończenia cierpienia. Często tragicznie nieskuteczne. O tym się nie mówi. Tak samo jak w przypadku aborcji – kto będzie chciał i będzie miał kasę, ten sobie „jakaś tam eutanazję” załatwi. Lepszą, gorszą. Z pomocą kogoś, kto coś wie, czy z pomocą „czarnego anioła” z czarnego rynku. A reszta? Biedniejsi? Słabsi? Mniej zorganizowani? Będą konać w bólach. W samotności. W męce, którą można było w cywilizowany sposób zakończyć. To jest fakt: prawo jest martwe.

Jeśli pacjent po zapoznaniu się z faktami i rokowaniem chce spróbować metod niekonwencjonalnych – ma do tego prawo. Nadzieja jest ważna

przynajac się do niczego ze strachu przed konsekwencjami prawnymi.

Więc zespół pogotowia czasem próbuje ratować chorego. Czasem chory trafia na OIOM z uszkodzonym mózgiem i w stanie wegetatywnym przez dłuższy czas. To nie jest już życie. To czysta wegetacja. Dlatego proszę was, błagam – nie róbcie tego sami. Nie podejmujcie takich decyzji bez zdobycia głębokiej wiedzy i wsparcia lekarskiego. Nie ryzykujcie, że zamiast odejść godnie i spokojnie, będziecie cierpieć jeszcze bardziej.

Można rozpoznać, że rodzina sama próbowała dokonać eutanazji?

– Młodzi ratownicy mogą tego nie wiedzieć, ale starsi lekarze i pielęgniarki doskonale wiedzą, co się dzieje, kiedy widzą u pacjenta chorego na raka: ciężką hipoglikemię <20, nagły obrzęk płuc u osoby bez istotnej nie-

Jakie są tego konsekwencje?

– Każde martwe prawo, nie dość, że nie działa, to jeszcze ma moc rujnowania zaufania społecznego do instytucji i systemu państwa. Zostawia ludzi w osamotnieniu, bez pomocy. Zostawia ich rodziny z żalem, z bólem, z wściekłością na system, państwo, rządy i lekarzy.

Właśnie dlatego potrzebujemy legalnej ścieżki, bo desperackie, nielegalne, samodzielne eksperymenty ze śmiercią przynoszą więcej szkody niż pożytku społecznego. Musimy zmienić to szkodliwe, martwe prawo. Nikt nie powinien być zmuszany do jego stosowania. Ani lekarze, ani pacjenci. Każdy, komu lekarze wystawią orzeczenie o wyczerpaniu możliwości ulżenia w cierpieniu i kto świadomie wyrazi taką wolę, musi mieć prawo do godnej śmierci.

Przeciwnicy eutanazji podnoszą kwestię lekarskiego sumienia. Bo ostatecznie to lekarz musiałby podać śmiertelny zastrzyk.

– Jeśli nie ma w danym ośrodku lekarza, który zgodziłby się na wykonanie eutanazji, można stworzyć krajowy system, do którego lekarze, którzy nie podpisali klauzuli sumienia i nie mają dylematów religijnych, sami się zgłaszają, a system losuje lekarza z tej grupy.

Jak powinno wyglądać godne umieranie?

– Tak jak każde znieczulenie ogólne do operacji. Takie, jakie wielu z czytelników zapewne przeżyło w trakcie różnych zabiegów stomatologicznych, ginekologicznych, urologicznych, laryngologicznych czy wszelkich chirurgicznych. Wchodzi anestetyk. I spokojnie, na lekkim rauszu, odpływacie. Nie ma bólu. Nie ma szarpania. Nie ma lęku.

Wszystko trwa kilka minut. Pod opieką lekarza. Z rodziną przy sobie. Bez paniki. Bez wycia. Bez odchodzenia na podłodze w łazience, we własnych wymiocinach i odchodach. Takiej śmierci życzę każdemu z nas, kiedy nadejdzie jego czas. Nie teraz. Nie na skróty. Nie w ucieczce, ale kiedy nadejdzie naprawdę koniec – wtedy życzymy sobie takiej śmierci, z pełną świadomością i godnością.

Eliza miała szczęście odejść na własnych warunkach.

– Dlatego walczmy razem – prawo- i lewoskrętni – o dobrą, mądrą, przemyślaną ustawę. Taką, która zminimalizuje ryzyko nadużyć, ale pozwoli ludziom decydować o sobie na ostatnim etapie życia. Potrzebujemy hospicjów takich jak w Kanadzie, Holandii czy USA. Pokoi, w których człowiek sam przygotowuje przestrzeń do odejścia: swoje obrazy, zdjęcia dzieci, muzykę, lampkę, ulubione kwiaty, fotele czy łóżka dla bliskich, których chce mieć przy sobie.

W cywilizowanych krajach to się już dzieje. Dlaczego nie u nas? Najwyższy czas zdemitologizować śmierć. To nie jest żaden magiczny moment. To proces biologiczny opisany dokładnie w każdym podręczniku patomorfologii – w rozdziale „Tanatologia”. Tyle że ta wiedza jest dostępna tylko dla lekarzy. A powinna być dla każdego człowieka. Nie bójmy się rozmowy o śmierci. Bo gdy milczymy – ludzie cierpią, umierają w samotności. A przecież można inaczej. ●

REKLAMA

Kraj/34369275

Wstrząsający reportaż Igi Dzieciuchowicz

O PRZEMOCY W POLSKIM TEATRZE, cenie, jaką płaci się za sztukę i „ideach”, które pozwalają chronić sprawców.

KRYSTIAN LUPA: Uciekam ze spektakli, gdy czuję, że zamieniam się w bestię, która za chwilę zacznie kąsać i gryźć.

BARTOSZ BIELENIA: Profesorowie często to powtarzali: „Jesteśmy rodziną, co prawda patologiczną, ale rodziną”. Fuksówka to był zresztą dopiero przedśionek kolejnych przemocowych doświadczeń w szkole, coś jak spulchnienie gruntu i powyrywanie chwastów.

JOANNA WICHOWSKA: (...) najpierw cię opierdalają i jesteś zerem, a potem mówią, że jesteś wspaniała. I oczywiście to wszystko dla twojego dobra.

FRAGMENTY KSIĄŻKI

IGA DZIECIUCHOWICZ

TEATR

RODZINA PATOLOGICZNA

PREMIERA: 23 KWIETNIA

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA



WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA



Wydawnictwo
Agora



Pustynne araby księżniczki

**Muszę pomóc podnieść stadninę
w Janowie, ale lwów nie zostawię**

Ludmiła Anannikova

Zdjęcia Jakub Orzechowski / Agencja Wyborcza.pl

Na spotkanie mimo korków przyjeżdża punktualnie. Rzadko bywa w centrum, więc przy okazji chce odwiedzić ulubione sklepy. Antykwariat z kilimami, z którego prawie nigdy nie wychodzi bez zdobyczy („Niedługo żona wyrzuci mnie z domu, bo nie ma już gdzie tego wieszać”) i do sklepu z jordańskim mydłem oliwkowym („tylko takim się myję”), gdzie od razu kupuje całą siatkę. Nas również częstuje.

Po drodze mijamy stragan z żywym ptactwem. W stojącym na ziemi kartonie zauważam żółwie.

– Tych żółwi w ogóle nie powinno tu być, powinna przyjechać policja i je zabrać. Niestety, stosunek do zwierząt w tej części świata jest na ogół okropny – denerwuje się Marek Treła. – Wie pani, skąd przyjechał do nas jeden z lwów? Z centrum Ammanu. Dopiero u nas doświadczył chodzenia po ziemi, bo wcześniej chodził po kafelkach, miał klatkę przy basenie. No i zobaczył drugiego lwa. Był przerażony!

**Jak władze PiS rujnowały
stadninę w Janowie Podlaskim**

71-letni Marek Treła to polski weterynarz, hodowca koni arabskich i sędzia międzynarodowy, a także by-

ły szef istniejącej od 200 lat stadniny w Janowie Podlaskim. Głośno zrobiło się o nim w 2016 r., kiedy PiS go zwolnił po prawie 40 latach pracy – Treła przyszedł do Janowa jako młody weterynarz w 1978 r. Zarzucono mu niegospodarność, brak nadzoru weterynaryjnego nad końmi (po tym, jak najdroższa Pianissima zmarła z powodu skrętu okężnicy), a nawet oszustwa.

Podobny los spotkał Jerzego Białoboka, szefa stadniny w Michałowie, i Annę Stojanowską, główną specjalistkę od koni w Agencji Nieruchomości Rolnych. Miejsca całej trójki zajęli ludzie powiązani z ówczesną władzą (przez siedem lat przez Janów przewinęło się kolejnych siedmiu prezesów).

Nowe kierownictwo wyprzedawało najlepsze konie znacznie poniżej ich wartości, nie rozumiejąc, że są skarbem genetycznym.

Skompromitowało też najbardziej znaną aukcję – Pride of Poland – na którą do Janowa przyjeżdżali najwięksi hodowcy świata. Po tym, jak na aukcji w 2016 r. nowi organizatorzy nie mogli się połapać, kto wylicytował najdroższe konie, wystawili je drugi raz i sprzedali po cenach znacznie niższych, Janów nie mógł już liczyć na takie zyski jak dawniej, a zaufanie do aukcji legło w gruzach.

Treła: – Po tej aukcji to już była rozpacz. Nawet złożyłem zawiadomienie do prokuratury, bo uważałem, że doszło tam do oszustwa. A to był dopiero prognozyk tego, co będzie się działo.

W Jordanii jesteśmy w ramadanie, więc z kolacją czekamy na zachód słońca. Treła, choć jest chrześcijaninem, też pości, bo „żadna to przyjemność jeść przy poszczających”. Wchodzimy do restauracji. Większość stolików zajęta, kelner kładzie w rogu naszego stołu trzy daktyle, od których zaczniemy iftar. Kilka-

naście minut później przynosi talerzyki z humusem, baba ganoush, falafelem, kiszunkami.

Przed wyjazdem oglądałam zdjęcia Treli z czasów pracy w Janowie: mężczyzna z wąsem w szarym garniturze. Dzisiejszy Treła kompletnie go nie przypomina. Wyszczupłał, koszula i sweter znanych marek, dłuższa grzywka, eleganckie okulary. – Wygląda pan świetnie – mówię.

– E tam, tylko wosą zgoliłem. No i staram się mniej jeść. Chyba po tym wszystkim potrzebowałem zmiany – Treła się rumieni.

„To wszystko” to oczywiście nie tylko zwolnienie, ale i prowadzenie przez lata – jak sam mówi – trudnej firmy (prezesem był od 2000 r.). Bo trzeba było zbudować dobre stado, nadążać za konkurentami (Michałów), szarpać się z urzędami, niedoborami finansowymi i ciągle szukać równowagi, jak osiągać stabilne przychody, nie sprzedając najlepszych koni, ale też nie sprzedając najgorszych, bo kto będzie przyjeżdżał i kupował?

Treła: – I gdy doszedłem do momentu, w którym miałem poczucie, że mi się to wszystko udało i jestem na szczycie, to oni przyszli i mnie wyrzucili.

Zwierzęta jordańskiej księżniczki

W końcu z meczetu rozbrzmiewa wezwanie do modlitwy oznaczające koniec postu. Atmosfera w restauracji się ożywia. Wracamy do początków Treli na Bliższym Wschodzie. Po zwolnieniu rozpoczął działalność doradcą – jeździł po stadninach w różnych krajach, ale podróżowanie było męczące.

Po roku przyszła oferta zarządzania stadniną od szejka z Abu Zabi. Skusił się, ale przyznaje, że był to niewypał. – Nie nadają się do feudalnych stosunków. Całe życie dbałem o niezależność – uśmiecha się.



◀ **Królewska stadnina koni w Ammanie. Trela namówił jordańską księżniczkę Alii Al Hussein, żeby pokazała swoje konie. – I mamy czempiona Jordanii i czempiona międzynarodowego pokazu – mówi. Do romnżania koni też ją przekonał. W 2025 r. w stadninie urodzi się jeszcze 15 źrebaków**

▶ **Królewska oprawa dla królewskich koni: siodła, ozdoby i akcesoria do jazdy konnej**



Po niecałym roku pobytu w Emiratach dostał propozycję od jordańskiej księżniczki Alii Al Hussein, z którą znali się od lat. Zapytała, czy nie pomógłby jej przy azylu dla dzikich zwierząt w Jordanii. Został zbudowany, są zwierzęta, ale ciągle nie mogą otworzyć dla zwiedzających, bo ekipa, która się tym zajmuje, piętrzy problemy. Trela się zgodził, choć na dzikich zwierzętach się nie znał. Przyjechał na trzy miesiące, został na siedem lat.

Azyl Al Ma'wa for Nature and Wildlife – tak brzmi pełna nazwa – powstał w 2011 r. Jordania leży na szlaku, którym zwierzęta są przemycane z Egiptu i Syrii do Arabii Saudyjskiej czy Emiratów. Trzeba było umieszczać gdzieś te skonfiskowane.

Najpierw powstał ośrodek New Hope przy królewskiej stadninie, ale szybko zapadła decyzja, by wybudować coś porządnego. Księżniczka dostała od rządu 140 hektarów góry pokrytej śródziemnomorskim lasem o nazwie Al Ma'wa, co z arabskiego oznacza schronienie. Przy wsparciu austriackiej organizacji Four Paws i grantu z Abu Zabi zbudowano w nim zagrody i night roomy dla zwierząt, kasy biletowe, budynek pod restaurację i kilka loggies, w którym mieli nocować turyści.

Azyl jest położony 50 km od Ammanu, jedziemy tam samochodem. Trela narzeka na stan dróg i „kulturę” kierowców, którzy jeżdżą, „jakby nie było żadnych przepisów”. Amortyzatory wymienia kilka razy w roku, jeździ 11-letnią kią. Nie kupuje nowego samochodu, bo ciągle uważa, że jest tu tymczasowo, a poza tym po co mu nowe auto? Żeby się ciągle denerwować, że ktoś je zarysuje?

Wchodzimy do przeszklonego pomieszczenia kawiarni. Trela opowiada, że stoły i ławki pracownicy zrobili sami z drewna z odzysku. Teraz wożą tu-

▲ – **Te konie są niesamowite. Tutaj jest siedem linii żeńskich, pochodzących od klaczy, które są hodowane od początku istnienia Jordanii – mówi Trela. Na zdj. z jedną z tutejszych klaczy czempione**

rystów do części, gdzie są zwierzęta, busem, ale Trela chce kupić pojazdy elektryczne, żeby nie emitować spalin. Planuje też przykrycie zbiornika na wodę specjalnymi kulkami, które powstrzymują parowanie, bo w tym roku w Jordanii wody jest jak na lekarstwo: kończy się pora deszczowa, a zbiorniki są zapełnione w 20 procentach. Prąd rezerwat czerpie z baterii słonecznych podarowanych przez Princess Alia Foundation, Fundację Księżniczki Alii.

Swoje początki w Al Ma'wie Trela wspomina jako trudne. – Przyjechałem i złapałem się za głowę. 140 hektarów lasu, zwierzęta na połowie powierzchni. Budynek pod restaurację z ogromną kuchnią, która miała niby zarabiać i być komuś wynajęta – założenie kompletnie nierealne z uwagi na sezonowość przedsięwzięcia. Moim problemem przez lata była kuchnia w Janowie, gdzie kilka osób gotowało kilka obiadów dziennie. Wiedziałem, jakie to koszty. Alia chciała, żeby azyl docelowo był samowystarczalny, a ekipa, która tu rządziła, ciągle mówiła, że nie

można ruszyć, bo trzeba wyszkolić opiekunów zwierząt, przewodników, poczekać, aż restauracja zacznie działać. I tak przez kilka lat. A ja pomyślałem: po co przewodnicy? Ludzie nie chcą słuchać, że tu jest lew, a tu tygrys. Chcą poznać historię zwierząt, dowiedzieć się, jakie mają charaktery. A kto o nich opowie lepiej niż ich opiekunowie? I tak otworzyliśmy, a potem powolutku kończyliśmy inne rzeczy.

Wybudowanie domków dla zwiedzających to zdaniem Treli też było nieporozumienie. – To są dzikie zwierzęta. Skąd pewność, że jakiś dzieciak nie wsadzi ręki do zagrody? Powiedziałem: „Mowy nie ma. Mogą tu spać wolontariusze, praktykanci, ale na pewno nie turyści”.

Dzieci robią na lwach niesamowite wrażenie

Do azylu Trela jeździ prawie codziennie, z wyjątkiem piątków (w Jordanii to dzień wolny od pracy) i poniedziałków, kiedy jedzie do królewskiej stadniny, gdzie też ma biuro.

– A tu zaczynają się zwierzęta – pokazuje na wybieg po lewej stronie ścieżki. – Tu mamy wilki. To znaczy niby-wilki. Któregoś dnia zadzwoniła państwowa fundacja, że konfiskują hienę i dwa wilki i czy mogą przywieźć. Hiena rzeczywiście była hieną, do tego dziką, więc wypuściliśmy ją na wolność, a wilki zostały... i zaczęły szczekać.

– A ten tutaj to już prawdziwy wilk arabski – pokazuje na kolejnego psowatego. – Tutejsza przyroda to ich naturalne środowisko, ale nie mogę go wypuścić, bo jest oswojony, można go na smyczy prowadzić.

– A to Pablo – patrzymy na wielkiego lwa. – Fundacja Animals Australia, z którą współpracujemy, dowiedziała się o niedźwiedziach w jednym z tutejszych zoo, które strasznie cierpiały, i postanowiła

Księżniczkę Alię poznałem na jakichś pokazach. Potem wymieniliśmy się ogierami



sała do naszego ówczesnego ministra rolnictwa Krzysztofa Jurgiele. Napisała grzecznie o ważności stadnin, nie tylko dla Polski, i naszym w nich udziale. Odpisał o niego-spodarności i tak dalej.

Trela mieszka w tej chwili sam, żona Magda pojechała do Polski pilnować remontu domku, który kupili nieopodal Janowa. Ma przylecieć, gdy zrobi się cieplej. (Gdy tu jesteśmy, temperatura w dzień to 12-15 stopni, a w nocy spada poniżej 10).

– Magda zawsze stała przy mnie i to jej zawdzięczam, jeżeli coś udało mi się w życiu zrobić – mówi Trela. – Zostawiła Warszawę, swój zawód plastyka, wyjechała ze mną na wieś i tam stworzyła dom dla mnie i synów, zawsze otwarty dla przyjaciół.

Zaprasza do kuchni. Włącza Radio Nowy Świat, szykuje posiłek – pity, humus, pomidory, oliwa z oliwek i wszechobecny w tej części świata zatar.

Na ścianach domu rzeczywiście wiszą kilimy, leżą też na podłodze. Pełno też dekoracji z motywem koni – większość to prezenty, które otrzymywał od organizatorów pokazów za sędziowanie. Niektóre nawet nie są jego. – To zostawiła koleżanka. – Wskazuje metrowy pomalowany na złoto koński leb – płaskorzeźbę leżącą na szklanym niskim stole. – Jak miała to zabrać samolotem?

Z tarasu widać kawałek królewskiego terenu. – Podziwiam Alię. Gdziekolwiek jesteśmy, wszyscy chcą się z nią fotografować i ona z każdym pozuje. Czuje się odpowiedzialna. Gdyby była chłopakiem, na pewno byłaby królem, jest najstarszym dzieckiem króla Husseina.

– Czy poznał pan innych członków rodziny królewskiej?

– Alia przedstawiła mi swoich braci, ale miałbym problem, by ich rozpoznać. Tak już mam, że wiem, że znam człowieka, ale nie mam pojęcia skąd.

– Za to pamięta pan rodzinne powiązania swoich lwów i koni z całego świata – uważam.

– Nic w tym dziwnego, wiele z tych koni przy mnie się rodziło. Poza tym prowadzę zapiski.

A to będzie czempion w przyszłym roku

Król w Jordanii ma dużą władzę. Mianuje premiera i członków wyższej izby parlamentu, może rozwiązać parlament. Wskazuje szefów sił zbrojnych, służb wywiadowczych i żandarmerii. Trela lokalną polityką mało się interesuje, choć odnotował, że były

• **Al Ma'wa, 50 km od Ammanu. Azyl dla dzikich zwierząt, które są konfiskowane przez mytnikom. Zajmuje ok. 140 ha. Nowe królestwo Marka Treli, którym się opiekuje i z powodzeniem je rozwija**



jakieś wybory. – To królestwo Haszymidów, więc oni rządzą – mówi.

Bardziej martwi go Polska. Na tegoroczne wybory prezydenckie zamierza wybrać się do Warszawy, żeby Nawrocki nie wygrał. Albo, nie daj Boże, Mentzen. Bardzo przeżywał wygraną Dudy pięć lat temu. Tym razem nie wyobraża sobie innego scenariusza niż Trzaskowski.

Następnego dnia jedziemy do stadniny królewskiej Royal Stables. Trela wita się z pracownikami, którzy, jak się okazuje, są oficjalnie zatrudnieni w policji. Służb w Jordanii jest pod dostatkiem.

Idziemy do hangaru z ujeżdżalnią i stajniami dla koni, które będą występować niedługo w pokazach. – Te konie są niesamowite, bo są mało spokrewnione z najpopularniejszymi rodami. Tutaj jest siedem linii żeńskich, pochodzących od klaczy, które są hodowane od początku istnienia Jordanii. Kilka z nich oferowały królowi Abdullahowi I miejscowe plemiona Beduinów, więc to pustynne araby – opowiada Trela.

W jednym z boksów stoi siwa klacz. Piękne, czarne oczy, długa szyja. Czempionka międzynarodowa. Za nią młody ogier: urodził się w zeszłym roku, jako roczniak wygrał narodowy czempionat.

– A to będzie czempion w przyszłym roku. – Trela pokazuje kolejnego zwierzaka.

– Matkę ma bardzo poprawną, a ojciec ma piękną głowę i świetnie się rusza, ale ma słaby grzbiet. Ale zaryzykowaliśmy i wziął od rodziców to, co najlepsze. To jest właśnie najciekawsze w hodowli, że nigdy nie ma pewności, czy się uda.

Trela chodzi pomiędzy boksami, mówi pracownikom, któremu koniowi podać wi-

taminy, a któremu krople do oczu. Nie zarządza stadniną oficjalnie, bo jak mówi, musiałby tu wszystko wywrócić do góry nogami, a to byłoby dla niego za dużo. Woli więc nie zakłócać istniejącego porządku.

– Był taki czas, że konie sobie stały, Alia nie chciała ich pokazywać, bo musiałyby przejść stresujący trening, nie chciała rozmnażać – opowiada. – A ja uznałem, że szkoda, żeby się marnowały. Każdemu hodowcy, który tu przyjeżdża, szczeka opada. Przekonałem ją, żeby pokazała konie, i mamy czempiona Jordanii i czempiona międzynarodowego pokazu. Za niektóre konie mogłaby dostać setki tysięcy euro albo i więcej, ale nie chce sprzedawać. I ja to rozumiem, bo też miałem różne oferty w Janowie, ale nie sprzedawałem, jeśli uważałem, że klacz jest potrzebna w hodowli. Państwo, posiadając ją, jest bogatsze niż jakikolwiek szejk.

Do rozmnażania koni Trela jednak księżniczkę przekonał. W tym roku w stadninie urodzi się 15 źrebaków.

– A jak tam teraz w Janowie? – pytam.



I gdy doszedłem do momentu, w którym miałem poczucie, że mi się to wszystko udało i jestem na szczycie, to oni przyszli i mnie wyrzucili

– Mam nadzieję, że też uda się wyhodować czempionów. Że nie wszystko zdążyli wysprzedać.

Ziemia Obiecana i Morze Martwe.

Ostatniego dnia naszego pobytu Trela zabiera nas na wycieczkę. Jedziemy na górę Nebo, gdzie zmarł Mojżesz, żebyśmy zobaczyli Ziemię Obiecaną, potem nad Morze Martwe, gdzie jeździ na weekendy odpocząć. I na punkt widokowy, gdzie nie ma żywej duszy. W oddali widać tylko namioty Beduinów i słyszać dzwoneczki pasących się kóz. Tutaj Trela lubi przyjeżdżać sam, w Nowy Rok.

Zajeżdżamy też do Madaby, gdzie oglądamy najstarszą mapę świata na posadzce tutejszej prawosławnej bazyliki i mozaikę konia w ruinach dawnego pałacu. Treli bardzo zależy, żeby zrobić jej ładne zdjęcie, bo chce ją pokazywać na szkoleniach dla sędziów.

– To piękny koń arabski, widać, że klacz, ma wielkie, piękne oczy, mocne nogi, grzbiet, labędźią szyję. Czyli już 1500 lat temu te cechy były cenione – tłumaczy.

– Musiałem wam to wszystko pokazać, bo jak inaczej opowiedzieć, czym jest dla mnie Jordania? Zarabiam tu więcej niż w Polsce, ale tam też nie narzekałem na zarobki i nie jestem tu z powodu pieniędzy. Jestem już w tym wieku, że nie planuję dużych inwestycji, dzieci mam ustawione.

– Ale na stałe nie chciałby pan tu zostać?

– Pewnie mógłbym, gdybym znał arabski. Ale straciłem na to szansę na wstępie, bo Alia mówi perfekcyjnie po angielsku. Inni Jordanińczycy też się nim posługują. Ale jednak chciałbym więcej czasu spędzać w Polsce, z rodziną. Mam 71 lat i tej mojej perspektywy zawodowej nie zostało już za wiele, trzeba szykować azyl i jego pracowników na moje odejście. Załatwić melekсы, w budynku restauracji utworzyć multimedialne centrum edukacyjne, w którym opowiadałoby się o zwierzętach, wodzie, środowisku, rozwinąć program wolontariatów.

– Tyle że to, co pan wymienił, brzmi, jak plan na kilka lat.

– Będę trochę tu, trochę tam. W Janowie też nie mogę zostawić Weroniki bez pomocy. To mądra dziewczyna, lepsza niż niejeden profesor. Ale przyszła w rozpuszczone towarzystwo, bo za PiS każdy masztalerz wiedział więcej niż ci prezesi. Musi wypracować swoją pozycję. A mnie się tam trochę boją, bo wiedzą, że jak idę przez stadninę, od razu widzę, że coś chrzanią. Dlatego ją wspieram.

– Pan to robi charytatywnie?

– Nie mam od dawna żadnej umowy z Janowem. Ale ja nie chcę niczego od tej stadniny, tylko żeby stanęła na nogi. Wrócić tam na etat też nie chcę, bo co z moimi zwierzakaми tutaj? Również żona jest przeciwna, żeby wracał do Janowa, bo jak przyjechali wtedy mnie wywalić, to ja następnego dnia leciałem na wykład do Abu Zabi, a jej telefon się urywał – dzwonili znajomi, dziennikarze. Jest silną kobietą, więc sobie poradziła, ale uraz pozostał.

– A potem jeszcze prokuratura i śledztwo w sprawie niegospodarności.

– Jak się ma spokojne sumienie, to ma się to w nosie. Nie czulem, żeby ci prokuratorzy chcieli mi zrobić krzywdę. Ten, który jako pierwszy umorzył, pogratulował mi prowadzenia stadniny i pokazał stos ekspertyz za 130 tysięcy złotych. Ale władza i tak to ciągnęła. Bałem się natomiast prowokacji, że podrzucą jakąś pornografię czy coś, bo po tych ludziach wszystkiego można było się spodziewać.

– Co zamierza pan robić po powrocie do Polski?

– Może za chwilę się okaże, że zdrowie nie pozwoli i zostanę kompletnym emerytem, ale póki można, będę działał. Muszę pomóc podnieść Janów i zrobić tak, żeby Al Ma'wa była samowystarczalna. Bo tylko wtedy będę miał pewność, że oba te miejsca przetrwają.

Przez iftarem Trela kupuje jeszcze jeden kilim. Bo taniej niż w Ammanie, no i jest prawdziwy, beduiński. ●

Trump, J.D. Vance i Musk są ogromnym wyzwaniem. Ale ten kraj przeżył wojnę secesyjną, morderstwa prezydentów, dwie wojny światowe. I wyszedł z tego lepszy.

Z **MARTINEM BARONEM***
ROZMAWIA **MATEUSZ MAZZINI**

Pozwolę sobie zacząć od osobistej historii. Mam 35 lat, a dziennikarzem jestem od 11. Zostałem nim, bo w dzieciństwie mama opowiedziała mi o Woodwardzie, Bernsteinie, „The Washington Post” i aferze Watergate. Takiego dziennikarstwa już nie ma?

– Raczej nie ma takich polityków. Pamiętamy kontekst afery Watergate. Jasne, to dziennikarze odegrali kluczową rolę w ujawnieniu historii z inwigilacją, ale jej zakończenie, czyli impeachment Nixona, to już dzieło Kongresu. Jego członkowie prowadzili własne śledztwo. Pełna wiedza o tym, że republikańskie stworzyli system podsłuchów w administracji oraz że podsłuchiwali demokratów, to rezultat prac Kongresu.

Więc nie szukam problemów w kondycji dziennikarstwa, a w tym, że dzisiaj Kongres nie ma ochoty wykonywać swojej pracy.

Mamy więc większy problem, niż myślałem. Nixona obalono, bo wewnątrz jego własnej partii znaleźli się ludzie, którzy uznali go za niegodnego urzędu. W obecnej administracji Trumpa, a nawet w jego partii nie widzę ani jednej osoby, która gotowa byłaby sprzeciwić się królowi – bo tak Trump się zachowuje.

– Nie jestem jeszcze gotów, żeby mówić o nim jako o królu. Zresztą to nie oddaje skali jego ambicji. On chciałby zostać imperatorem. To nie retoryczna przesada, naprawdę tak uważam. Wystarczy wsłuchać się w jego opowieści o podboju Kanady czy Kanału Panamskiego – to zachowanie kogoś, kto chce rządzić imperium.

A czy jest w Kongresie ktoś, kto mu się sprzeciwi? W tej chwili nie. A dopóki ktoś taki się nie pojawi, Trump nie napotka większych wyzwań. Największym zagrożeniem dla Trumpa jest on sam. Jego własna arogancja, przekonanie o własnej nieomyślności, otaczanie się potakiwaczami, którzy nigdy nie wygłoszą zdania odrębnego. Taką pycha nie od razu, ale prędzej czy później kończy się upadkiem. Każdy, kto kiedykolwiek prowadził jakąkolwiek organizację, wie, że trzeba się otaczać ludźmi gotowymi dać ci szczerą radę – nawet jeśli są trudne do przyjęcia.

Dotknął pan czegoś, co łatwo przełożyć na świat dziennikarstwa. Różnorodności opinii nie ma w administracji Trumpa, a zaraz go nie będzie w dziale opinii „Washington Post”, bo tak zarządził właściciel Jeff Bezos. A przecież na początku obiecywał niezależność od każdej władzy. Pan pracował z nim wiele lat jako dyrektor wykonawczy w tej gazecie. Dlaczego skapitulował przed Trumpem?

– Jeszcze nie nazwałbym tego kapitulacją. „Post” nadal ma wielu znakomitych dziennikarzy, reporterów i regularnie produkuje treści najwyższej jakości. Każdy, kto czyta tę gazetę, wie, że publikuje materiały śledcze, artykuły odsłaniające kulisy tej administracji, a nawet komentarze krytyczne wobec Trumpa, kiedy na to zasługuje. Sporo było w „Poście” krytyki nowych celów zwolnień ważnych urzędników zajmujących się bezpieczeństwem narodowym.

To, co robi teraz Bezos, to raczej spory wysiłek włożony w próbę naprawienia relacji z Trumpem. Ale tak, mnie to też niepokoi, bo on chce, żeby poglądy przedstawia-



• „Trump zapowiedział w kampanii, że będzie się mścił i od inauguracji to robi”. Na zdj. w Kennedy Center w Waszyngtonie (17.03. br.)

ne w dziale opinii odzwierciedlały coś, co on opisuje jako „wolny rynek i wolności osobiste”. Nie znam ani jednego felietonisty „Posta”, który sprzeciwiłby się wolnościom osobistym, dlatego spodziewałem się jakichś wyjaśnień. Co konkretnie ma na myśli? Dlaczego publicznie wyartykułował ten plan właśnie teraz? Czy to oznacza, że jeśli ktoś się z tym nie zgadza, powinien odejść? To samo z wolnym rynkiem – czyli co, Bezos chce, żeby nie było żadnych regulacji? Co to właściwie miało oznaczać?

Bardzo niepokoi to, że żadne wytłumaczenie nie padło, Bezos nie rozmawiał z zespołem. A reputacja gazety już została mocno osłabiona, tysiące abonentów anulowało subskrypcje, inni pytają o niezależność dziennika. Który przecież zbudował markę właśnie na stanowczej niezależności wobec władzy!

Tylko co właściwie Bezos chce osiągnąć? Zna go pan od lat. To naprawdę jest tylko kampania wizerunkowa czy on rzeczywiście zmienił poglądy?

– Nie siedzę w jego głowie, mogę tylko zgadywać – i zgaduję, że martwi go, że jest postrzegany jako przeciwnik Trumpa. Taką opinię miał w czasie pierwszej prezydentury, w dużym stopniu właśnie z powodu tonu tekstów w „Washington Post”. Bezos doszedł

do wniosku, że po reelekcji Trumpa jego pozostałe spółki i interesy zostaną wystawione na gigantyczne, wręcz egzystencjalne ryzyko z powodu politycznej zemsty.

W końcu Amazon ma gigantyczne kontrakty z rządem na usługi przechowywania danych w chmurze, a spółka kosmiczna Blue Origin, która dopiero co z sukcesem wyniosła rakietę na orbitę, ma ambicje rywalizowania ze SpaceX Elona Muska, chociażby w dziedzinie technologii satelitarnej. A do sukcesu też potrzebuje kontraktów publicznych. Te obawy są zasadne. Trump zapowiedział w kampanii, że będzie się mścił, i od inauguracji to robi.

Bezos zdecydował więc, że nie będzie prowokować Trumpa. Publikowanie stanowiska redakcji odnośnie do kandydatów tydzień przed wyborami jest tradycją tytułu, ale nie jest niezbędne dla dalszego funkcjonowania gazety, to po co ponosić zbędne ryzyko? Jeśli jest możliwa poprawa relacji z Trumpem przy zachowaniu niezależności pracy dziennikarzy newsowych i redakcji codziennej, to czemu tego nie zrobić?

Dlatego endorsement dla Kamali Harris nie został opublikowany. Dlatego Amazon, jak wszystkie inne firmy technologiczne, wpłacił milion dolarów na fundusz inauguracyjny Trumpa. Dlatego Bezos tyle mówi o wolnym rynku, bo Trump uwielbia o nim

deklamować, choć jest całkowicie antyrynkowy, nieustannie interweniuje na rynku tylko po to, żeby zadbać o interesy własne lub zauszników. Dlatego, jak inni liderzy z Doliny Krzemowej, Bezos poszedł na pielgrzymkę do Mar-a-Lago, żeby zjeść kolację z prezydentem.

Przy okazji spotkał się z Melanią i załatwił jedną sprawę po drugiej – bo Amazon Prime Video wypuścił na rynek serial dokumentalny o jej życiu. W dodatku platforma kupiła prawa do „The Apprentice”, czyli reality show, którego gwiazdą był Trump, a nie ulega wątpliwości, że prezydent ma do tego tytułu jakieś komercyjne prawa.

Bezos znalazł się w sytuacji, w której najlepszym kolegą Trumpa i drugą najbardziej wpływową osobą w kraju jest jego osobisty przeciwnik. Bo Elon Musk to tradycyjny rywal Bezosa, zwłaszcza w biznesach związanych z kosmosem. A wokół Trumpa są jeszcze inni ludzie, którzy rywalizują z Amazonem w różnych dziedzinach. Nic dziwnego, że Bezos zaczął się przejmować. I kiedy szanse Trumpa w ostatnich miesiącach kampanii zaczęły rosnąć, doszedł do wniosku, że jakoś trzeba będzie się dogadać.

Czas pokaże, czy to była mądra decyzja biznesowo – ale na pewno to nie był dobry ruch dla demokracji, bo Trump dostał zaproszenie do dalszego wywierania presji

nie tylko na Bezosa, ale też na innych liderów biznesu.

„Washington Post” będzie jedyną ofiarą czy Amerykę czeka skoordynowana ofensywa przeciwko wszystkim mediom, tak jak w skoordynowany sposób uderzono w uniwersytety czy w kancelarie prawnicze?

– Ten skoordynowany atak już nastąpił. Brendan Carr, przewodniczący FCC, Federalnej Komisji ds. Komunikacji, czyli regulatora zajmującego się telewizjami, już wszczął postępowania przeciwko CBS, ABC i NBC – czyli kanałom, które Trump publicznie określił mianem swoich wrogów. A nie zainicjował żadnego postępowania przeciwko Fox News, mimo że Fox musiał pójść na ugodę – 787 milionów dolarów! – z firmą Dominion, żeby nie przegrać procesu o kłamstwa wyborcze. Bo Fox twierdził, że Dominion, producent maszyn do głosowania, doprowadził do fałszerstw wyborczych.

Już zamknięto Radio Wolna Europa, Radio Wolna Azja, Głos Ameryki. A Kongres podejmuje kroki w kierunku wycofania finansowania dla mediów publicznych: radia NPR i telewizji PBS. No i ta historia z Associated Press. Historyczna, wielka agencja, która jest synonimem dziennikarstwa informacyjnego, została całkowicie odcięta od Białego Domu. Ich reporterzy nie mają dostępu do spotkań w Gabinetcie Ovalnym tylko dlatego, że agencja używa sformułowania „Zatoka Meksykańska”, wciąż uznawanego przez świat, tylko nie w USA, gdzie prezydent zadekretował „Zatokę Amerykańską”.

Trump przejął też kontrolę nad tym, jacy reporterzy mogą w ogóle dostęp do prezydenta. Przez dekady zajmowało się tym Zrzeszenie Korespondentów Białego Domu, teraz to prezydent osobiście decyduje, kto może w ogóle zadawać mu pytania. No i niedawno zmieniono rozkład miejsc siedzących w czasie konferencji prasowych i spotkań z reporterami w Białym Domu. Dziennikarzy tradycyjnych mediów wypchnięto na tyły, youtuberzy i tiktokerzy siedzą w pierwszych rzędach. Co niby odzwierciedla przemianę na rynku mediów, bo kanały polityczne i publicystyczne na YouTube czy X mają większe zasięgi i wpływ niż telewizje – tylko że akredytacje dostali sami propagandyści Trumpa. Czyli Trump prezydent już narzuca mediom język i ogranicza im tematy. A równolegle wywiera na nie presję jako Trump osoba prywatna, wytaczając procesy wielkim firmom mediowym.

Wniósł sprawę o zniesławienie przeciwko ABC, telewizji należącej do Disneya, i Disney najwidoczniej uznał, że bezpieczniej będzie pójść na ugodę, nawet jeśli zapłaci prawie 16 milionów dolarów, niż próbować wygrać w sądzie. Ich prezenter George Stephanopoulos sam się podłożył, bo kilkakrotnie powiedział na antenie, że Trump został uznany za winnego gwałtu na dziennikarce i pisarce E. Jean Carroll – i w zasadzie nie minął się z prawdą, tylko że słowo „gwałt” w wyroku się nie znalazło. Mimo to taka ugodą to coś niezwykłego, bo ABC miałyby szanse w sądzie.

Trump pozwał też CBS, bo uznał, że stacja zredagowała wywiad z Kamalą Harris w sposób, który pomógł jej kampanii wyborczej. Zaczął od 10 miliardów, potem stawkę podniósł do 20 miliardów. Sprawa tym bardziej do wygrania przez stację, ale choć proces jeszcze trwa, koncern Paramount, do którego należy CBS, rozpoczyna rozmowy o ugodzie. Bo ma w planach fuzje i przejęcia, na które potrzebuje zgody rządu federalnego. A przewodniczący FCC powiedział publicznie i wprost, że rezultat rozprawy może wpłynąć na jego decyzje.

Zagram adwokata diabła i powiem, że amerykańskie media są trochę same sobie winne. Stephanopoulos popełnił dość poważny błąd. Wcześniej, w 2018 r., David Remnick, naczelny „New Yorkera”, zaprosił i odprosił Steva’a Bannona, spin doktora pierwszej kampanii Trumpa, wówczas jego ulubionego doradcę, z imprezy „New

Yorkera”, Festiwalu Idei w Nowym Jorku. Potem „New York Times” opublikował komentarz republikańskiego senatora Toma Cottona, który chciał wysłać armię na ulice w czasie protestów Black Lives Matter, i najpierw redakcja broniła decyzji, powołując się na wolność opinii i prawo wszystkich do głosu w debacie, a potem pod presją liberalnych czytelników i komentatorów ogłosiła, że popełniła błąd. Gdzieś się wasze media pogubiły. – Oczywiście. Każdy popełnia błędy, również dziennikarze. Ale przyczyn tego obecnego błędzenia szukałbym gdzie indziej. Amerykańska prasa nie wywiązała się ze swoich obowiązków przed wyborami w 2016 r. Dziennikarze nie włożyli wysiłku w zrozumienie postaw wyborców Trumpa – nie było nas w wielu miejscach w głębi kraju, nie rozmawialiśmy z przedstawicielami niektórych społeczności, nie rozumieliśmy ich złości, ich zadr, ich frustracji. Również wobec samej prasy. Ludzie postrzegali media jako część elit, mimo że większość dziennikarzy zarabia ułamek tego co elity w USA. No ale kojarzymy się z establishmentem. To był ogromny błąd, że ferowaliśmy opinie, a nie staraliśmy się zrozumieć, czemu ludzie głosowali na Trumpa za pierwszym razem. A teraz jesteśmy pogubieni.

To co dalej? Media w USA zostaną zredukowane – w propagandzie administracji Trumpa i z własnej woli, w poczuciu misji – do roli totalnej opozycji? – Nie uważam, że powinniśmy się zamienić w ruch oporu. Mamy ważne zadanie do wykonania.

Jakie?

– Zadaniem dziennikarzy jest przekazywanie ludziom informacji na temat rzeczywistości, aby mogli sami nad sobą sprawować władzę. To ludzie, a nie dziennikarze podejmują decyzje w demokracji. Media nie wybierają rządu, ale mają obowiązek wokół tego rządu grzebać. Patrzeć na ręce tym, którzy kontrolują państwo, w instytucjach i indywidualnie. Musimy mówić ludziom, kto korzysta na konkretnych decyzjach, a kto na nich traci. Jaki wpływ ma polityka na życie zwykłych obywateli.

Na tym polega nasza praca – nie na budowaniu ruchu oporu. I dlatego całkowicie nie zgadzam się z tymi, którzy uważają, że amerykańskie media nie realizują już swojej misji. Praktycznie wszystko, co dzieje się w tej administracji, zostało podane do wiadomości publicznej dzięki pracy dziennikarzy w tradycyjnych mediach. „Washington Post”, „New York Times”, „New Yorker”, „The Atlantic”, stacje telewizyjne, organizacje non profit jak ProPublica – wszystkie te instytucje wykonują świetną pracę śledczą.

Będziecie w stanie wykonywać to zadanie w czasach, w których rząd jest niemal zrośnięty z liderami sektora technologicznego, od których zależy finansowe przeżycie mediów? Bez internetu i serwisów społecznościowych media upadną, a ruch na tych platformach kontroluje dwóch ludzi przychylnych Trumpowi: Musk i Mark Zuckerberg.

– Nigdy nie będę szerzył defetyzmu. To wszystko jest ogromnym wyzwaniem, ale widziałem już w życiu, w historii tego kraju ogromne wyzwania, które pokonaliśmy. Przeszliśmy przez wojnę secesyjną, morderstwa prezydentów, dwie wojny światowe, kryzysy lat 60. A jednak udało nam się nie tylko je pokonać, ale jeszcze stworzyć lepsze warunki do życia dla ludzi.

■
Bezos znalazł się w sytuacji, w której najlepszym kolegą Trumpa i drugą najbardziej wpływową osobą w kraju jest jego osobisty przeciwnik

Kto czyta (gazety), nie błądzi

• Co zrobić, żeby sztuczna inteligencja nie ośłupiała czytelników i nie zwolniła dziennikarzy, tylko im pomogła? Jak sprawić, żeby ludzie znów uwierzyli, że media nie kumplują się z politykami, tylko patrzą im na ręce? Czy jeszcze da się zatrzymać dezinformację Rosji, Chin, egocentrycznych miliarderów i ambitnych populistów? Kto zatrzyma cichy globalny zamach stanu Facebooka, X, TikToka? O tym wszystkim będą rozmawiać wydawcy, dziennikarze i profesorowie w dniach 4-6 maja w Centrum Kongresowym ICE w Krakowie. W tym roku to w Polsce odbędzie się 76. edycja światowego kongresu organizowanego przez WAN-IFRA – organizację zrzeszającą 3 tys. wydawców, firm związanych z mediami i 60 stowarzyszeń branżowych ze 120 krajów świata. Gospodarzem wydarzenia, w którym weźmie udział ponad 100 prelegentów i około 1000 uczestników z całego świata, jest Grupa Agora. Rejestracja i szczegóły: Wan-ifra.org.

Oczywiście, dla prasy czasy są trudne. Platformy społecznościowe zmieniły zasady funkcjonowania mediów, a my sami za bardzo się od nich uzależniliśmy. Cóż, musimy teraz znaleźć inną drogę.

Tylko jaką?

– Prosta. Wrócić do bezpośrednich relacji z naszymi własnymi czytelnikami. Kiedyś funkcjonowaliśmy bez pośredników, bez Google’a i serwisów społecznościowych. To działało, bo produkowaliśmy dobre, godne zaufania treści o sprawach ważnych dla ludzi, za które ludzie chcieli płacić godziwą cenę. Jeśli czytelnicy zdecydują się podzielić naszymi treściami na swoich kontach na Facebooku czy na X – ich prawo i super, bardzo będziemy wdzięczni. Ale my, dziennikarze, nie możemy być w całości zależni od serwisów społecznościowych. Już chyba rozumiemy, że ani platformy, ani wyszukiwarki nie są partnerem godnym zaufania. Ani Facebook, ani Google, ani X, ani nikt inny.

To nie oznacza, że one są jakimiś złowrogimi potworami i realizują niecnny plan. Nasza przyszłość, przyszłość mediów zwyczajnie ich nie interesuje. Firmy technologiczne mają jak wszystkie firmy swoje komercyjne interesy i będą je zawsze i wszędzie realizować z pomocą narzędzi i możliwości, jakimi dysponują. A tak się składa, że w tym momencie mają wyjątkowo potężne możliwości. Tylko tyle i aż tyle.

Pojawia się coraz więcej głosów, już nie publicystyk, lecz udokumentowanych analiz, że Ameryka przechodzi zmianę i ustrojową, i mentalną. W świecie Trumpa, Vance’a czy Muska nie ma miejsca nie tylko na wolne media, ale w ogóle na różnorodność opinii, na odmienne zdania. – Ma pan rację – to nie tylko kwestia mediów. Obecna władza nie chce mieć żadnego niezależnego arbitra rzeczywistości, faktów, prawdy. Dlatego atakują sądy, dlatego ograniczyli rolę Kongresu. Dlatego niszczą uniwersytety i media, instytucje regulacyjne, wszelkie instytucjonalne formy nadzoru. Ich celem jest sytuacja, w której obywatele uznają, że wszystko, co robi i mówi władza, jest prawdą. Przyszłość naszego społeczeństwa zależy od tego, czy ludzie będą informowani o rzeczywistości oraz czy będą rozumieli konsekwencje własnych decyzji. Jeśli wówczas Amerykanie zdecydują, że chcą u władzy autokratę czy dyktatora, to cóż, go otrzymają. Problem w tym, że jeśli zaczniesz podążać tą drogą, bardzo trudno jest wrócić do miejsca, z którego wyszedłeś. Ale uświadamianie o tym to także część zadania.

Majowy numer „The Atlantic” ma na okładce znamienne hasło: „Jest już później, niż myślisz”. Zgadza się pan?

– Tak. Jest już bardzo późno. Ale ludzie są skupieni na czym innym. Angażują ich sprawy bliskie życiu codziennemu: sytuacja w ich społeczności lokalnej, koszty życia, szanse zawodowe dzieci. To raz. Dwa – uznajemy, że w naszym kraju demokracja będzie istnieć zawsze, bo przecież tak było za naszego życia, za życia naszych rodziców, dziadków. Nie mamy doświadczenia innych ustrojów, znamy je tylko teoretycznie: ze szkoły, z filmów. Dlatego wiele osób nie rozpoznaje w bieżącej sytuacji zagrożenia.

A po trzecie, część wyborców Trumpa uważa, że był traktowany niesprawiedliwie, zwłaszcza w procesach mu wytaczanych. Nie zgadzam się, ale wiele osób tak myśli. To splota się z poczuciem ludzi, że ich postulaty, problemy były niewidoczne dla legislatorów i mediów głównego nurtu. Dla wszystkich, których uznawało się w tym kraju za elitę. Patrzą więc na Trumpa i widzą w nim kogoś, kto mówi nie tylko do nich, ale też mówi jak oni. Sporej liczbie Amerykanów trudno jest myśleć w kategoriach abstrakcyjnych, nie lubią roztrząsania, chlubią się praktycyzmem, wołają się skupiać na konkretach. Dlatego wielu sympatykom Trumpa może nie podobać się niszczenie tych czy innych instytucji, wyrzucanie urzędników z pracy czy wypowiedzanie wojen celnych, ale wciąż nie dostrzegają, jak to wszystko jest destruktywne dla ustroju.

Niszczenie zajmuje bardzo mało czasu, to łatwy proces. Nawet w przypadku fundamentów demokracji, bo one okazują się delikatniejsze, niż myśleliśmy. Duże kancelarie prawnicze, kolejne uniwersytety, niektóre redakcje – coraz więcej instytucji bezpieczeństwa Trumpowi, tłumacząc sobie, że to dla dobra demokracji, że to tylko taktyczne ustępstwo, aby przetrwać i robić swoje.

Tylko że to jest demontaż, cegła po cegle, i nim się obejrzymy, budynku nie będzie. A zbudowanie go, dojście do miejsca, w którym byliśmy jeszcze kilka miesięcy temu, zajęło nam setki lat. Tymczasem dzisiaj nasza demokracja wygląda jak plac rozbiórki.



*Martin Baron

• Rocznik 1954. Dyrektor wykonawczy „The Washington Post” w latach 2013-21. Za jego czasów dziennikarze gazety zostali dziesięciokrotnie wyróżnieni Nagrodą Pulitzera. Karierę dziennikarską zaczynał w „Miami Herald”, pracował także w „The New York Times” i „The Los Angeles Times”. Jako redaktor w „Boston Globe” nadzorował słynne śledztwo dziennikarskie w sprawie tuszowania przez bostoński establishment przestępstw seksualnych tamtejszego Kościoła. To tę historię przedstawia oscarowy dramat „Spotlight” (2015).

Mateusz Mazzini

• Rocznik 1990 . Reporter, socjolog, latynoamerykanista. Absolwent Oksfordu, studiował także w Kordobie i Bilbao oraz na University College London. Píše o krajach Ameryki Łacińskiej, globalnego Południa, wydarzeniach na zachodzie i południu Europy oraz o europejskiej skrajnej prawicy. Nominowany do Grand Press za reportaż prasowy w 2020 r. Autor książek „Koniec tęczy. Chile po Pinochecie” oraz właśnie ukazującej się „Włochy prawdziwe. Podróż śladami mafii, migracji i kryzysów”. Współprowadzi program „Wider View” w TVP World.

Zakochaliśmy się w sobie cztery miesiące po zapoznaniu się i byliśmy razem przez całe swoje życie. Przez niemal 75 lat!

Z **SOBIESŁAWEM ZASADĄ**,
KIEROWCĄ RAJDOWYM,
PRZEDSIĘBIORCĄ,
EKONOMISTĄ, PREZESEM
RADY NADZORCZEJ
GRUPY ZASADA,
ROZMAWIA
KRYSZYNA ROMANOWSKA

ZDJĘCIE:
GRZEGORZ CELEJEWSKI /
AGENCJA WYBORCZA.PL



Prawdziwy mężczyzna *cieszy się* z przegranej

KRYSTYNA ROMANOWSKA: Panie Sobiesławie, ani słowa o rajdach, dobrze? SOBIESŁAW ZASADA: Jak pani sobie życzy. Bardzo się cieszę, że z panią rozmawiam, bo w ogóle uważam, że kobiecy głos jest słabo słyszany w przestrzeni publicznej – to raz.

Dwa – że mężczyźni nie powinni się w ogóle mieszać w sprawy kobiet, jak choćby ta najważniejsza, czyli aborcja. To kobiety powinny o tym decydować. Mężczyźni się powinni z tego w ogóle wyłączyć. Uważam, że w przestrzeni publicznej kobiety wciąż mają za mało uszanowania. Powiem pani więcej: to, że siedzimy tutaj, zawdzięczamy matkom – to one nas rodziły. Panowie mieli w tym niewielki udział.

Ale jednak znaczący.

– Ale resztę ciężkiej pracy przy dzieciach, kto odwalal? Kobiety!

I prawdziwi mężczyźni.

– W środowisku kierowców jest taka anegdota, którą mi opowiadał Stirling Moss, zmarły pięć lat temu brytyjski kierowca: „Jeżeli spytasz mężczyznę, co uważa: czy jest lepszym kochankiem, czy kierowcą, to większość odpowie, że kierowcą”?

A pan?

– A ja zawsze mówię, że jedno i drugie. Ale trochę mnie martwi, że dzisiaj tak dużo związków się rozpada, ludzie się rozwodzą na potęgę. Albo w ogóle nie biorą ślubów. Obyczajowość diametralnie się zmieniła: za moich czasów – będę co jakiś czas używał tego określenia – kiedy jakiś pan mieszkał z jakąś panią bez ślubu, to był wyrzutkiem społeczeństwa. Nikt z nim nie chciał rozmawiać, bez ślubu mężczyzna się nie liczył.

To ciekawe, że na kobietę nie pomstowano społecznie.

– W niego to bardziej uderzało, że jest nieodpowiedzialny, że ją białamuci, że ją „pozostawi w latach”. Panował społeczny ostracyzm i wymaganie reguł. To niesamowite. Dzisiaj ja nie znam zawieranych małżeństw, które przed ślubem ze sobą nie mieszkaly. Inaczej to wygląda. Wszystko się zmieniło, niestety.

Ale na gorzej?

– W moim przekonaniu na gorzej. Nietrwałość związków jest dla mnie rzeczą niezrozumiałą, ponieważ moja pierwsza i jedyna miłość, jaką miałem, to była taka, że człowiek oddałby nie wiadomo co, żeby ta druga osoba była szczęśliwa.

W kręgu mojej rodziny i znajomych uchodzę za mediatora, który potrafi łagodzić spory wewnątrz związków. Często udaje mi się rozmowę, zwłaszcza z młodszym pokoleniem, np. młodymi kobietami, które mają konflikt z teściową i to rzutuje na jakość małżeństwa, zaradzić kłótniom czy nawet rozpadowi związku. Nie zawsze się to udaje, ale często zwaśnieni ludzie się godzą.

Jestem zwolennikiem harmonii w związku i zawsze bardzo o nią dbałem. Myśmy się z moją żoną Ewą poznali w jednej klasie rok po wojnie w Bielsku-Białej. Ona chodziła wtedy do gimnazjum żeńskiego Notre Dame, ja do męskiego imienia Kopernika. Spotkaliśmy się w gimnazjum koedukacyjnym im. Asnyka.

Zakochaliśmy się w sobie cztery miesiące po zapoznaniu się i byliśmy razem przez całe swoje życie. Przez niemal 75 lat!

To dla mnie nie do wiary, że można być z kimś w takiej zgodzie przez tyle lat bez większej sprzeczki i we wzajemnym szacunku. Mieliśmy wiele dyskusji, ale żadnej poważnej sprzeczki.

Pani Ewa była pewnie aniołem.

– Była harcerką. Moim zdaniem taka posta-

mieliśmy dużo gimnastyki i niemieckiego. Był także polski, ale nie nauczyliśmy się historii, a geografii – w ograniczonym zakresie.

Lubiłem jeździć na łyżwach. Wtedy były takie srogie zimy, że można było jeździć po chodnikach. To, co pamiętam z młodości, to właśnie te bardzo śnieżne zimy i łyżwy w każdej wolnej chwili.

Pochodzę z dosyć zamożnego domu. Ojciec już przed wojną był przedstawicielem fabryki czekolady Goplany na całe Zagłębie. Prowadził też inne interesy, miał kilka sklepów. Po wojnie przeprowadziliśmy się do Bielska-Białej, gdzie ojciec założył szwalnię.

Ojciec umarł nagle na zawał serca w styczniu 1968 roku. Byłem wtedy na rajdzie Monte Carlo. Przerwałem, bo nie byłem w stanie kontynuować wyścigu, do-

Mam 95 lat. Dzisiaj zrobiłem bardzo mało kroków, bo mieliśmy posiedzenie rady, więc jest ich tylko 1134

wa to kwestia cech osobowościowych i wychowania, dotrzymywania słowa, uprzejmości do ludzi i do całego świata. Ta nasza wielka miłość przeszła w miłosną przyjaźń, jak to nazywam. Ostatnie 12 lat Ewa była trochę schorowana, więc się nią opiekowałem. Była dla mnie wszystkim.

Czasy, w których wyrastałem, były tak odległe i inne od dzisiejszych, że można uznać je za bajkę. Proszę sobie wyobrazić, że ja po raz pierwszy zobaczyłem lodówkę, kiedy miałem lat 19. Wychowałem się w mieszkaniu bez toalety, w Dąbrowie Górniczej. Trzeba było wychodzić na zewnątrz.

Pamiętam moje przyjęcie z okazji Pierwszej Komunii Świętej. Po uroczystości, która odbywała się w kaplicy przy blokach dla pracowników huty, usiedliśmy przy stole na wolnym powietrzu. Było skromnie, ale ludzie długo ze sobą rozmawiali. Wprawdzie nie dostałem wtedy żadnego prezentu, ale jakiś czas później, kiedy miałem chyba dziewięć lat, dostałem na Boże Narodzenie wymarzony akordeon, bo nieźle już wtedy umiałem grać na pożytecznym instrumencie, nawet nie wiem, kto mnie nauczył. A może sam się nauczyłem?

Do szkoły chodziłem prawie 2 km od pierwszej klasy, skończyłem przed wojną trzy klasy. Potem, w czasie okupacji, edukacja była ograniczona, chociaż na Śląsku działały jakieś szkoły. Pamiętam, że

tarłem do Bielska (wtedy już mieszkalem w Krakowie). Od kilku dni miałem wówczas tytuł Pierwszego Sportowca Polski. Jakoś ulgę mi przynosi fakt, że ojciec miał te dziesięć dni czy dwa tygodnie, żeby się cieszyć: „Mój syn jest najlepszym sportowcem w Polsce”.

Byliście sobie bliscy?

– Chciał mi pomagać, ale ja nie chciałem nic brać od niego. Do tej pory mam wyrzut sumienia, że przeze mnie nie miał tej ojcowskiej satysfakcji, że coś dał synowi. Miał warsztaty szwalnicze, które w 1948 roku zostały upaństwowione.

Pamiętam, że jako siedemnastolatek, wracając o trzeciej czy czwartej nad ranem ze szkolnej zabawy, wstąpiłem do jednego z tych zakładów, robotnicy pracowali w nocy. Okazało się, że zrobili jakieś kardynalne błędy czy chcieli wynieść część produkcji. Zainterveniowałem i ojciec był mi bardzo wdzięczny. Pamiętam to do dzisiaj: pochwalili mnie, że pilnowałem uczciwej pracy.

Zresztą po jego śmierci nie było w naszej rodzinie klasycznego podziału czy sporu o majątek: wszystko zostawiłem matce i bratu – uznałem, że tak będzie dobrze. I zresztą po jej śmierci także wszystko dostał mój brat. Nie kłóciliśmy się o rodzinny majątek. Nie wiem, czy to kwesta wychowania, bo ono było jednak zupełnie inne niż

dzisiejsze. Bardzo duży nacisk kładło się na odpowiedzialność i szacunek.

Dużo działałem w harcerstwie. Bóg, honor, ojczyzna, właściwe zachowywanie się w stosunku do innych ludzi, dotrzymywanie słowa. Ja nie wyrzucę papierka na ulicy. Nie wyrzucę. Nie powiem ordynarnego kawału. Dziwię się młodym ludziom, którzy dzisiaj zachowują w tak niekulturalny sposób, śmiecią, przeklinają.

Przygnębiają mnie młodzi agresywni ludzie.

Był pan drużynowym?

– Tak, miałem harcerską drużynę sportową w Bielsku-Białej, zresztą bardzo dobrą. Miałem talent do sportu, wobec tego bardzo mi to odpowiadało. Biegałem przełaje, bardzo mocno zainteresowałem się lekkoatletyką. Nie skakałem tylko wzwyż i o tyczce, w pozostałych dyscyplinach brałem udział: młot, oszczep, kula, skok w dal, trójskok. Kiedy miałem 16 lat, były Mistrzostwa Polski Związku Harcerstwa Polskiego w Krakowie. Duża impreza, harcerze z całej Polski.

Domyślam się, że wygrał pan wszystko?

– Wygrałem rzut oszczepem, skok w dal, bieg na 1000 m, a nasz hufiec wygrał też sztafetę sprinterską, w której brałem udział. Zostałem ogłoszony Harcerzem Roku. Było to dla mnie tak ważne, że do tej pory to pamiętam.

Jeszcze jedno wydarzenie z harcerstwa utkwilo mi mocno w pamięci. W 1946 roku mieliśmy zlot Związku Harcerstwa Polskiego na Wałach Chrobrego w Szczecinie. Był Bierut, całe biuro polityczne PPR i był też wicepremier Stanisław Mikołajczyk – lider legalnej opozycji, którego imię skandowała młodzież. Było to jedno z pierwszych wystąpień przeciwko władzom komunistycznym. Był wielki entuzjazm wśród młodzieży.

To przyczyniło się między innymi do tego, że zaczęła się „przebudowa ideologiczna” Związku, a potem ZHP zostało oficjalnie zlikwidowane, przekształcone w Organizację Harcerską Związku Młodzieży Polskiej. Miała ona – oczywiście – być podporządkowana ideologii komunistycznej. Po odwilży ZHP zostało reaktywowane, ale ja potem już do tej organizacji nie wróciłem.

Największy wpływ miał na mnie legendarny harcmistrz Józef Drożdż, więzień Auschwitz i Mauthausen, który po wojnie działał jako komendant hufców w Bielsku i Białej. Miał kolosalny wpływ na moje priorytety życiowe. Uczyl nas przede wszystkim szacunku do innych – to było kluczowe. Mówiliśmy dużo o honorze.

Traktowałem to szalenie poważnie: dotrzymywanie danego słowa, odpowiedzialność za swoje czyny. Pamiętam, że przysięgłem wtedy księdzu walkę z komunizmem, bo byłem wychowany w bardzo religijnej rodzinie. Rodzice chodzili do kościoła.

Gdyby więc pani mnie spytała, jaka jest najważniejsza cecha prawdziwego mężczyzny...



1 • 2021. Rajd Safari. Zasada miał 91 lat i był nastraszym w historii uczestnikiem Rajdowych Mistrzostw Świata. Jechał fordem fiestą. Startował w tym rajdzie w sumie 9 razy - pierwszy raz w 1969 r.

2 • 1953. Pierwsze Wycigowe Samochodowe Mistrzostwa Polski. Eliminacje rozgrywano m.in. w Warszawie i Krakowie. Zasada w sportowym BMW 328.

3 • 1961. Rajd Polski. Z żoną Ewą, która była jego pilotem. Swój pierwszy rajd wygrali w lutym 1952 r., a pobrali się w grudniu. Zwyciężyli razem w ponad 50 wyścigach, to była ich wielka wspólna pasja. Pani Ewa zmarła w sierpniu 2021 r.

4 • 1971. Na trasie Rajdu Polski.

5 • 1997. Znowu Rajd Safari. Z żoną Ewą na mitsubishi zajęli II miejsce w klasyfikacji WRC 2. Byli sensacją, jako para 67-latków.

6 • 2023. Akcja charytatywna Wielka Wyprowadź Maluchów. 35 fiatów 126p wyruszyło na trasę Bielsko Biala-Monte Carlo-Kraków (4131 km). Pilotem Zasady (rocznik 1930) był Longin Bielak (rocznik 1926).



FOT: ARCHIWUM / JAN ZDZARSKI JR. (6)

...jaka jest najważniejsza cecha prawdziwego mężczyzny?

– To odpowiedziałbym pani, że uczciwość. Myślę, że w niej zawiera się wszystko: odpowiedzialność, szacunek dla innych, prawdomówność, podejmowanie ryzyka w rozsądnych granicach, niemyślenie o sobie, że jest się najlepszym, odpowiednie zachowanie, honor.

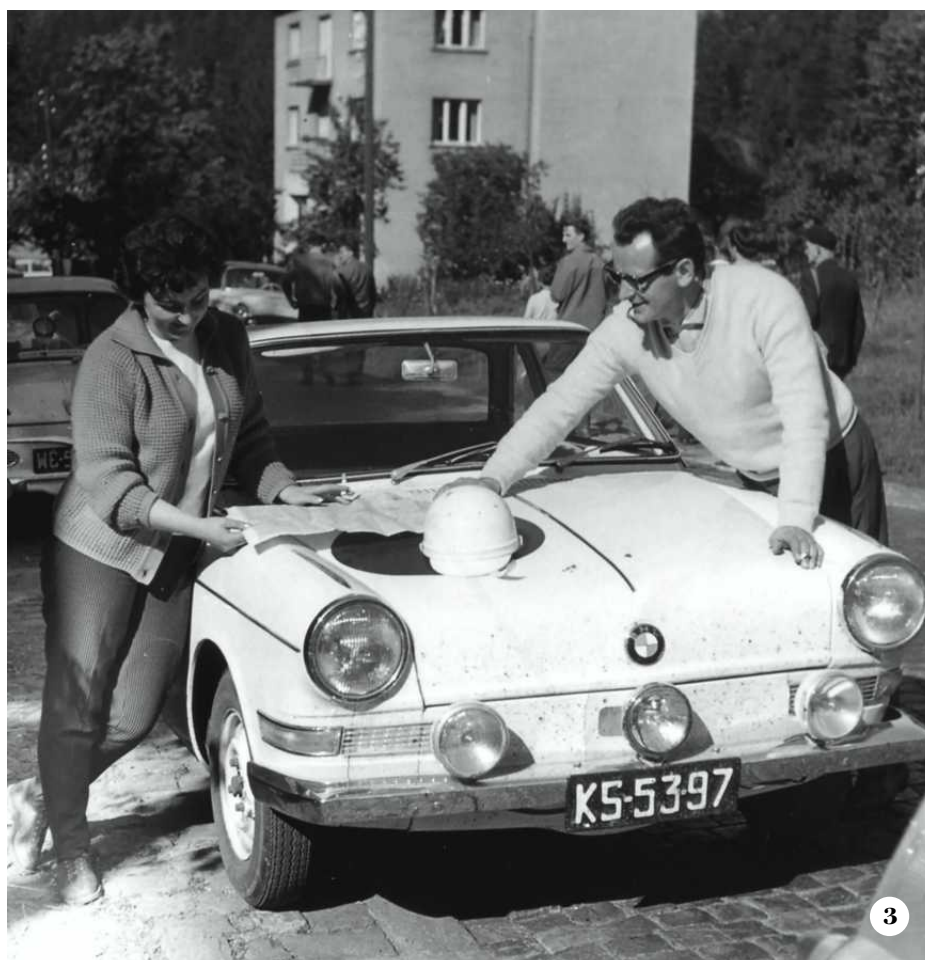
Honor, czyli co?

– Nie robi się pewnych rzeczy. Na przykład nie kupuje się jachtu z uprawnieniami. Jeżeli chce się zostać żeglarzem, a potem sternikiem, to nawet jeżeli tego kogoś stać na kupienie jachtu, to raczej powinien kurs skończyć. Ja tak robiłem. Uczyłem się i zdawałem egzaminy. Nie spodziewałem się zresztą, ale dwukrotnie wygrałem transatlantyczne regaty na trasie z Las Palmas do Santa Lucia na Karaibach.

Wygrana wygraną, ale jak to jest z przegraną?

– Opowiem jednak o jednym rajdzie, chociaż pani nie chce.

Pamiętam, jak kiedyś podczas rajdu Żubrów z moją żoną Ewą jako pilotem zgubiliśmy się na ulicach Krakowa, na terenie dawnego lotniska. Przyjechaliśmy na punkt kontrolny o dwie minuty za późno. Odrabialiśmy je potem na całej trasie, ale zabrakło w finale – bagatela – dziesięciu sekund! Wygrał Mieczysław Sochacki.



I proszę mi wierzyć lub nie, ale ja się wtedy ogromnie cieszyłem z przegranej. Walczyłem, żeby wygrać, ale sprawiło mi autentyczną radość szczęście tego kierowcy. Aż sam się sobie dziwiłem – byłem przyzwyczajony do wygranych – ale tak właśnie było.

Nawiasem mówiąc, prowadziłem w życiu sporo biznesów. Rozmawiamy m.in. w jednej z moich warszawskich inwestycji w nieruchomości. Wie pani, sporo już lat żyję na tym świecie, ale nie pojmuję, jak można być nieuczciwym w biznesie, a wielokrotnie mnie oszukiwano. To pewnie kwestia wychowania.

Jak się dzisiaj wychowuje dzieci?

– Mam wrażenie, że wokół jest dużo bardziej agresywnie niż za moich czasów. Nie wiem, może wychowujemy coraz bardziej agresywne pokolenia. Ja takiej agresji nie znam z czasów powojennych. Pamiętam rok 1949, kiedy poszedłem na Akademię Handlową w Krakowie. Był mecz piłki nożnej, żadnej policji. Po meczu nic się nie działo, kibice obu drużyn poszli wspólnie napić się piwa.

Dzisiaj wychodzę z domu i widzę koło Cracovii co najmniej 20 samochodów policyjnych i 200 policjantów. Młodzież dzisiaj myśli inaczej, ma dostęp do substancji, myślę, że to przede wszystkim powoduje ten wzrost poziomu agresji. Mam wrażenie, że we współczesnym wy-



Sobiesław Zasada

• Urodził się w 1930 r. w Dąbrowie Górniczej. Najśłynniejszy polski kierowca rajdowy, lekkoatleta (w latach 50. w kadrze narodowej), narciarz i żeglarz, znany przedsiębiorca. Trzy razy był rajdowym mistrzem Europy (1966, 1967 i 1971 r.), trzy razy wicemistrzem, 11 razy mistrzem Polski. Wygrał w sumie ok. 150 rajdów. Był kierowcą fabrycznym najlepszych firm m.in. Steyr Puch, Porsche, BMW i Mercedes-Benz. Aut miał setki, przejechał nimi w sumie (jak sam mówi) ok. 4 mln km. Wymyślił życzenia „szerokiej drogi”, jazdę na suwak i dziękowanie światłami. W 1977 r. założył firmę Alpha produkującą zamki błyskawiczne. Był pierwszym w Polsce przedstawicielem Mercedesa i Porsche. Jest też deweloperem i właścicielem stacji narciarskich w Świeradowie Zdroju i w Korbielowie (współwłaściciel), ale z czynnym sportem nie zerwał nigdy.



chowaniu dzieci brakuje myślenia o drugim człowieku. Jest ono skrajnie indywidualistyczne, nie mówi się o podstawowych wartościach, takich jak powtarzana przeze mnie uczciwość, uszanowanie drugiego i odpowiednie zachowanie się. Jeżeli już zaczęliśmy o wychowaniu – muszę wspomnieć o zachowaniu pieszych w ruchu drogowym i uczeniu dzieci od najmłodszych lat rozważ. Obecnie przepisy mówią, że pieszy ma bezwzględne pierwszeństwo na pasach, ale to nie powinno zwalniać pieszych z czujności. Trzeba pamiętać, że rocznie dochodzi do prawie 2,5 tys. potrażeń na pasach... Ja nigdy nie zginię na pasach, bo przechodzę tylko wtedy, kiedy upewnię się, że nadjeżdżający samochód się zatrzymuje, i nigdy nie zakładałam, że mam pierwszeń-

stwo. Przecież jadący samochód jest jak pocisk – dwie tony na kołach i pieszy nie ma z nim żadnych szans. Dziwi mnie, że ludzie wchodzą na pasy ze wzrokiem utkwionym w telefonach. Od dziecka trzeba wpajać, żeby zawsze używać rozsądku i stosować regułę ograniczonego zaufania. Jako dziadek i pradziadek stara się pan mieć wpływ na wychowanie swoich wnuków i prawnuków? – Mam czterech prawnuków i prawnuczkę. Najstarszy ma prawie 12 lat, a najmłodsza – niespełna dwa latka. Marzę o tym, żeby z najstarszym przegrać w szachy. Gramy razem od pięciu lat i muszę przyznać, że chłopak świetnie sobie radzi. Chcę przegrać – wiem, że nadejdzie taki dzień. Wnu-

ków – niestety – ogrywałem w tenisa stołowego, bo dobrze sobie radziłem. Biegaliśmy także sporo razem. Uważam, że sport jest w życiu niezwykle ważny. Widzi pani ten telefon? Mierzy kroki. – Mam 95 lat. Dzisiaj zrobiłem bardzo mało kroków, bo mieliśmy posiedzenie rady, więc jest ich tylko 1134. Ale rocznie robię przeciętnie prawie 2,5 tys. km, co daje ponad 7 kilometrów dziennie. Chociaż czasami jest to nawet 15 kilometrów. Czasami myślę, że muszę zwolnić. Wtedy będę chodził tylko 4 km dziennie. Jest pan ostrym zawodnikiem w biznesie?

– Jestem prawdopodobnie za łagodny, ale mam taką podstawową zasadę: szef musi stworzyć takie warunki pracownikowi, żeby ten chodził do pracy zawsze z wielką chęcią, żeby dobrze się w tej pracy czuł. Żeby praca była dla niego przyjemnością. Do niedawna pracował jeszcze u mnie mój o trzy lata młodszy kolega. W firmie Alpha – jednej z pierwszych firm polonijnych w Polsce, którą założyłem w 1977 roku, istniejącej zresztą do dzisiaj. Bardzo chciałbym dożyć jej 50-lecia, to jeszcze dwa lata. Kolega zmarł w zeszłym roku, był szefem rady nadzorczej i bardzo dobrze mu się pracowało. Powiem więcej: on żył dlatego, że pracował i miał zajęcie. Nie zwalniam, nie jestem skłonny robić ludziom przykrości. ●

REKLAMA

Kraj/34372312

PROJEKT WSPÓLFINANSOWANY
ZE ŚRODKÓW MIASTA KRAKOWA

International Festival
of Independent Cinema
25.04 – 4.05.2025, Kraków

PARTNER TYTULARNY

PARTNER STRATEGICZNY

PARTNERZY GŁÓWNI

WSPÓLFINANSOWANIE

dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury



Kto sprzedał 2 miliony
egzemplarzy w jeden
tydzień? Czyja powieść
została uznana za klasykę
jeszcze przed premierą?
Oto pisarze i pisarki,
którzy najbardziej
ekscytują czytelników,
krytykę i media?

Wojciech Szot

*najbardziej
ekscytujących
pisarzy*



Chimamanda Ngozi Adichie

popintelektualistka czy wybitna pisarka?

„Literackie wydarzenie roku”, tak wydawnictwo Knopf zapowiadało **„Dream Count”**, pierwszą od 12 lat powieść pochodzącej z Nigerii pisarki. Choć na książkę trzeba było czekać ponad dekadę, to pisarka nie pozwalała o sobie zapomnieć. Wydawała eseje i pamiętnik, występowała na medialnych konferencjach, a jej głos był słyszany na całym świecie. W efekcie wydana w marcu 2025 r. **„Dream Count”** była na ustach wszystkich magazynów literackich w anglojęzycznym świecie.

Adichie wychowała się w nigeryjskim mieście Nsukka. Jej ojciec był profesorem na miejscowym Uniwersytecie Nigerii, a matka dziekaną uczelni – pierwszą kobietą na tym stanowisku. Spodziewali się, że córka zostanie lekarką. Adichie nawet przez rok studiowała medycynę, ale – jak sama mówi – nie miała do tego serca. „Kiedy powiedziałam, że chcę pisać, rodzice bardzo mnie wspierali, co było niezwykle” – opowiadała w jednym z wywiadów.

Po rezygnacji z medycyny pojechała do USA. Studiowała m.in. na Johns Hopkins University i Yale. Choć większość życia spędziła w Stanach, w wywiadach mówiła: „Oczy, którym patrzę na świat, są nigeryjskie”.

Zadebiutowała w 2003 r. powieścią **„Fioletowy hibiskus”**. To wartko napisana dziejąca się w Nigerii historia dziewczyny,

która dorasta w cieniu brutalnego ojca. Dobrze przyjęta przez krytyków, którzy docenili umiejętne połączenie wątków feministycznych i postkolonialnych. Ostrze krytyki Adichie kierowała w stronę chrześcijaństwa, które w wielu krajach Afryki przybrało postać radykalnego fundamentalizmu.

Dzisiaj, gdy w literaturze różnorodność przestała być aktywistycznym postulatem, a stała się marketingowym hasłem, trudno wyobrazić sobie, jak wiele drzwi musiała wyważyć Adichie, by zadebiutować. Jak mówiła, wydawcy i agenci literaccy przekonali ją, by zmieniła miejsce akcji z Afryki na Amerykę. Postawiła na swoim, a kolejnymi powieściami – **„Połówką żółtego słońca”** (2006), **„Tym czymś na twojej szyi”** (2009), a zwłaszcza **„Amerykaną”** (2013) – podbiła czytelników i krytyków (otrzymała m.in. National Book Critics Circle Award za ostatnią powieść).

„Wszyscy musimy być feministami”, mówiła w 2012 r. Adichie podczas swojego wykładu na konferencji TedX. Publiczność zakochała się w jej słowach. Cytowała ją w piosence Beyoncé, hasło znalazło się na koszulce i torebce Diora w 2016 r. Przed Adichie otworzyły się drzwi do kariery prelegentki na drogich konferencjach. W 2019 r. w Krakowie na Festiwalu Conrada mówiła „o wolności w literaturze”. Trafiała na listę

„100 najbardziej wpływowych ludzi świata” magazynu „Time” i do zestawienia „100 najbardziej wpływowych Afrykanów”.

Adichie doskonale wykorzystuje uwagę, jaką skupia. Mówi prostymi, chwytliwymi hasłami, trafiając do słuchaczy niezależnie od ich zaplecza kulturowego. Z uznanej powieściopisarki przeistoczyła się w popintelektualistkę.

W 2017 r. powiedziała, że transkobiety to mężczyźni, którzy „zmienili płęć” z kaprysu. Po fali krytyki, jak przystało na uprzywilejowaną celebrytointelektualistkę, napisała... esej poświęcony cancel culture.

Czy bycie medialnym głosem wygłaszającym (nie zawsze) słuszne kwestie, wpłynęło na jej nową powieść? Amerykańskie media są podzielone. Alexandra Jacobs w „New York Timesie” chwali „Dream Count” za nowatorską formę i uważność na język, ale Sanjena Sathian w „Vulture” pisze, że jej bohaterowie „są dwuwymiarowymi karykaturami naszkicowanymi z konserwatywnych punktów widzenia, a nie w pełni ukształtowanymi postaciami”.

Sathian przypomina, że niewielu pisarzy, którzy stali się ikonami popkultury, utrzymało wysoką jakość swojej literatury. Wszystko wskazuje na to, że Adichie zaliczyła obniżkę formy. Ale niezależnie od recenzji „Dream Count” było jedną z najbardziej oczekiwanych premier pierwszej połowy 2025 r. ●



Haruki Murakami

miłośnik Dickensa czwartą dekadę podbija świat

Światowy sukces w literaturze to przede wszystkim sukces w USA i świecie anglojęzycznym. Nawet książki „odkryte” po latach, jak „Trylogia kopenhaska” duńskiej pisarki Tove Dietlevsen, najpierw przetestowane zostały przez amerykański rynek.

Wiedzą o tym doskonale koreańscy i japońscy specjaliści od marketingu kultury. Dzięki ich zabiegom niemal cały świat czyta dziś azjatyckie powieści. Ukoronowaniem tego zjawiska jest przyznanie Literackiej Nagrody Nobla koreańskiej pisarce Han Kang.

Jednak to nie książki noblistki, ale kryminalna powieść japońskiej pisarki Asako Yuzuki była w ubiegłym roku najczęściej kupowaną powieścią w Wielkiej Brytanii. „Masło” opowiada o siedzącej w areszcie kucharce Manako Kajii. Oskarżona o zabójstwo

trzech mężczyzn odmawia kontaktu z mediami i nie przyjmuje wizyt. Zmienia się to, gdy młoda dziennikarka prosi ją o przepis na gulasz wołowy. Wydana w 2017 r. w Japonii powieść podbija kolejne kraje, ale to nie Yuzuki jest największą gwiazdą azjatyckiej literatury.

Od lat ten tytuł należy do **Harukiego Murakamiego**. Zbliżający się do osiemdziesiątki pisarz zadebiutował w 1979 r., a w kolejnej dekadzie zdobył popularność zarówno w Japonii, jak i Stanach Zjednoczonych. Po tym, jak wydana pod koniec lat 80. powieść **„Norwegian Wood”** odniosła światowy sukces, pisarz wyjechał z Japonii. Mieszkał m.in. we Włoszech i Stanach Zjednoczonych. Po latach wrócił do ojczyzny.

Jak zauważa wielu krytyków, o sukcesie Murakamiego zadecydował

fakt, że jego książki korzystają z literackich tradycji Zachodu.

Pisarza inspirują wielcy prozaicy europejscy, jak: Flaubert, Dickens czy Kafka. Nie są mu jednak obce również dzieła bitników czy Kurta Vonneguta. Jay Rubin, amerykański tłumacz i japoнолог, zauważa, że autor **„Kroniki ptaka nakręcacza”** jest przedstawicielem pokolenia Japończyków urodzonych tuż po II wojnie światowej, którzy dorastali, utożsamiając się bardziej z globalną kulturą niż z japońską tradycją.

W październiku 2024 r. w Polsce ukazała się najnowsza powieść Murakamiego, **„Miało i jego nieuchwytny Mur”** w przekładzie Anny Zielińskiej-Elliott. „To najlepsza od dwóch dekad powieść Murakamiego”, pisał w „Książkach. Magazynie do Czytania” Piotr Kofta. ●



Stephen King

pisarz i społeczność 7 milionów kont

Przekłady i recenzje w „New York Timesie” oraz Nagroda Nobla – to wciąż ważne wskaźniki sukcesu w literaturze. Ale sztuką jest dzisiaj łączyć bycie pisarzem z byciem influencerem.

Jeśli mierzyć popularność sieciami społecznościowymi, to najbardziej wpływowym autorem na świecie jest **Stephen King**.

Mistrza literatury grozy **na X śledzi niemal 7 milionów kont**. King zjadł komentarze działacza prezydenta Donalda Trumpa i jego administracji („Trump rujnuje ekonomię swoimi głupimi cłami”; „to już oficjalne: wariatami rządzą wariaci”) i jednocześnie reklamuje swoje książki. Przed kilkoma laty au-

tor „Misery” rozstał się z Instagramem i Facebookiem, pisząc: „Nie czuję się komfortowo z zalewem fałszywych informacji, na który pozwala polityka platform, nie jestem przekonany, czy firma jest w stanie chronić prywatność swoich użytkowników”. Kinga na Instagramie śledziło ponad 1,5 miliona osób. ●



Dan Brown

zapowiedź nowej powieści na paskach w telewizjach

Jeśli siłę pisarza liczyć medialnymi wzmiankami o nowej powieści, to Adichie i Murakami zostają daleko w tyle za **Danem Brownem**. Gdy w lutym 2025 r. pojawiła się informacja, że po kilkunastu latach ukaże się nowa powieść autora **„Kodu Leonardo da Vinci”**, w kilka godzin podały ją serwisy na całym świecie. **„Tajemnica tajemnic”** ukaże się we wrześniu jednocześnie w kilkudziesięciu krajach. W Polsce opublikuje ją wydawnictwo Sonia Draga.

Uważany za jednego z najlepszych twórców powieści sensacyjnych Brown zadebiutował w 1998 r. powieścią **„Cyfrowa twierdza”**. Sukces przyszedł jednak pięć lat

później wraz z „Kodem...”. Powieść otwiera scena mordu w Wielkiej Galerii Luwru. Kustosz Jacques Saunière ucieka przed mordercą, chwytą się ramy obrazu Caravaggia, zrywa dzieło ze ściany i pada „bez sił na podłogę, przykryty olejnym obrazem”.

Jak zauważa w „Śmierci przed obrazem” historyczka sztuki Maria Poprzeczka, „choć w jądrze całej spiskowej historii Dana Browna tkwią obrazy i artysta, dzieło Caravaggia wydaje się tu bez znaczenia”. Poprzeczką rozczarowuje, że pisarz nie zwraca uwagi na to, który Caravaggio przyniósł kustosza, a „niektóre jego opisy z Luwru robią wrażenie wyimków z turystycz-

nego przewodnika”. Choć u Browna zachwycą wartką akcją i umiejętność budowania nastroju tajemnicy, to krytycy od lat wytykają mu błędy faktyczne lub nadmierną beztroskę w opisywaniu szczegółów.

„Kod...” to jedna z najczęściej kupowanych książek w historii literatury. W Polsce – jak poinformowała „Wyborczą” Sonia Draga – „Kod...” sprzedał się **w 930 tys. egzemplarzy**, co jest jednym z najlepszych wyników w tym wieku.

Wszystkich książek Dana Browna w Polsce sprzedano **ok. 3 mln egzemplarzy**. Czyżbyśmy już wiedzieli, co będzie bestsellerem najbliższej jesieni? ●



John Green

vlogger, który ma społeczną misję

Ponad **2 mln użytkowników Instagrama** śledzi zaś Johna Greena, amerykańskiego pisarza literatury young adult i wideoblogera. Jego książki sprzedały się w ponad **50 mln egzemplarzy**, od kilku lat tłumaczone są również na język polski.

Green zadebiutował w 2005 r. powieścią **„Szukając Alaski”**, jednak na popularność musiał pracować przez kilka lat. Pomógł mu w tym rozwój platformy YouTube, na której razem z bratem Hankiem uruchomił kanał Vlogbrothers, który dzisiaj śledzony jest przez niemal **4 mln osób**.

Fani pisarza nazywają siebie Nerdfighters (Wojownicze nerdy). Społeczność wielokrotnie angażowała się w działalność charytatywną – fanom pisarza udawało się zebrać nawet 4 mln dolarów. Green przestał być pisarzem, stał się instytucją, wokół której powstała społeczność zdolna windować wszystkie jego książki na szczyty list bestsellerów.

W kwietniu 2025 r. Green przez dwa tygodnie okupował listę bestsellerów swoją drugą książką non fiction **„Everything Is Tuberculosis”** (Wszystko dzisiaj śledzony jest przez niemal 4 mln osób).

czas wizyty w Sierra Leone w 2019 r. Uświadomił sobie – jak mówił – że nie jest to tylko „problem z przeszłości”. W 2023 r. Green namówił swoją społeczność do podpisania petycji do farmaceutycznych gigantów – Johnson & Johnson i Cepheid – aby ułatwiły dzieciom w Sierra Leone dostęp do nowoczesnych metod leczenia gruźlicy.

Rebecca Robbins, pisząc dla „The New York Times”, stwierdziła, że „Green wykonuje podziwianą pracę, wprowadzając czytelników w temat choroby, o której w innym razie prawdopodobnie by się nie dowiedzieli”. ●



Rebecca Yarros

czyli pisarze i ich profile

Portugalskiego piłkarza Cristiano Ronaldo na Instagramie śledzi 651 mln osób. Jest rekordzistą tej platformy. Do tego ma 170 mln fanów na Facebooku (również rekord), 115 na X (tu niestety przegrywa z Muskiem i Obamą). Na TikToku co prawda również miał miliony, ale w 2023 r. platforma wyłączyła mu konto.

Czy są pisarze, którzy mogą się z Ronaldo porównywać? Nie, ale są tacy – jak John Green – których posty trafiają w sieci do milionów odbiorców. Niemal na pewno ich nie znacie.

Około 2,5 mln osób śledzi na TikToku filmy Jessiki Cage, niemal 6 mln – Mariah Ankenman. 3,7 mln obserwuje Sarę Raasch.

Cage napisała kilkadziesiąt powieści fantasty dla młodzieży. Jej wyróżnikiem mają być „silne postaci o różnych kolorach skóry”.

Ankenman to, jak czytamy na jej stronie, „autorka zuchwałych i wzruszających romansów”.

Sara Raasch gwarantuje „porcję magii” w każdej ze swoich książek.

Jednak popularność większości tiktokowych pisarkocelebrytek nie wychodzi poza Stany Zjednoczone, nawet jeśli młodzież na całym świecie czyta dzisiaj po angielsku.

Gdyby jednak szukać pisarki, której nazwisko nie schodzi z list bestsellerów na całym świecie i śledzą ją na TikToku ponad 2 mln fanów, jest nią **Rebecca Yarros**, autorka epickich romanсів fantasy. Co ważne – Yarros raczej nie pisze dla młodzieży, ale dorosłych. Choć te kategorie, jak wszyscy, którzy w liceum czytali „Zbrodnię i karę”, są płynne.

Sławę Rebecce Yarros przyniosła publikowana od 2023 r. seria „**Empireum**”, na którą składają się trzy powieści „**Fourth Wing**”, „**Czwarte Skrzydło**”, „**Iron Flame**”. Żelazny płomień” i „**Onyx Storm**”. Onyksowa burza”. Ta ostatnia ukazała się w styczniu 2025 r. jednocześnie w kilkudziesięciu krajach.

W pierwszym tygodniu po premierze powieść sprzedała się w Stanach Zjednoczonych w nakładzie 2,7 mln egzemplarzy. To najlepszy wynik powieści dla dorosłych w 20-letniej historii pomiarów.

Tym samym pobity został rekord ustanowiony przez Colleen Hoover i jej „It Starts With Us”, które sprzedało się w 810 tys. egzemplarzy w pierwszym tygodniu.

Jak zauważa Alexandra Alter w „New York Timesie”, popularność powieści Yarros świadczy o tym, że wciąż potrzebujemy romantycznych historii, w których nie brakuje pikantnych scen seksu i nadprzyrodzonych elementów. ●



François-Henri Désérable

największy francuski talent?

Zanim został pisarzem, był hokeistą. Jako nastolatek grał m.in. w USA, a w 2007 r. z drużyną Gothiques d'Amiens zdobył mistrzostwo Francji juniorów. Trzy lata później był filarem drużyny LHC Les Lions, która dotarła do finału mistrzostw Francji II ligi. Sportową karierę zakończył w 2016 r. w wieku 29 lat. Miał już wtedy kilka nagród literackich na koncie.

Tytuł jego debiutanckiej powieści nawiązuje do słów Dantona „Nie zapomnij pokazać im mojej głowy”, które ten współorganizator Re-

wolucji Francuskiej wypowiedział w drodze na szafot. „**Tu montreas...**” to dziesięć o mniej lub bardziej znanych postaciach, które podczas Rewolucji trafiły pod gilotynę. Książka miała entuzjastyczne recenzje.

W 2017 r. Désérable napisał powieść „**Un certain M. Piekiełny**” („Pewien pan Piekiełny”) będącą na polu fikcyjnym śledztwem w sprawie pana Piekiełnego – Żyda, wileńskiego sąsiada Romain Gary'ego, którego portret słynny pisarz nazwał „Obietnica poranka”. Désérable, jak pisze Lucyna Aleksandrowicz-Pę-

dich, „odbył rzeczywistą i literacką wyprawę do świata pamięci wileńskich Żydów i dzieciństwa Romain Gary'ego”. Désérable był nominowany do sześciu najbardziej prestiżowych francuskich nagród, w tym do Nagrody Goncourtów.

Pierwszym polskim przekładem książki Désérable'a jest „**Kruszenie świata**”, które w maju tego roku ukaże się nakładem wydawnictwa Czarne w tłumaczeniu Katarzyny Marczewskiej. To reportaż opisujący podróż Désérable'a do Iranu. Pisarz pod koniec 2022 r., w szczytowym mo-

mentcie represji po śmierci Mahsy Amini, spędził tam 40 dni, podążając szlakiem opisanym 70 lat wcześniej przez szwajcarskiego pisarza Nicolasa Bouviera w legendarnej książce „Oswajanie świata”.

Wszechstronnie utalentowany Désérable wciąż nie został „odkryty” przez Amerykanów. Sądząc jednak po tym, że jego książki są już obecne w przekładach na kilkanaście europejskich języków, czeka go światowa kariera. I nie ma co ukrywać, że talentowi pomaga tu urokliwa osobowość pisarza. ●



Ocean Vuong

na jego powieści czekają krytycy i czytelnicy

Ma 36 lat, a już napisał książkę, która trafiła na listę „100 najważniejszych powieści” ostatnich 100 lat wg niemieckiego magazynu „Spiegel”.

Vuong urodził się w 1988 r. na farmie ryżowej pod Ho Chi Minh w Wietnamie. Po pobycie w obozie dla uchodźców na Filipinach, gdy miał dwa lata, razem z matką emigrował do Stanów Zjednoczonych.

Jak sam mówi, jego życie naznaczone jest wojną. „W mojej głowie wojna jest wszędzie”, pisał w jednym z wierszy i dodawał: „Amerykański żołnierz przypyl się z wietnamską wieśniaczką. A zatem moja matka istnieje. A zatem ja istnieje”.

Zadebiutował w 2016 r., ale to wydana w 2019 r. po-

wieść „**Wspaniali jesteśmy tylko przez chwilę**” (tłum. A. Pluszka) przyniosła mu światowy rozgłos. „Głównym bohaterem powieści jest chłopak nazywany »Pieskiem«, mieszkający w Hartford w Connecticut. Jest jednocześnie niewidzialny i zbyt widoczny. Ma żółtą skórę, nigdy nie jest postrzegany jako prawdziwy Amerykanin. Zwraca na siebie uwagę szkolnych prześladowców, którzy wyśmiewają się z niego i go biją”, pisała Natalia Szostak w „Książkach. Magazynie do Czytania”.

W maju 2025 r. ukaże się nowa powieść Vuonga, „**The Emperor of Gladness**”. Jej bohaterem jest Hai, 19-latek z fikcyjnego amerykańskiego miasta East Gladness. Pograżony w depresję chłopiec za-

mierza odebrać sobie życie. Pomocy udziela mu Grażyna, starsza, cierpiąca na demencję kobieta. Od tego momentu to Hai opiekuje się pochodzącą z Litwy Grażyną.

Brytyjski GQ napisał w recenzji: „Spodziewaj się rodzaju prozy o wrażliwości, która sprawia, że dusza omdlewa”, „Spiegel” zaś – umieścił jeszcze przedpremierowo powieść wśród 100 wybitnych dzieł ostatnich 100 lat, i napisał, że Vuong pisze „z wielką czułością i nowatorską energią”.

Pisarzowi udało się zachwycić nie tylko krytyków. Społeczność Goodreads, a więc największego portalu społecznościowego poświęconego czytaniu, uznała ją za jedną z trzech najbardziej wyczekiwanych powieści 2025 r. ●

Kogo jeszcze śledzi świat?

- Inne głośne teraz nazwiska na świecie to: autorka „Normalnych ludzi” **Sally Rooney**, której nowa powieść, „Intermezzo”, jest dostojnie wszędzie oraz nagrodzony Goncourtami za „Najskrytszą pamięć ludzi” **Mohamed M. Sarr**, który aktualnie podbija Stany Zjednoczone.
- Najbardziej znani pisarze fantasy to **Brandon Sanderson** i **R.F. Kuang** (miliony fanów na całym świecie).
- W świecie hiszpańskojęzycznym sukcesy odnosi **Monica Ojeda z Ekwadoru**, a w USA osoba autorska **Akwaeke Emezi** i jej powieść „Śmierć Viveka Ojiego”.
- A głosem światowego sumienia została **Adania Shibli**, palestyńska pisarka, której „Drobnny szczegół” ma szansę stać się klasyką literatury naszych, niestety wciąż bardzo ciekawych czasów. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34369792

W PIĄTEK W WYBORCZEJ



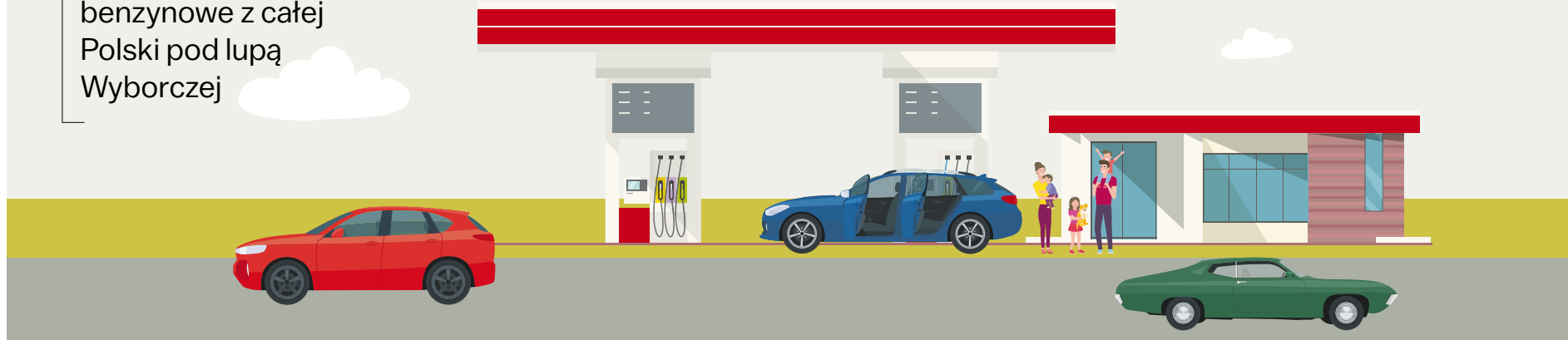
Konsumencki ranking stacji benzynowych

• Sprawdź, gdzie łazienki są najczystsze, a kierowcy mają najłatwiej – stacje benzynowe z całej Polski pod lupą Wyborczej

• O ile i dlaczego benzyna na autostradzie jest droższa

• Skąd się biorą ceny paliw

• Które hot-dogi są najlepsze – sprawdza uczestnik programu „Masterchef”



Najlepszy polski film 25-lecia

W poszukiwaniu straconego kultu

Czy polskie kino ostatnich 25 lat może się pochwalić kultowymi scenami? Kultowymi, czyli właściwie jakimi? I czy w ogóle takie sceny jeszcze powstają.



Radosław Czyż

Punktem odniesienia, takim wzorcem, do którego będzie można różne sekwencje porównywać, niech będzie **TA scena** z „Popiołu i diamentu” (1958) Andrzeja Wajdy.

TA, czyli która? Gdy rozmawialiśmy o tym filmie w redakcji, okazało się, że każdy inną scenę uważa za tę najlepszą, prawdziwie kultową. Wybraliśmy trzy.

Pierwsza to ta w hotelowym barze, gdy Maciek (Zbigniew Cybulski) i Andrzej (Adam Pawlikowski) wspominają poległych przyjaciół z AK, a Maciek na cześć każdego z nich podpala kieliszek spirytusu. Gdy zostają tylko dwa kieliszki, Andrzej gasi zapalną, mówi: „My żyjemy”, bierze jeden kieliszek, a drugi podaje Maćkowi.

Druga to ta w zbombardowanym kościele, gdzie Maciek i Krystyna (Ewa Krzyżewska) kryją się przed deszczem. Najpierw ona czyta zatarty grawer z wierszem Norwida, skąd pochodzi tytuł filmu (i książki Jerzego Andrzejewskiego),

a potem razem schodzą do głównej sali kościoła. Gdy rozmawiają, Wajda inscenizuje scenę tak, że kochanków rozdzielą w kadrze odwrócona figura ukrzyżowanego Chrystusa widoczna na pierwszym planie.

Trzecia to śmierć Maćka z finału. Uciekając przed patrolem Wojska Polskiego, bohater ukrywa się wśród białych prześcieradeł, które suszą się na wietrze. Jedno z nich znaczy własną kwią. Ostatecznie trafia na hałdę gruzów i śmierci, na której umiera.

Dwa obiekty kultu: popiół i diament

Każda z tych scen jest znakomicie zainscenizowana. I każdy przynajmniej jedna z nich pamięta. Wajda i operator Jerzy Wójcik skomponowali przepiękne kadry, metaforyczne i symboliczne. Jednocześnie każda ze scen rezonuje z przemianą wewnętrzną bohatera. Gdy Maciek podpala kieliszki, nie tylko wspomina przyjaciół, ale zaczyna się też wahać, czy dalsza walka jeszcze ma sens.

W kościele walczą w nim rodząca się miłość do Krystyny i powinność wykonania ostatniej misji. Jest rozdarty, tak jak rozdarty jest kadr i świat dzielący zako-

• **„POPIÓŁ I DIAMENT”** zrealizowano we Wrocławiu. W filmie nie pada nazwa miasta, w książce Andrzejewskiego miejscem akcji jest Ostrowiec Świętokrzyski. Większość scen powstawała w atelier, ale randkę Maćka i Ewy kręcono w zniszczonym w czasie wojny kościele św. Barbary. Został odbudowany i w 1963 r. przekazany Kościołowi prawosławnemu.

chanych. Ostatecznie Maciek składa miłość, a więc i własne szczęście w ofierze, skazując się na los męczennika.

W finale, gdy stara się rzucić przeszłość i uciec do innego życia, umiera trywialną śmiercią, przypadkowo wpadając na patrol żołnierzy. Plama krwi na białym prześcieradle podkreśla jego niezmywalne poczucie winy. Śmierć na wysypisku mówi sama za siebie.

W polskim kinie sprzed lat mnóstwo jest scen kultowych. Usiany jest nimi „Rejs” Marka Piwowskiego oraz komedie Stanisława Barei z „Misiem” na czele. Kultowa jest scena w sądzie w finale „Znachora” Jerzego Hoffmana czy pojedynek w deszczu Kmicica z Wołodyjowskim w „Potopie” (także Hoffmana).

Wzór na obwód sceny kultowej

Biorąc sobie za wzór „Popiół i diament”, wyznaczyć możemy cztery podstawowe składniki kultowej sceny.

1. Aspekt wizualny. Kino to medium, w którym historię opowiada się przede wszystkim obrazem. Wajda i Wójcik inspirowali pod tym względem całe pokolenia reżyserów z całego świata. Francis Ford Coppola wymieniał „Popiół i diament” jako swój ulubiony film, a Martin Scorsese wielokrotnie podkreślał, że seans filmu Wajdy zmienił jego życie i spojrzenie na kino. Obaj zwracali uwagę na piękne kadry, ale i aktorstwo Cybulskiego.

2. Gra aktorska. Cybulski szarżował, bywał nieprzewidywalny, ale to właśnie sprawiało, że jego kreacja była magnetyczna. Ruch i prezencja aktorów, to, w jaki sposób wypowiadają dane kwestie, może sprawić, że niepozorna sekwencja zostanie zapamiętana na zawsze.

3. Scenariusz. I nie mowa tu tylko o dialogach, lecz o szerszym kontekście danej sceny. W „Rejsie” większość kwestii była improwizowana, a i tak kilka pokoleń zna je na pamięć. Dobrze napisany dialog to nie wszystko, choć zdecydowanie pomaga. Kultowość podbija natomiast to, jak dana sce-

na otwartą jest na interpretację, co wyraża w wewnętrznym życiu bohaterów.

Gdy Andrzej mówi do Maćka: „My żyjemy”, nie tylko stwierdza prosty fakt czy podkreśla to, że z całej grupy AK-owców są jedynymi szczęściarzami, którzy dotrwali do końca wojny. Ale słowa te podbijają też wątpliwość Maćka. Skoro żyje, to jak chce to darowane życie wykorzystać? Służyć dalej? Oddać się miłości? A może rzucić wszystko i zacząć gdzieś od nowa.

4. Czas... chyba najważniejszy. Gdyby „Popiół i diament” miał premierę nie w roku 1958, ale np. 2008, byłby wciąż filmem znakomitym, ale z pewnością nie rezonowałby z publicznością tak, jak wtedy. Spora część widzów wciąż dobrze pamiętała pierwsze powojenne lata, a przez następne dekady kolejne emisje filmu w kinach i telewizji tylko wzmacniały poczucie, że to rzecz wyjątkowa, część kulturowego kanonu.

Ale jak było po roku 2000?

Kult Polaka: „Dop... sąsiadowi!”

Jako pierwszy do głowy przychodzi „Dzień świra” Marka Koterskiego z 2002 r. Film usiany jest doskonałymi scenami i tekstami, które do dziś funkcjonują w języku potocznym. Ale czy któraś jest kultowa?

Scena pierwsza do rozpatrzenia to ta, w której Adaś Miauczyński (Marek Kondrat) proponuje synowi Sylwusiowi (Michał Koterski) powtórkę z angielskiego. Dialog „odmień być” i późniejsza scena poprawiania się przed lustrem („Ale musisz przyznać, jak tatuś robi dziubek, to nie ma chuja we wsi”), to bodaj najzabawniejsza sekwencja filmu.

Wizualnie nie porywa, ale bardzo ładny jest kadr z ojcem i synem przed lustrem, gdzie jeden spodnie podciąga, drugi opuszcza, co doskonale ukazuje pokoleniowe różnice bez słowa dialogu.

Aktorsko jest to również popis, zarówno doskonałego w całym filmie Kondrata, jak i Koterskiego – wówczas naturšczyka.

Scenariusz to z kolei jeden z najmocniejszych punktów całego filmu. Specyficzna fraza Marka Koterskiego wybrzmiewa tu doskonale, podobnie jak sam temat filmu: kryzys wieku średniego, żal za czasem utraconym, niespełnioną miłością, przytłaczająca codzienność i lęk, że dziecko może być skazane na podobne nieszczęście.

A czas? „Dzień świra” na swój status pracował nie w kinach, ale dzięki wydaniom na kasetach VHS, a potem płytach DVD. Już w roku premiery żywo o nim dyskutowano, głównie za sprawą zawartego w nim humoru. Dziś ogląda się go jako wspomnienie tamtej epoki, stabilizacji po dekadzie dzikiego kapitalizmu lat 90., ale i ostatnich chwil przed wejściem Polski do Unii Europejskiej.

Scena druga to „modlitwa Polaka”. Wizualnie jest znakomita. Kręcona w jednym, sunącym po nocnych ścianach bloków ujęciu. Stojące na balkonach sylwetki modlących się kontrastują z nikłym światłem sączącym się z mieszkań. Aktorsko trudno ją oceniać. To scena zbiorowa, a wspólny monolog wypowiadają anonimowe głosy. Efekt jest jednak wyrazisty.

Samej modlitwy nie sposób nazwać subtelną, ale czy subtelni są stereotypowi Polacy w niechęci do sąsiadów?

„Gdy wieczorne zgasną zorze, / zanim głowę do snu złożę, / modlitwę moją zanoszę, / Bogu Ojcu i Synowi. / Dopierdolicie sąsiadowi! / Dla siebie o nic nie wnoszę, / tylko mu dosrajcie, proszę! / Kto ja jestem? / Polak mały! Mały, zawistny i podły! / Jaki znak mój? Krwawe gały! / Oto wnoszę swoje modły do Boga, Maryi i Syna! / Zniszczcie tego skurwysyna! (...)”.

A jak z „modlitwą Polaka” obszedł się czas? Bardzo dobrze, bo jedno pokolenie to zdecydowanie za mało, by wyzbyć się wszystkich narodowych przywar.

„Dzień świra” ma więc aż dwie kultowe sceny. Inni być może prędzej wymieniliby te z wizytą u matki, czytaniem gazety, sąsiadem słuchającym Konkursu Chopinowskiego czy sranie pod blokiem („jak pani pies”), ale te dwie wymienione na początku mają najsilniejszy wydźwięk.



• **„ZIMNA WOJNA”.** Gdy w paryskim klubie grać zaczyna „Rock Around the Clock” zespołu Bill Haley & His Comets, Zula (Joanna Kulig) rzuca się w wir tańca. Gdy wspina się na bar, zakochani są już w niej wszyscy. Z widzom włącznie.

• **„DZIEŃ ŚWIRA”.** - Czy panowie muszą tak napierdalać od bladego świtu - pyta „roboty” niewypasany „kałamaż” Adaś Miauczyński (Marek Kondrat). Wściekły, że musi tego „jebania inteligentowi po uszach” słuchać od brzasku.

• **„CHŁOPAKI NIE PŁACZĄ”.** Gdy Kuba (Maciej Stuhr) kopie sobie grób, gangsterzy Fred (Cezary Pazura) i Grucha (Miroslaw Zbrojewicz) sprzecają się o różowy sweter tego drugiego. Widać nawet bandzior może mieć miękkie serce.





FOT. PAP/AP/PIKX/KRZYSZTOF WELLMAN, MATERIAŁY PRASOWE

„Tyle było dni, do utraty sił, Do utraty tchu, tyle było chwil”

Na pewno sporo było w różnych filmach kultowych scen komediowych, ale chyba tylko jedna komedia zasługuje na status kultowej – „**Chłopaki nie płaczą**” Olafa Lubaszenki z 2000 r.

Film to kopalnia cytowanych dialogów, ale jeśli chodzi o sceny, to o tytuł kultowych zabiegać mogą dwie:

Pierwsza – sweterek Gruchy (Miroslaw Zbrojewicz). Wizualnie Lubaszenko i operator Martin Štrba stawiali na użytkowość. Bez supergagów i jakiś wysamkowanych kadrów – to nie tego typu film. Ale obraz to też kostium i dekoracje. A różowy sweterek z gruszką, który nosi groźny gangster grany przez groźnie wyglądającego Zbrojewicza, to wizualna perełka.

Aktorsko scena, w której Fred (Cezary Pazura) zaczyna drwić ze swetra Gruchy, to kawał dobrego rzemiosła. Jest tu humor, poczucie zagrożenia (w końcu przyjechali tu wykonać egzekucję) i bezcenna mina Zbrojewicza, gdy jego bohater zaczyna być pod wpływem wypalonego omyłkowo jointa.

Scenariuszowo to też dla Gruchy scena kluczowa. Czuł, że Fred go lekceważy, traktuje bardziej jak pożytecznego idiotę niż partnera. I znosił to z kamienną twarzą, ale drwiny ze sweterka, który zrobiła mu ukochana? Tego było za wiele. Jest tu przemiana bohatera, ale i świetnie napisany dialog.

Film oglądany po latach wciąż się broni, zwłaszcza jeśli ma się do niego sentyment. To chyba ostatnia naprawdę udana polska komedia, a przynajmniej taka, która trafiła do gustu bardzo szerokiej publiki – inspirowana amerykańskim kinem sensacyjnym, dowcipna i świetnie obsadzona.

Druga – brunkry, których nie ma. Laska (Tomasz Bajer) dociera z kolegami w miejsce, które przez telefon wskazał im porwany przez gangsterów Kuba (Maciej Stuhr). Mieli jechać do Brzózek Starych, gdzie w lesie znajdują się poniemieckie bunkry. Jechali jednak kawałek za długo – Kuba zresztą poradził sobie sam. Byli tak upaleni, że nie pomógłby im nawet GPS. Gdy docierają na miejsce, Laska idzie się rozejrzeć. Koledzy pytają, czy są bunkry, a on mówi: „Bunkrów nie ma, ale też jest zajebiście”, kamera unosi się i widzimy... Bałtyk.

Wizualnie to chyba najładniejsza sekwencja w filmie. Zdecydowanie zapadająca w pamięć. Aktorsko wszyscy są wyśmienici, zwłaszcza Bajer, który do roli wyluzowanego i wiecznie zjaranego Laski się urodził.

Scenariuszowo to doskonały gag, a do tego odzwierciedlenie życiowej maksymy Laski: „Odpowiedz sobie na jedno zajebiście, ale to zajebiście ważne pytanie. Co lubię w życiu robić? A potem zacznij to robić”.

Całość podbija brzmiąca w tle piosenka „Dni, których nie znamy” Marka Grechuty.

„No i chuj, no i cześć”

Idąc tropem komediowym, można płynnie przejść do „**Wesela**” (2004) Wojciecha Smarzowskiego. To film kultowy niezaprzeczalnie. Ma wiele słynnych tekstów. Ale czy całych scen? Raczej nie. Wesele jednak odsłania inny trop w poszukiwaniu straconej kultowości.

To alkohol („największa trucizna”). Zarówno Koterski, jak i Smarzowski nakręcili o piciu filmów tak wiele, że aż za dużo. Jako motyw pojawia się on w większości komediodramatów opowiadających o polskości, zwłaszcza jej grzechach i przywarach. „**Wszyscy jesteśmy Chrystusami**” (2006) i „**Pod mocnym aniołem**” (2014) to najbardziej jaskrawe przykłady, ale w żadnym z nich nie ma sceny kultowej.

Owszem, z tego drugiego do języka potocznego przeszło: „No i chuj, no i cześć” wypowiedane przez bohatera Mariana Dziędziela w retrospekcji, ale sama scena nie wryła się w masową świadomość.

Inaczej może być ze sceną w „**Żółtym szaliku**” (2000) Janusza Morgensterna.

Mowa o tej, w której grany przez Janusza Gajosa bohater spotyka się w knajpie z synem i jego narzeczoną. Najpierw zamawia „pożywną zupę”, ale po chwili zmienia kolejność i zanim na stół podana zostanie zupa, chce skosztować „stu gramów dobrze zmrożonej substancji”.

Kelner stawia przed nim dwa kieliszki i szklankę lodu. Gajos rozgryza kostkę, a następnie, dając natchniony wywód, „wolniutko” wypija oba kieliszki.

Wizualnie ciekawe jest samo wnętrze restauracji i ubiór kelnerów – oba charakterystyczne dla końca lat 90. Wzrok przykuwa jednak tytułowy żółty szalik, dany bohaterowi w prezencie od syna. Jeden z wielu, które zgubił przez lata, gdy był pod wpływem. Gajos daje tu aktorski popis.

Czarujący i erudycyjny, ale też odpychający i godny politowania. Monolog napisany jest wyśmienicie, a sama scena jest jedną z pierwszych, w których oglądamy niemoc bohatera wobec alkoholu.

Przeszła próbę czasu, choć nie zawsze z tych powodów, z których powinna. Ode-rwana od kontekstu w serwisie YouTube krąży jako instrukcja, popis „kunsztu picia”.

Opisane sceny są dobre, niektóre kultowe już dziś, inne mogą ten status zyskać z czasem. Ale czy któraś zbliża się do którejkolwiek ze scen z „Popiołu i diamentu”?

Może należałoby szukać gdzieś bliżej. Wajda był reżyserem świetnie znanym na Zachodzie, zaliczanym przez kolegów z branży do grona największych filmowców swoich czasów. Czy dziś mamy twórcę o podobnym statusie w kinie światowym?

Łojojoj!

Na myśl przychodzi chyba tylko Paweł Pawlikowski. Nagrodzona Oscarem „**Ida**” (2013) i nominowana do trzech Oscarów „**Zimna wojna**” (2018) uczyniły z niego gwiazdę wielkiego formatu. Czy te filmy mają sceny, o które nam chodzi?

W tym pierwszym filmie na myśl przychodzi **samobójstwo Wandy** (Agata Kulesza). Wizualnie scena wspaniale skomponowana, w długim, nieruchomym kadrze ukazującym część pokoju bohaterki i duże, otwarte okno, w jego centralnej części. Aktorsko Kulesza jest tu hipnotyzująca.

Trudno odgadnąć buzujące w niej emocje w chwilach tę scenę poprzedzających, bo jej niespokojne wchodzenie i wychodzenie z kadru, też można różnie odbierać. Do czasu, gdy nagle wraca w kadr z narzuconym na ramiona płaszczem i bez sekundy wahania po prostu wychodzi przez okno.

Kadr trwa dalej, wręcz o kilka sekund za długo, dając widzom czas nie tylko na przetrawienie tego, co właśnie zobaczyli, ale też moment krępującej niewygody, jakby naprawdę oglądali pokój, w którym ktoś odebrał sobie życie. Nagrodzony Oscarem film nie potrzebował zbyt wiele czasu, by zarezonować w społeczeństwie, ale czy 12 lat po premierze o „Idzie” i opisywanej scenie wciąż się mówi?

Inaczej jest chyba z „Zimną wojną”, lepszym z dwóch filmów, choć nagrodzonym „jedynie” reżyserską Złotą Palmą w Cannes.

Tu są co najmniej trzy sceny ocierających się o kultowość.

Pierwsza to koncert Zuli (Joanna Kulig) i **Wiktora** (Tomasz Kot) w paryskim klubie, gdy do jazzowej aranżacji śpiewa ludowy utwór „Dwa serduszka”.

Druga to taniec Zuli do „Rock Around the Clock” w nocnym klubie, gdy śledzona przez kamerę wije się od partnera do partnera, a potem wspina na bar.

Trzecia to finał – zaślubiny i samobójstwo pary w ruinach kościoła i wspólne sie-

dzenie na przydrożnej ławeczce, z której ruszają razem poza kadr.

Wszystkie są pięknie zrealizowane. Pawlikowski i autor zdjęć Łukasz Żal doskonale operują ustawieniem aktorów i scenografią w kadrze, wyciągają z czerni i bieli mnóstwo emocji, a ruch obrazu w scenie tańca sprawia, że kamera zdaje się kolejnym gościem parkietu. Aktorsko to wyżyny zarówno dla Kota, jak i Kulig. Stworzyli tu niezapomniane kreacje, a opisywane sceny wyciągają z nich głębię, choć właściwie w żadnej nie pada ani jedno słowo.

Jednak te najważniejsze słowa – słowa przysięgi – padają w finale. Zaraz potem Zula zgarnia ułożone na ołtarzu tabletki nasenne, które do tej pory wyglądały niemal jak różaniec. „Dla ciebie więcej, bo jesteś cięższy” – mówi, podając garść tabletek Wiktorowi. Zderzenie duchowej wzniosłości ślubów i trywialnej śmierci liczonej na sztuki tabletek – robi piorunujące wrażenie.

A potem małżonkowie spokojnie czekają na śmierć, patrząc na zachód słońca. „Chodź na drugą stronę. Tam będzie lepszy widok” – mówi Zula zarówno o słońcu, jak i o zaświatach.

Kiedys to były sceny

Czerń i biel w filmach Pawlikowskiego nadaje im wymiar ponadczasowości, więc oglądając je ponownie, ma się wrażenie, że są z nami od zawsze. Czy tak jak był „Popiół i diament”? Z pewnością nie. Ale gdyby „Zimna wojna” była pokazywana w kinach i telewizji równie często, być może taką ponadczasowość już by zyskała.

W czasach wyłącznie kina i telewizji czy nawet potem, w erze VHS i DVD, o kultowy status jakiegos filmu czy sceny było łatwiej.

Dziś filmów jest przede wszystkim znacznie więcej, każda grupa wybiera coś dla siebie. Ze świecą szukać w kinach czegoś, co zarezonuje z całym pokoleniem. Dlatego o filmach kultowych można było mówić jeszcze w latach 90., weźmy za przykład „Psy”, „Kilera” czy „Nic śmiesznego”, a jest ich przecież więcej.

Mniejszy wybór i generalnie niższa dostępność treści działały na korzyść, bo gdy o jakimś filmie zaczęło się mówić, każdy chciał go zobaczyć i robił to, gdy tylko nadarzyła się okazja. A ostatnia dekada należała do streamingu, który przy swoich licznych zaletach częściej paraliżuje nadmiarem rzeczy do obejrzenia niż skłania do tego, by na dany film polować i odtwarzać go w kółko.

A pojedyncze sceny? Te wystarczy wpisać jako hasło w YouTube. Coś powinno wyskoczyć. Ja wciąż wracam do tych, z „Popiołu i diamentu”. ●

Plebiscyt: polski Film 25-lecia

Który z filmów z ostatnich 25 lat najwięcej mówi o nas? Jest ważny i będzie mógł służyć jako świadectwo swojego czasu? Który trzeba pokazywać następnym pokoleniom, żeby lepiej zrozumiały, kim byliśmy w pierwszej ćwierćce XXI wieku?

Oto lista 25 tytułów, którą stworzyliśmy razem z 55 osobami na co dzień zajmującymi się kinem. To dziennikarze/ki różnych mediów, filmoznawcy/czynnie, krytycy/czki filmowe, a także twórcy blogów, podcastów i youtuberzy. Filmy, które otrzymały najwięcej ich głosów, utworzyły finałową dwudziestkę piątkę.

Zapraszamy do głosowania. Który z nich Twoim zdaniem zasługuje na miano Filmu 25-lecia. Każdy może wybrać trzy z 25 tytułów.

Maja Staniszweska

Lista filmów, które znalazły się w finale, na które możecie głosować:

- „**Bogowie**” (2014), reż. Łukasz Palkowski;
- „**Body/Ciało**” (2015), reż. Małgorzata Szumowska;
- „**Boże Ciało**” (2019), reż. Jan Komasa;
- „**Chleb i sól**” (2022), reż. Damian Kocur;
- „**Chłopaki nie płaczą**” (2000), reż. Olaf Lubaszenko;
- „**Cicha noc**” (2017), reż. Piotr Domalewski;
- „**Córki dancingu**” (2015), reż. Agnieszka Smoczyńska;
- „**Demon**” (2015), reż. Marcin Wrona;
- „**Dom zły**” (2009), reż. Wojciech Smarzowski;
- „**Dzień świra**” (2002), reż. Marek Koterski;

- „**Ida**” (2013), reż. Paweł Pawlikowski;
- „**Jesteś Bogiem**” (2012), reż. Leszek Dawid;
- „**Kler**” (2018), reż. Wojciech Smarzowski;
- „**Kos**” (2023), reż. Paweł Maślona;
- „**Ostatnia rodzina**” (2016), reż. Jan P. Matuszyński;
- „**Plac Zbawiciela**” (2006), reż. Krzysztof Krauze i Joanna Kos-Krauze;
- „**Rewers**” (2009), reż. Borys Lankosz;
- „**Róża**” (2011), reż. Wojciech Smarzowski;
- „**W ciemności**” (2011), reż. Agnieszka Holland;
- „**Wesele**” (2004), reż. Wojciech Smarzowski;
- „**Wieża. Jasny dzień**” (2017), reż. Jagoda Szalc;
- „**Wojna polsko-ruska**” (2009), reż. Xawery Żuławski;

- „**Zabij to i wyjedź z tego miasta**” (2019), reż. Mariusz Wilczyński;
- „**Zielona granica**” (2023), reż. Agnieszka Holland;
- „**Zimna wojna**” (2018), reż. Paweł Pawlikowski.

wyborcza.pl

- **Głosujemy na Wyborcza.pl do 28 kwietnia. I tam 29 kwietnia ogłosimy zwycięzcę plebiscytu.**
- **W naszym serwisie także: Jak powstawała nasza lista i kto ją stworzył? Jakie tytuły się na niej nie zmieściły? Rozmowy, podsumowania i recenzje filmów ostatniego 25-lecia**

Tata na motocyklu cros-sowym, za nim dziecko na quadzie. Silniki warczą na szlakach i poza szlakiem w Gorcach, Bieszczadach, na Podhalu, w Puszczy Kampinoskiej.

Bartłomiej Kuraś

Jeżdżą całymi grupami, także po szlakach turystycznych. Z zagiętymi rejestracjami albo w ogóle bez tablic.

– Podchodziłam z dziećmi na Cwiłlin w Beskidzie Wyspowym. Nagle wyskoczyła na nas cała grupa mężczyzn na quadach. Ryk silników nas nie ostrzegł, bo byli za zбочem. Ledwo zdążyliśmy uskoczyć – to było zeszloroczne lato, ale pani Małgorzata wciąż nie może ochłonać.

Quady i motocykle krosowe – które jeszcze 20 czy 10 lat temu nie były aż taką plagą, jak modne quady, bo bawili się w nie głównie pasjonaci, ale w ostatnich latach błyskawicznie się popularyzują – to:

hałas i smród niskooktanowego paliwa właśnie tam, gdzie ludzie szukają ciszy, spokoju i kontaktu z naturą;

strach spłoszonych zwierząt, nawet tam, gdzie powinny czuć się bezpieczne, w parkach narodowych i krajobrazowych;

zdeławastowane ścieżki i szlaki turystyczne;

tumany kurzu unoszące nad podmiejskimi osiedłami, letniskami, wsiami podczas weekendowych rajdów szutrowymi drogami i nieutwardzonymi ulicami;

przyspieszona erozja trudniej regenerujących się wskutek suszy łąk i pól.

A także realne zagrożenie dla życia.

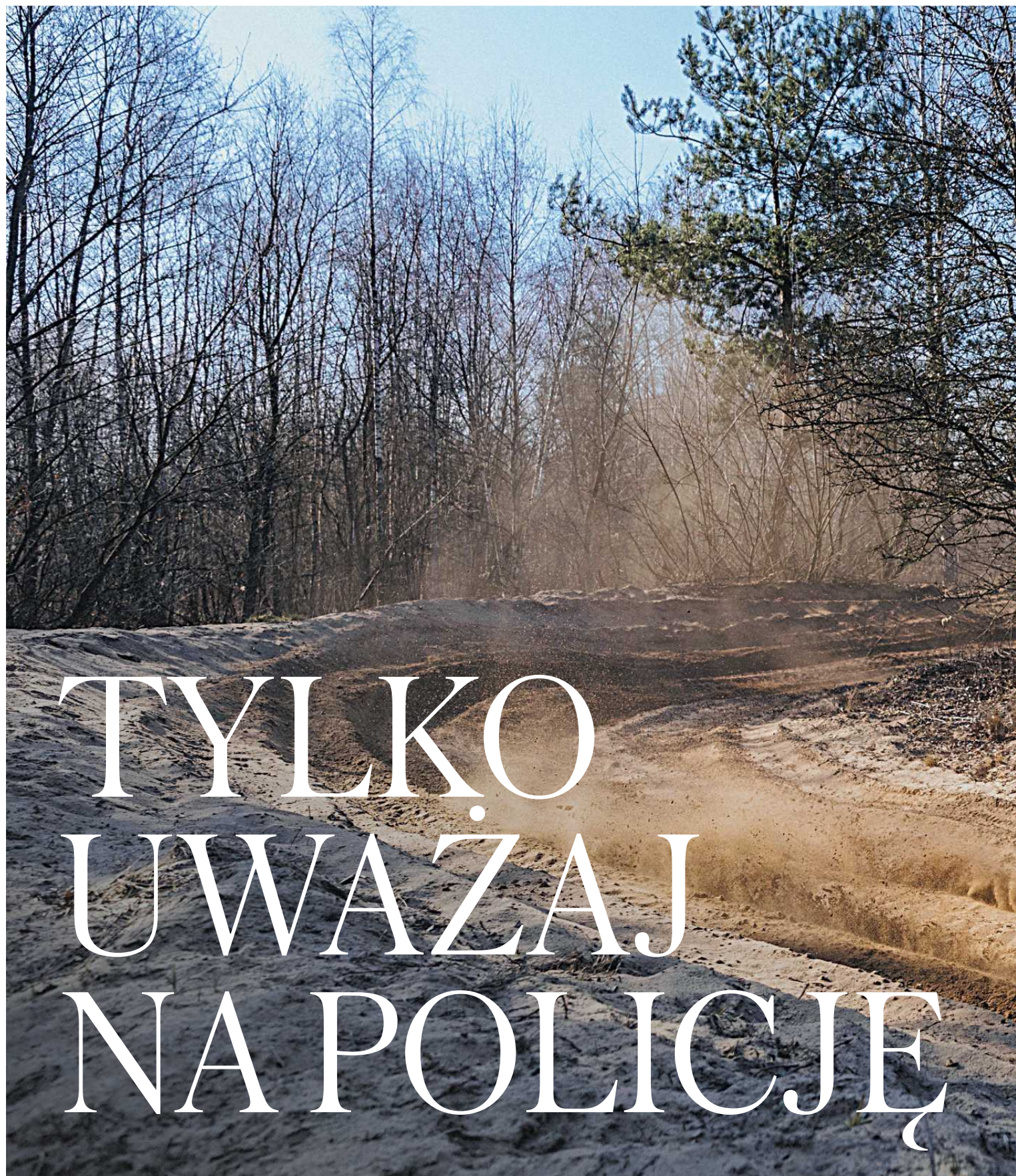
Tak jak w Kleszczewie w czerwcu 2011 r. Michał i Agata, młode małżeństwo z Warszawy, przyjechali z pięciomiesięcznym synkiem na krótki urlop na Mazury. Wybrali się na spacer gruntową drogą. Piotr S. i jego szwagier Marek B. jeździli dla rozrywki quadami. Żwir spod kół rozpędzonych maszyn uderzył w wózek, sygnął do środka. Agata krzyknęła, wyciągnęła środkowy palec. Miejscowi zawrócili. Quad uderzył w kobietę, wpadła do rowu. Pogotowie przyjechało szybko. Po kilku minutach reanimacji lekarze stwierdzili zgon młodej matki.

Albo rok 2017. 14-letni Wiktor pędzi quadem przez podkrakowskie Mogilany. 72-letni Stanisław nie wytrzyma, bo to nie pierwsza taka przejażdżka. Wyskakuje na drogę. Quad uderza weń. Starszy pan umiera na miejscu. Młody kierowca nawet się nie zatrzymuje. Nie ma uprawnień do prowadzenia takiego pojazdu. – Zazdrościliśmy mu tej jazdy. Chyba każdy chłopak od nas marzy o quadzie, ale nie wszystkich rodziców stać – opowiadają wstrząśnięci koledzy.

Quady i „krosy” hałasują i straszą wszędzie – od mazurskich pagórków przez podwarszawską Puszcę Kampinoską po bałtyckie plaże. Ale największą plagą stały się w terenach górskich. Gorce, Bieszczady, Beskid Sądecki to ulubione miejscówki kumpelskich wypraw w męskim gronie, komercyjnych rajdów i wielopokoleniowych rodzinnych wycieczek. Ojciec jedzie motorem crossowym, a za nim dziecko na quadzie.

– Mijał mnie taki na szlaku na Turbaczu. Zwróciłem uwagę. Stwierdził, że jedzie do własnej posesji i mu wolno – zżyma się Grzegorz Kościelniak, turysta.

Choć turyści zgłaszają takie incydenty, najczęściej ratownikom GOPR i policji, motocykliści i quadowcy pozostają bezkarni. – Raz krosowcy o mało nie przejechali naszych ludzi, którzy szli na akcję ratunkową. Niewiele możemy zrobić, bo przecież nie jesteśmy żandarmami – smutno wzrusza ra-



TYLKO UWAZAJ NA POLICJĘ

mionami Mariusz Zaród, członek Zarządu Głównego GOPR, wcześniej naczelnik Grupy Podhalańskiej GOPR, która działa w Gorcach, Beskidzie Wyspowym, Pieninach i w części Beskidu Sądeckiego.

Policjanci też przyznają, że są bezradni. – To walka z wiatrakami – ocenia funkcjonariusz z Małopolski. – Nie chcemy się narażać na śmieszność, goniąc motocyklistów po bezdrożach, bo szanse na ich złapanie są zwykle znikome. A wydział komunikacji nam nie pomoże, bo najczęściej pojazdy krosowe nie są rejestrowane.

Czasem się udaje. Kiedy po tym, jak mężczyźni na terenowych motocyklach kolejny raz zniszczyli mu zasiewy, rolnik z okolic Bielska Podlaskiego poprosił swojego dzielnicowego o pomoc. Udało się ich zatrzymać. Ale normą są raczej sytuacje takie jak w Żąbkowicach Śląskich. Uciekający crossem 17-latek po prostu zjechał w pole. Radiowóz – osobówka – musiał przerwać pościg.

Patrol w radiowozie nie poradzi sobie ani z quadem, ani z crossem, nawet jeśli jedzie SUV-em. Bo żeby ścigać przez bruzdy, błoto czy leśne wykroty, policjanci musieliby dysponować rasową terenówką – a i ta nie wszędzie tam, gdzie wciśnie się mały, lekki pojazd. Patrol na quadzie – takie można spotkać w terenach leśnych, w regionach turystycznych, jak Mazury, czy w górach – po-

radzi sobie z ujęciem quadowca. Ale niekoniecznie motocyklisty uciekającego crossem, zwinniejszym i mieszczącym się między drzewami.

Do tego wśród quadowców i krosiarzy panuje przekonanie, że „psy” nie mają specjalnej motywacji. Jazda po polach uprawnych, lasach czy terenach rekreacyjnych polskie prawo traktuje w kategoriach wykroczenia. Więc gra bywa niewarta świeczki – zysk w postaci podpompowania statystyk wykrywalności i mandatów jest niewspółmierny do włożonego wysiłku i ryzyka – dla zdrowia, a może i życia, o uszkodzeniu państwowego sprzętu nie mówiąc.

To nie znaczy, że policjanci się nie starają. Na przykład ci z powiatu tatrzańskiego profilaktycznie kontrolują quady i motocykle poruszające się po drogach publicznych i prywatnych. Tegoroczny plon to sporo kierowców nietrzeźwych i bez uprawnień oraz kilkadziesiąt interwencji zakończonych mandatami, pouczeniami, zatrzymaniami dowodami rejestracyjnymi, zgłoszeniami do Funduszu Gwarancyjnego za brak OC.

Świetne wyniki przynosi współpraca ze Strażą Leśną. Tak jak w okolicach Lubomira w Małopolsce, gdzie strażnicy wpadli na pomysł, żeby obserwować, gdzie pojawiają się lawety transportujące motocykle. Połą-

czyli kropki, wskazując policji również lokalizacje, w których najczęściej pojawiają się motocykliści, i tam ruszyły policyjne patrole. Funkcjonariusze zatrzymali kilku motocyklistów, zjeżdżających z żółtego szlaku turystycznego. Ale taka operacja wymaga czasu i sporych sił. Nie da się postawić strażnika leśnego przy każdym parkingu pod lasem ani strażnika gminnego przy każdej polnej drodze.

I nawet najbardziej zaangażowanym mundurowym z czasem się odechciewa, bo wiedzą, że z quadowcem, który przyjął mandat i odjechał, śmiejąc się im w nos, spotkają się w kolejny weekend. Bo kary za nielegalne rajdy quadów, motocykli crossowych – i skuterów śnieżnych zimą – niespecjalnie kogokolwiek odstrasza. 500 zł mandatu to taniocha dla kogoś, kogo stać na 250 zł do 800 zł – w zależności od terenu i sprzętu – za wypożyczenie quada czy na własną maszynę za co najmniej kilkanaście tysięcy.

Więc miejscowi próbują radzić sobie na własną rękę. Cierpliwość tracą zwłaszcza rolnicy, bo gdy quady przegalopują po uprawach, ponoszą realne, idące w dziesiątki tysięcy straty. Dlatego metody bywają drastyczne: stalowe linki, kłody i pnie rzucone w poprzek ścieżki, przekopane rowy. 16-letni motocyklista z Podkarpacia, przejeżdżając przez prywatną, nieogrodzoną posesję, trafił na rozwieszoną między drzewami sta-



lową linkę. Uszkodziła mu krtań i tchawicę, chłopak spędził długie tygodnie w szpitalu. Na silnikowych jednośladach za kolegą jechało jeszcze kilku innych nastolatków.

A mogło być gorzej. Niedaleko Poronina ktoś zastawił pułapkę w postaci rusztu z ostrymi stalowymi prętami. Miał odstraszac motocyklistów, ale natrafili na niego rowerzyści. – Cały był zakopany w ziemi. Wystawały tylko szpile – relacjonował rowerzysta, który cudem uniknął nieszczęścia. Bo szybki pojazd na grubych oponach złapałby gumę, ale przejechał przeszkodę. Może zaliczyłby wywrotkę, ale motocykliści zwykle jeżdżą w nagolennikach, ochraniaczach na łokcie i ramiona, grubych rękawicach i półpancerzach zakładanych na kombinezony. Rowerzysta zatrzymałby się na kółkach. Ze wszystkim tego konsekwencjami.

Owszem, quadowcy też ponoszą takie konsekwencje. Ale zwykle nie ci, którzy – by odwołać się do zrozumiałej, choć niefajnej emocji opinii publicznej – powinni.

• Dźwierszno Małe w Wielkopolsce. Dwaj chłopcy jadą quadem połą drogą, uderzają w drzewo. **Ginie pięciolatek, dziesięciolatek zostaje ranny.** Sąd stwierdza, że ojciec nie zabezpieczył pojazdu.

• Rejon Suchoj Beskidzkiej 14-latką na quadzie jedzie bez kasku, na zakręcie traci pa-

• **Na quadzie łatwo dać się ponieść tak, że jazda przestaje być bezpieczna - Dawid Krawczyk, reporter „Wyborczej” na torze w Ossowie** FOT. ADAM STEPIEN / AGENCJA WYBORCZA.PL

Zsiadam z quada cały mokry i już wiem, po co ludzie to robią. Serce bije szybciej, oddech przyspiesza, mięśnie dostają kopa energii, wzrok się wyostrza, a głowa działa błyskawicznie. **Adrenalina**

nowanie nad kierownicą i uderza w drzewo. Umiera w szpitalu.

• Podkarpacie. Nastolatki na czterokołowcu wyjeżdżają z leśnej drożki na szosę, wprost pod koła samochodu osobowego. **14-latek doznaje wstrząśnienia i obrzęku mózgu, złamał nogę i bark.** To on kierował. Młodszy wychodzi z wypadku tylko mocno pobijany.

• Pod Jasłem **dziesięciolatek na quadzie zderzył się z fordem.**

• W Albigowej na Rzeszowszczyźnie **ośmioletnia dziewczynka na czterokołowcu wjechała w przyczepę.**

• Chłopczyk z Odrowąża w powiecie nowotarskim jechał czterokołowcem leśną drogą, gdy spadł mu łańcuch. Nie zgasił silnika i próbował naprawić pojazd. **Koło zębate wkręciło mu ręce i zmiażdżyło palce.**

Według prawnej definicji czterokołowiec to „pojazd samochodowy przeznaczony do przewozu osób lub ładunków, z wyłączeniem samochodu osobowego, ciężarowego i motocykla, którego masa własna nie przekracza: w przypadku przewozu rze- czy 550 kg, w przypadku przewozu osób 400 kg”. Ustawa Prawo o ruchu drogowym rozróżnia czterokołowce lekkie – do 350 kg i z maksymalną prędkością do 45 km na godz. Cięższe i szybsze kwalifikowane są jako ciężkie pojazdy. Do prowadzenia czterokołowca lekkiego wystarczy prawo jazdy kategorii AM, odpowiadające dawnej karcie motorowerowej, o które można się ubiegać od 14 lat, za zgodą rodziców. By wsiąść na ciężkiego quada, trzeba już mieć normalne samochodowe prawo jazdy, przynajmniej kategorii B1. Nie wystarczą pełne uprawnienia do jazdy na motocyklu, które i tak są w Polsce wydawane od 18. roku życia. Każdy czterokołowiec wykorzystywany na drogach publicznych musi być zarejestrowany i ubezpieczony. Kierujący quadem musi mieć na głowie kask.

Ale ani przepisy, ani mandaty i możliwe konsekwencje prawne – sąd rodzinny, nadzór urzędników z MOPS-u – ani nawet nagłaśniane tragiczne wypadki nie odstraszają rodziców od zakupu quadów. Małe czterokołowce sprowadzane z Azji są tanie. Komplet zimowych opon do przeciętnego auta kosztuje więcej niż nowy quad. A że iPhone’a dziecko już zwykle ma, zaś taki gadżet jest imponujący, modne stało się wręczanie kluczyków jako prezentów komunijnych. Tak zresztą reklamuje się w internecie wiele firm handlujących czterokołowcami. „Wymarzony quad na komunię. Prędkość do 40 km/h, waga 90 kg, automatyczna skrzynia biegów. Cena 4 tys. zł. Możliwe raty”. Albo: „Quad dla dziecka komunijnego, może rosnąć razem z dzieckiem, po zdjęciu blokady ograniczenia prędkości do 45 km/h może rozpędzić się do 70 km/h. Cena 5999 zł”.

Sprzęt produkowany w Chinach często nie spełnia wymagań technicznych, ale rodzice omijają ten problem, nie zaprzatając sobie głowy formalnościami z rejestracją pojazdu. Trzymają maszynę w garażu lub szopie i pozwalają dziecku na przejażdżki po okolicy na zasadzie: „tylko uważaj na policję”.

A z quadem jest jak z niedźwiedziem – wygląda niegroźnie, pocziwie i wydaje się stateczny, lecz to niebezpieczna bestia, gdy podchodzimy doń ufnie i nieumiejętnie. – Czterokołowce łatwo wytrącić z równowagi na wyboju, mają tendencję do przewracania się.

Nawet dorosły, doświadczony kierowca nie zawsze jest w stanie wyprowadzić taki pojazd – opowiadała „Wysokim Obcasom” Marzanna Boratyńska, emerytowana policjantka z drogowki.

Już same odruchy bezpieczeństwa wypracowane na rowerze czy skuterze tu są niebezpieczne – podparcie się nogą to gwarantowane otwarte złamanie albo i wciągnięcie pod maszynę. A kiedy quad się przewraca, kierujący jest bez szans. – Nawet mały pojazd przygniata dziecko ciężarem ponad trzech worków cementu. Jeżeli upadnie na rękę czy nogę, dochodzi do skomplikowanych wieloodłamkowych złamań. Jeśli

przygniecie miękkie części ciała... – tłumaczy ekspertka.

Są w Polsce miejsca, gdzie można pojeździć legalnie. Szkolenie przed pierwszą jazdą trwa dwie minuty. Jak na rowerze: jedna kłamka na kierownicy – hamulec przedni, druga – tylni. Do tego nożny hamulec pod prawym butem, który zatrzymuje obydwie osie. Zapłon po prawej stronie kierownicy, skrzynia biegów podobna do tej w samochodzie z automatem. Gaz pod prawym kciukiem.

Reporter Dawid Krawczyk, który wybrał się na taki tor, tak opisuje wrażenia: – Wiatru we włosach nie czuję, bo przed chwilą założyłem na głowę kominiarkę i kask. Czuję za to piach. Chrzęści między zębami, bo każdy kolejny zakręt na torze to piaszczysta chmura, która osadza się na ustach i języku.

Szaleję na wyrwnej czterokołowej maszynie i staram się – całkiem dosłownie – nie wypaść z siodła. Dociskam kciukiem gaz w prawej manetce i cisnę, ile tajwańska fabryka dała. A w zielonym Kymco MXU 300, na którym siedzę, dała 22 konie mechaniczne – bliżej tym osiągom do miejskiego skutera niż porządnego motocykla. Ale maszyna waży tylko 225 kg, tyle, co dziesięć rowerów elektrycznych, więc zrywa się bardzo dynamicznie. Po kilku minutach zabawy czuję to w napiętych mięśniach przedramion, którymi trzymam kierownicę. I w brzuchu, i plecach, które stabilizują mnie w siodle. Rozumiem już, co znaczy sport w określeniu „motorsport”.

Zabawa na torze w Ossowie pod Wołominem, 20 km od Pałacu Kultury, zaczyna się od pierwszego wirażu. Wpadam w niego z prędkością 35 kilometrów na godzinę. Cóż, siłą własnych mięśni bez trudu rozpędzam do takiej prędkości rower na szosie, ale w terenie i z przyspieszeniem, jakiego moje nogi nie wygenerują, to coś zupełnie innego.

Decyduję, że gaz odpuszczę dopiero przy pierwszej niebezpiecznej sytuacji. Kolejny wiraż na wyprofilowanym torze: zarzuca tyłem maszynę przy wychodzeniu z zakrętu, ale wciąż czuję kontrolę. Sekcja muld testuje sprawność amortyzatorów i moich kolan, podnoszę tyłek z siedziska, by zaplanować nad pędzącą maszyną. Kawalek prostej, cisnę kciukiem do oporu i serce zaczyna mi walić, kiedy zbliżam się do dwumetrowej góry. Przegiąłem. Zdaję sobie z tego sprawę, kiedy przednie koła dotykają podjazdu. Oczami wyobraźni widzę, krótki lot i lądujące na mnie ciężkie tony żelastwa z czterema wirującymi zębatymi oponami. I wtedy w głowie wyskakują mi słowa instruktora: „jak coś, wciskaj hamulce, ile siły w dłońiach”. Na miękkich nogach dokańczam pierwsze okrążenie. Dość szybko dostaję odpowiedź na jedno z pytań, z którym przyjechałem na tor.

Czy jazda quadem jest bezpieczna? Cóż, dość łatwo dać się ponieść tak, żeby przestała być bezpieczna.

Przy drugim okrążeniu już wierzę w siebie, cisnę kciukiem gaz i na kilku hopkach udaje mi się nawet poderwać maszynę do krótkiego lotu.

Zsiadam cały mokry i już wiem, po co ludzie to robią. Nie tylko silnik jest na najwyższych obrotach. Serce bije szybciej, oddech przyspiesza, mięśnie dostają kopa energii, wzrok się wyostreza, a głowa działa błyskawicznie. Jednym słowem: adrenalina.

Nic dziwnego, że wielu z tych, którzy zaznają emocji na torze, chce więcej. Jeszcze więcej adrenaliny. Czasami skrzykują się w kilkadziesiąt osób. Tradycją stał się już rajd przez całą Polskę, znad Bałtyku pod Tatry, na powitanie wiosny. Organizatorzy nie mają zgody na imprezę i nawet się nie starają, bo twierdzą, że zezwolenia nie potrzebują. – Nie zamierzamy poruszać się po drogach publicznych – oświadczają w internecie. To którą?

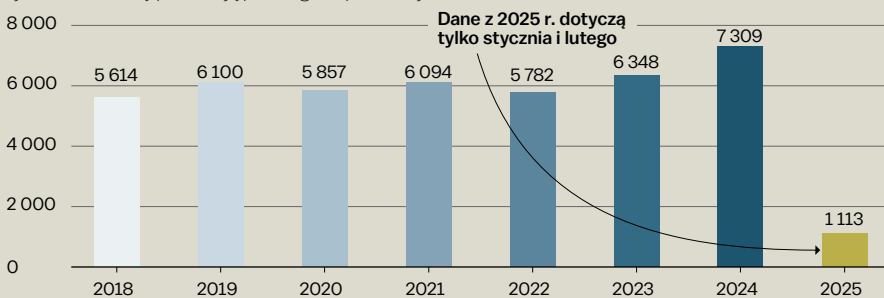
„Areną walki będzie trasa o długości około 1200 km, rozpoczynająca się nad mo-



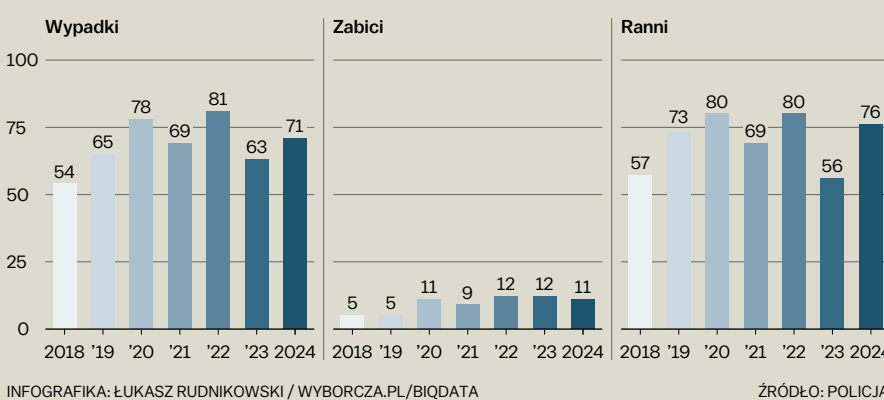
• 14.06.2022, deptak na Gubałowie. Quad koziołkował kilka razy, zatrzymał się na faweczce. Para nastolatków miała sporo szczęścia, choć doznali poważnych obrażeń

Zarejestrowane w Polsce pojazdy samochodowe inne

Do tej kategorii zalicza się m.in. quady (czterokołowe i czterokołowe lekkie). Nie ma publicznie dostępnych danych dotyczących liczby zarejestrowanych takich pojazdów. A rejestracji podlegają tylko te, które się poruszają po drogach publicznych



Wypadki drogowe, których sprawcą był kierowca quada



rzem we Władysławowie, a kończąca w górach w Zakopanem, na szczycie Gubałówki. Do pokonania będą szutry, drogi leśne, brody i miejsca dawno zapomniane przez ludzi i Boga... Trasa jest poprowadzona tak, aby wyjeżdżać na asfalty tylko wtedy, gdy musicie zatankować... Jedźcie non stop... Tak, tak, non stop... To znaczy, robicie przerwę na tankowanie i sen wtedy, kiedy tego potrzebujecie, wygrywa Ten, który najszybciej zamelduje się na Gubałowie” – czytamy w ogłoszeniu w internecie.

Organizatorzy twierdzą, że uczestnicy są „wypuszczani” na trasę pojedynczo i w związku z tym każdy jest indywidualnym uczestnikiem ruchu drogowego i porusza się „na własną odpowiedzialność”. A że co rusz łączą się w kilkunastoosobowe grupy, nie mówiąc o biwakowo-imprezowych wieczorach gdzieś na plaży czy na polanie? Przypadkowe spotkanie niezajomych, którzy przystanęli pogadać o wspólnej pasji.

Patrole podhalańskich górali do wylapywania quadowców wykorzystują drony. Doskonale znają teren, leśne skróty, owcze i krowie ścieżki na zboczach, odnogi polnych dróg. Wiedzą, gdzie zablokować trasę

„Nie zamierzamy poruszać się po drogach publicznych, więc nie będziemy stwarzali zagrożenia w ruchu. Jazda po bezdrożach nie powinna nikomu przeszkadzać, to dobra zabawa i sportowa rywalizacja”.

– To ludzie z różnych branż, którzy po pracy chcą terenową jazdą odreagować codzienność – mówi „Wyborczej” jeden z krakowskich motocyklistów, przyznający się do wypadków z kolegami w Beskidach. Drobnymi przedsiębiorcami, menedżerami, informatykami, lekarzami, zawodowymi kierowcami, dziennikarzami, zdarzy się i nauczyciel. Cena tego hobby nie jest egalitarna, ale adrenalina i emocje owszem.

Rajdy to złoty interes. Maszyny są wynajmowane często bez tablic rejestracyjnych. A za przejazd polami zwykle nie trzeba nic płacić. Do czasu. Chociaż górale indywidualiści w wielu sprawach nie potrafią się dogadać, ta dopieka im tak bardzo, że trzy miesiące temu na Podhalu zorganizowano patrol społeczny, które zatrzymują takie nielegalne rajdy, a ich uczestników oddają w ręce policji.

Akcja zaczęła się ostatniej zimy, po tym, jak Krzysztof Knapczyk nagrał film, jak skutery, jadąc po cienkiej warstwie śniegu niszczą równocześnie pola. Nagranie pokazał sąsiadom z gminy Poronin. Razem poszli do właściciela firmy oferującej w regionie takie jazdy. Zobaczyli, jak kolejni turyści właśnie szykują się do kolejnego rajdu po okolicy. Już rozgrzewali maszyny. Protestujący wyłączyli im silniki. Chcieli porozmawiać z właścicielem: – Przyszliśmy tu grzecznie

po dobroci... – zaczęli. Ale właściciel nie był tego dnia w nastroju. Ruszył z nożem i ranił Tomasza Guta, jednego z inicjatorów protestu.

– Szedł na mnie jak w amoku i wyprowadził cios na klatkę piersiową. Obroniłem się, trenowałem wcześniej techniki samoobrony, ale dłonie zostały poranione – opowiada Gut. Napastnik, Stanisław G., odpowiada „za spowodowanie uszczerbku na ciele i kierowania gróźb karalnych”.

– Wjeżdżają jak na swoje. Tak niszczą nam pola, pastwiska, polany, że grunty są nie do użytku – denerwuje się Jan Pańszczyk.

– Jeżdżą nie tylko w dzień, ale i nocą. Spać nie można – dodaje Zofia Bukowska.

– Musieliśmy zaprotestować, nie było wyjścia jak się zorganizować, by bronić naszych ziem – wyjaśnia Andrzej Stachoń, kolejny uczestnik społecznych patroli.

Patrole do obserwacji terenu wykorzystują drony. To one okazały się kluczem do sukcesu. Jak tylko ktoś zauważy quadowca czy motocyklistę, natychmiast powiadamia innych. Oni też wypuszczają drona. Dla ułatwienia, bo doskonale znają teren, leśne skróty, owcze i krowie ścieżki na zboczach, odnogi polnych dróg. Wiedzą, gdzie zablokować trasę, by udaremnić przejazd.

W marcu tzw. ujęcia obywatelskiego mieszkańcy dokonali na terenie gminy Poronin koło Zakopanego. Górale zablokowali quady. – Skończyło się na drobnej utarczce, po której trzech quadowców nielegalnie poruszających się polami pogodzili się z zatrzymaniem i nie stawiali większego oporu – relacjonuje świadek zdarzenia. Patrol obywatelski przekazał ich policji.

– Jest to jak najbardziej właściwa postawa, za którą dziękujemy i oczekujemy dalszej zgodnej z prawem współpracy właścicieli terenów – cieszy się aspirant sztabowy Roman Wieczorek z komendy powiatowej w Zakopanem.

Ale nie wszyscy na Podhalu są zachwyceni. Właściciele wypożyczalni skuterów śnieżnych, quadów i motocykli crossowych uznali, że ich sąsiedzi działają na szkodę regionu, lokalnego biznesu i turystyki. Poszli na skargę do miejscowych władz. – Pożalili się, że podczas któregoś z przejazdów w terenie leśnym pojawili się mieszkańcy, właściciele gruntów, z siekierami, piłami. Prawdopodobnie pracowali w lesie, nie porzucili narzędzi i z nimi przyszli do jadących – opowiada Anita Żegleń, wójt gminy Poronin.

Samorządowcy staną po stronie protestujących mieszkańców, uchwalając lokalne prawo, które ma ukrócić nielegalne rajdy. Ale dodają, że potrzebne są rozwiązania prawne na poziomie centralnym. Bo w Polsce żadna ustawa nie reguluje organizacji rajdów terenowych.

Owszem, prawo kategorycznie zabrania jazdy pojazdami silnikowymi po terenach leśnych poza drogami publicznymi (art. 29 ustawy o lasach i art. 161 Kodeksu Wykroczeń). Oznacza to, że nie wolno wjeżdżać quadem do lasu na drogi wewnętrzne, duktów, ścieżki ani tym bardziej gnać na przełaj. Kto tak robi, może być ścigany przez stróżów prawa. Inaczej sprawa wygląda, jeśli wjedzie się na prywatne pole. Wtedy policja nie może reagować bez zgłoszenia od właściciela gruntu. Tylko że zanim dociera na miejsce, quadowcy są już daleko.

Andrzej Skupień, starosta tatrzański: – Wystosowaliśmy pismo w sprawie konieczności podjęcia prac legislacyjnych dotyczących wykonywania działalności gospodarczej, polegającej na organizowaniu wypraw typu off road.

Samorządowcy z Podhala rozesłali je, gdzie się da: do ministerstwa spraw wewnętrznych, ministerstwa rolnictwa, sejmowej komisji samorządu terytorialnego i Polityki Regionalnej, do posłów, marszałka i wojewody małopolskiego. Proponują:

- wprowadzenie obowiązku rejestracji wszystkich pojazdów i precyzyjnych regulacji poruszania się nimi poza drogami publicznymi;
- rozszerzenie uprawnień straży gminnej o kontrolę i karanie mandatami pojaz-

dów poruszających się drogami bez względu na ich stan prawny, żeby mogli skutecznie ścigać uczestników nielegalnych rajdów także po drogach polnych i leśnych;

- ustawowy obowiązek wyposażenia „przedmiotowych pojazdów w ramach działalności gospodarczej”, czyli wynajmowanych quadów, crossów i skuterów śnieżnych w lokalizatory GPS;
- objęcie takiej działalności gospodarczej obowiązkiem uzyskania zezwolenia;
- wprowadzenie przepisów penalizujących sam wjazd na teren prywatny bez zgody właściciela;
- „uwzględnienie na terenach objętych formami ochrony przyrody rozwiązań prośrodowiskowych”, czyli zastąpienie w wypożyczalniach i biurach organizujących wycieczki off-road maszyn spalinyowych elektrycznymi.

Na razie nikt z władz centralnych podhalańskim samorządom nie odpowiedział. Tymczasem społeczne patrole rosną w siłę. Działają już na terenie wszystkich podtatrzańskich gmin: Zakopanego, Kościeliska, Poronina, Bukowiny Tatrzańskiej i Białego Dunajca. Dlatego tej wiosny nielegalnych rajdów pod samymi Tatrami jest coraz mniej. Ale to nie znaczy, że zniknęły z Podhala. Organizatorzy przenoszą się po prostu na północ, do sąsiedniego powiatu nowotarskiego.

Czyli tam, gdzie w Kotlinie Orawsko-Nowotarskiej są bardzo cenne przyrodniczo torfowiska. Z 2330 hektarów torfu na Podhalu i Orawie blisko tysiąc przypada na rejon Czarnego Dunajca. I właśnie tam tej wiosny miejscowi zauważyli, że quadów i crossów przybywa. Pojedynczy jeźdźcy z poprzednich lat rozmnożyli się w całe wyprawy. Mieszkańcy zachęceni przykładem zakopiańskich sąsiadów już formują społeczny patrol.

Dokąd teraz pojadą quadowcy? ●

Kto na czym jeździ i ile to kosztuje Off road pod strzechami w pięciu smakach

Czterokołowy pojazd, którym można poszaleć w terenie, przestał być marzeniem jedynie zamożnych fanów motorsportu. – Tajwańskie Kymco, które kupiłem rok temu, kosztują ok. 20 tys. zł i są czymś pośrednim między „chińczykami” i „japończykami”.

Te pierwsze psują się po kilku godzinach jazdy, dosłownie. Kosztują około 10 tys., nawet mniej, ale co z tego, jak ciągle to trzeba naprawiać – mówi właściciel wypożyczalni pod Wołominem.

Jak duży to jest rynek? Trudno o dokładne liczby, bo wiele quadów nie jest zarejestrowanych. Prasa motoryzacyjna szacuje, że **w rękach prywatnych znajduje się od 30 do 55 tys. pojazdów**. W większości to używane maszyny sprzedawane przed jedynym prywatnym właścicielem innemu – w 2022 roku ponad 90 proc. rejestrowanych quadów stanowiły „używki”.

Najczęściej spotykane marki to: **Kymco, Polaris, Yamaha, Can-Am, Arctic Cat, Suzuki i Kawasaki**.

Tajwańskie Kymco jest chwalone na forach dla quadowców za stosunek ceny do jakości. Klienci z bardziej zaawansowanym portfelem wybierają

amerykańskie Polarisy albo japońskie Yamahy.

Struktura rynku jest mocno rozproszona – obok znanych marek znaczący udział mają mniejsze firmy oferujące używane quady mniej znanych marek z zagranicy oraz drobni pośrednicy, którzy kupują niewielkie partie chińskich no-nejmów na Aliexpress albo u chińskich producentów i sprzedając z przebicciem, kusząc polonizacją – polską instrukcją oraz gwarancją. Trudną do wyegzekwowania.

Popularne „chińczyki” są naprawdę tanie – nowy u małego importera z portalu aukcyjnego czy w sklepie rolno-mechaniczno-przemysłowym **kosztuje sporo poniżej 10 tys. zł**, kupiony bezpośrednio na chińskiej platformie handlowej potrafi być **połowę tańszy**.

„Zaufana sprzedaż 4x4 Road Legal Dune Buggy 1000cc Racing UTV 92HP Power Automatyczny 4-surowy Quad ATV” – to pierwsza z brzegu oferta na Aliexpress. Cena? 4291 zł, powyżej 8 sztuk 9 proc. rabatu. A to naprawdę duża maszyna.

Malutkiego „49cc Mini Atv Benzyna ATV dla dzieci 2-surowy czterokołowy Quad

4x2 dla dzieci Off-Road Quadricycle Gaz 6-calowa opona” można mieć już za 1222 zł.

Niska cena kusi, więc bezmarkowce z Chin skutecznie rywalizują z dronami pod chotką i na komunię.

Niestety, ich jakość często pozostawia wiele do życzenia – części nie da się wymienić albo nie ma skąd ich wziąć, dlatego po prostu kupuje się nowy sprzęt.

Markowe quady spod igły, tylko że o ograniczonych osiągnięciach i bez napędu na obie osie, zabawowo-rekreacyjne można kupić już za 10 tys. zł. Bardziej zaawansowane sportowe maszyny renomowanych marek jak Yamaha, Can-Am czy Honda, kosztują od 20 do 40 tys.

Quady użytkowe, do pracy w rolnictwie, leśnictwie czy ratownictwie, często z napędem 4x4 i możliwość montażu dodatkowego osprzętu, zaczynają się od 50 tys.

Na rynku wtórnym **rekreacyjną „używkę” można znaleźć już za 5 tys.**, choć najpewniej będzie wymagała włożenia kilkuset złotych w drobne naprawy. **Używane quady sportowe kosztują od 10 do 25 tys.**

W quadowym biznesie są niemałe pieniądze. **Rocznie sprzedaje się w Polsce około 15 tysięcy nowych i używanych maszyn**. Oficjalnych statystyk nie ma, ale przyjmując, że średnia cena nowego quada to około 30 tys., a używanego 15 tys., **sprzedawcy mogą obracać nawet 250 milionami złotych** rocznie.

A to tylko początek, bo rynek quadów to także wypożyczalnie, szkoły jazdy, organizatorzy imprez, sprzedaży części, akcesoriów i usług serwisowych.

Paradoks polega na tym, że choć quady stały się negatywnymi bohaterami masowej wyobraźni, to są niszą – i biznesową, i pod względem zagrożeń, jakie niosą – wobec innych pojazdów kolonizujących polskie drogi, ulice i chodniki. Też na pograniczu prawa i też przy bezradności policji.

To rowery elektryczne, których rynek VeloBank w zeszłym roku oszacował na 1,25 mld zł. Mowa o rynku tych markowych i spełniających ustawową definicję roweru elektrycznego, bez uwzględnienia rojących się w każdym większym mieście tanich, niecertyfikowanych e-potworów z AliExpress. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34354613

DO 23 KWIETNIA

Zamów PRENUMERATĘ TECZKOWĄ „Wyborczej” — na maj u swojego sprzedawcy prasy

- Masz pewność, że każde wydanie będzie na Ciebie czekać (zamawiasz gazetę na cały miesiąc z góry)
- Masz niższą cenę niż przy zakupie pojedynczych wydań każdego dnia
- Masz bezpłatny dostęp do Wyborcza.pl*
- Masz gwarancję niezmienności cen w okresie realizacji prenumeraty
- Możesz zostać członkiem Klubu Wyborczej i mieć dostęp do archiwum tekstów



CENA 179,90 zł**
OSZCZĘDZASZ CO NAJMNIEJ 37 zł



Dostęp także do Wyborcza.pl*

* Prenumeratorów teczkowych zapraszamy do Klubu „Wyborczej”. Jego członkowie mogą m.in. uczestniczyć w spotkaniach online z redakcją i jej gośćmi. Dodatkowo Klubowicze mają dostęp do archiwum tekstów „Wyborczej”. Co zrobić, by zostać członkiem Klubu: 1. Skontaktuj się z naszą infolinią, tel. 22 555 54 55 (od poniedziałku do piątku w godz. 8-17). 2. Podaj numer dowodu zakupu prenumeraty teczkowej. Zapraszamy. ** Różnica ceny sugerowanej i sumy cen codziennej sprzedaży detalicznej.

• Portret mężczyzny (Thomasa Morusa), autor niezna-
ny, Niemcy I połowa XVI w.
W zbiorach Muzeum Narodo-
wego w Krakowie/ Muzeum
Książąt Czarotoryskich

To nie są WŁOSKI HOLBEINA

**Ekspertka, której zlecono zba-
danie próbki farby z obrazu,
przeczytała wynik analizy.
Był zdumiewający.**

Maciej Siembieda

Na aukcjach i w kolekcjach prywatnych co jakiś czas pojawiają się nieznane dzieła renesansowego mistrza – perfekcyjnie namalowane na XVI-wiecznych deskach, a jednak... fałszywe. Legenda głosi, że ich autorem jest „Gemello”, geniusz malarstwa i mistrz fałszerstwa, który musiałby żyć kilkaset lat.. Policje całej Europy od czasów Napoleona bezskutecznie próbują go schwytać. Kiedy fundacja konserwatywnego polityka zapowiada wystawę nieznanych portretów Marcina Lutra i Jana Kalwina, były prokurator IPN, a teraz ekspert od oszustw ubezpieczeniowych Jakub Kania zaczyna śledztwo. Wraz z krytyczką sztuki Ludmiłą Ungier odkrywa, że mistyfikacja sięga dalej, niż można byłoby przypuszczać. Kim naprawdę jest „Gemello”? Czy opowieść o fałszerzu jest prawdziwa? A może chodzi o coś bardziej niebezpiecznego niż fałszowanie obrazów?

„Sobowtór” Macieja Siembiedy to nie tylko brawurowa intryga, ale też opowieść o fałszowaniu historii – zarówno jeśli chodzi o dzieła sztuki, jak i o ludzką pamięć.

Przedpremierowy fragment powieści „Sobowtór” Macieja Siembiedy :

Ekspertka, której zlecono zbadanie próbki farby z obrazu oddanego do konserwacji, raz jeszcze spojrzała na ekran komputera i przeczytała wynik analizy. Był co najmniej zdumiewający. Przez dłuższą chwilę biła się z myślami, czy od razu pójść z nim wyżej, czy powtórzyć badanie. W końcu miała do czynienia z obrazem jednego z najwybitniejszych mistrzów renesansu, znajdującym się w kolekcji Muzeum Czarotoryskich. Wybrała drugą opcję, która dała identyczny rezultat. Uniosła brwi, kliknęła na ekranie ikonę drukarki i zaczęła, aż urządzenie wypuściło dokument. Dla powagi sytuacji umieściła go w papierowej teczce z logotypem i osobiście zanieśliła do dyrekcji. Człowiek, do którego zapukała, uciekł się z odwiedzin, ale za moment badawczo się jej przyjrzał. – Co masz taką minę? – spytał. Ekspertka położyła teczkę na jego biurku. – Mamy problem – powiedziała trochę chropowato, bo z emocji zaschło jej w gardle. – Nie możemy uznać, że to jest Holbein. – O czym ty mówisz? – zaniepokoił się. – Przecież...

– Tak, wiem, co chcesz powiedzieć – weszła mu w słowo. – Że księżna Izabela Czarotoryska przekazała ten obraz muzeum jako dzieło Holbeina i że wszystko się zgadza. Szesnastowieczna deska, szesnastowieczne składniki farb i technika malarska mistrza, choć tę akurat trudno było ocenić z uwagi na silne zabrudzenie oraz nieudolne próby renowacji obrazu dokonywane jakieś dwa wieki później. Wszystko to mówi do nas wyraźnie: to autentyk. – Więc o co chodzi? Ekspertka wyjęła z teczki kolorową reprodukcję obrazu. Przedstawiała portret mężczyzny w czarnej szacie i z charakterystycznym dla renesansu nakryciem głowy. Był słabo widoczny spod ponurej, ciemnej zieleni, która pokrywała wizerunek. – Spójrz na to. – Odwróciła zdjęcie i wskazała ołówkiem poszarzałe napisy na górze portretu, tuż pod ramą: – „Thomas Morus” – człowiek z zarządu muzeum odczytał inskrypcję z lewej strony, a potem tę z prawej: – „Holbein”. No i co? – spytał. – Mamy tytuł dzieła z informacją, kogo przedstawia portret, i podpis malarza. – Świetnie – uznała. – Tylko że te napisy namalowano bielą barytową. W szesnastym wieku, kiedy powstał ten ob-

raz, świat nie miał jeszcze o niej pojęcia. Nie istniała.

– Jesteś pewna?
– W czasach współczesnych portretowi używano bieli wapiennej albo uzyskiwanej z marmuru, ewentualnie skorupek jaj. Biel barytowa zostanie wynaleziona dopiero pod koniec dziewiętnastego wieku. Trzysta lat później.
– Co to ma do Holbeina?
– Wiemy już, że to nie on podpisał obraz. A to rodzi poważną wątpliwość, czy go namalował.
– I co teraz?
– Nasza pracownia przeprowadza renowację. Ktoś przez stulecia mocno ten portret zapałkał. Zmieniono rysy twarzy mężczyzny, znacznie ją upraszczając. Jeszcze większe beztalencie zabrało się do konserwacji, nakładając nieprzeniknioną zieleni, która zasłoniła pierwotne malowidło. Ale – uniosła ołówek – pierwszą warstwę widać pod rentgenem i da się ją odsłonić, usuwając wszystko, co pojawiło się później. Możemy przywrócić portretowi jego pierwotny wygląd. Już wiemy, że jest tam pięknie namalowane niebo i dłonie mężczyzny, który trzyma zwój papieru, choć na początku nie było ich widać.
– Co chcesz zrobić z napisami?
– Należą do historii obrazu. Nalegam, aby je zostawić.
– I oszukiwać ludzi?
– Pozbawimy je ostrości. Zapikslujemy – jak w telewizji twarz świadka, który istnieje, ale nie chce być rozpoznany. Rzecz w tym, że na ekspozycji nie możemy wiszać pod tym obrazem tabliczki z informacją, że to portret Tomasza Morusa pędzla Hansa Holbeina Młodszego.
– To co będzie na tabliczce?
Sięgnęła do notatek.
– Proponujemy taki tekst: „Nieznany malarz. Portret mężczyzny. Według tradycji puławskiej Tomasza Morusa. Niemcy, pierwsza połowa szesnastego wieku” – odczytała.
– Uczciwie. Tak zrobimy. Człowiek z zarządu wstał zza biurka.
– Napisy domalowano bez wątpienia po to, aby podnieść wartość obrazu – myślał na głos. – Ciekawe tylko, kto to zrobił?
– Księżna Izabela kupiła obraz w Bazylei pod koniec osiemnastego wieku. Była w szwajcarskim spa. – Ekspertka się uśmiechnęła. – Z reguły przy takich okazjach robiła sobie upominki do kolekcji. Zatem albo ktoś ją sprytnie wykiwał i sprzedał Holbeina, który nie był Holbeinem, albo...
– Tak?
– Sama też święta nie była. Mogła kazać domalować napisy, gdy miała już portret w swojej kolekcji. Ale to już pozostanie jej wieczną tajemnicą.
Człowiek z zarządu zrobił kilka kroków po swoim gabinecie.
– Mogę ci zadać prywatne pytanie?
– Zatrzymał się.
– Proszę.
– Dajesz głowę, że to nie Holbein?
– Nie. Nie daję. Jest pewien detal, który wskazuje mi na Holbeina.
– Jaki?
– Szata mężczyzny obszyta jest futrem, którego drobniotki włoski zostały namalowane na obrazie i są widoczne na tle nieba.
– Włoski?
– Dokładnie tak. Holbein był szczegółowcem. Potrafił namalować splot tkaniny, z której uszyto ubranie modela. Przyjrzyj się klejnotom koronnym na jego portretach Henryka VIII. Zobaczysz cięcia szlifarskie drogich kamieni i światło, które się w nich odbija. Każdziutki błysk złotego łańcucha, każdą zmarszczkę na twarzy króla. Wiesz, że na podstawie jego obrazów po kilku stuleciach potwierdzono, że Henryk zmarł na kilę? Bo Holbein namalował obrzęki królewskiego nosa wyraźnie świadczące o tej chorobie. Czasami wydaje mi się, że to był fotograf, nie malarz.

– Ale co, włoski to za mało, żeby uznać autorstwo naszego portretu Morusa?
– Za mało. Kluczową rolę grają napi-sy domalowane trzy wieki później. Tego nie obronimy, jeśli zostaniemy oskarżeni o naciąganie faktów.
– No to klops – orzekł człowiek z za-rządu muzeum. – Mieliśmy w Krakowie Hansa Holbeina Młodszego, mamy „nie-znanego malarza”. Słyszałaś o kimś, kto mógłby z taką samą wirtuozerią namalo-wać te cholerne włoski?
Ekspertka ściągnęła usta.
– Nikt mi nie przychodzi do głowy. Tyl-ko Holbein. Chyba że...
– Chyba że? – podchwycił.
– Równie utalentowany, genialny na-śladowca.
W kawiarni na Piwnej, obleganej w se-zonie jak Jasna Góra podczas potopu, było prawie pusto. Szwedzi wynieśli się z gdańskiego Starego Miasta parę tygodni temu, żeby zregenerować wątroby, a tu-ryści z Polski nadwyrężali swoje na tu-reckich all inclusive. Kuba wskazał Lud-mile Ungier stolik przy oknie wychodzą-cym na ulicę i pomógł jej zdjąć płaszcz.
– Jaka kawa rozwiąże ci język? – spy-tał. – Czy nadal będziesz się targować, za-nim ujawnisz nazwisko tajemniczego malarza Sobonia?
– Cappuccino. I nie targowałam się. Po prostu musiałam sprawdzić wiele infor-macji i wołałam uniknąć falstartu. Nie byłam pewna.
– A już jesteś?
– Na dziewięćdziesiąt procent.
Przeprosił ją, wstał i podszedł do bufe-tu złożyć zamówienie, bo kelnerkę po se-zonie najwyraźniej odłączano od zasila-nia.
– Może być tak, że chodzi o Hansa Holbeina Młodszego – oświadczyła Lud-miła, gdy wrócił.
– Tego od portretów króla Henry-ka VIII?
– Dokładnie.
– Dlaczego „może być” i dlaczego o niego?
– Jest taki przesąd – powiedziała, ukła-dając serwetkę w jakieś abstrakcyjne ori-gami – żeby lepiej nie sprawdzać au-tentyczności dzieł Holbeina wiszących w światowych muzeach i galeriach.
– Bo?
– Bo może się okazać, że część z nich nie jest jego autorstwa.
– Mogą być kopiami?
– Nie o to chodzi.
Kuba przez moment znieruchomiał.
– A o co?
– Hansa nie sposób skopiować. Jeśli ktoś się do tego brał, to inni mistrzowie, ale i im się nie udawało. No, może z wy-jątkiem Rubensa.
– Dlaczego?
– Kojarzysz Ambasadorów, najwięk-szą deskę Holbeina? – odpowiedziała py-taniem.
Kiwnął głową.
– No, to weź namaluj te wszystkie duperale z detalami, których na obrazie jest pierdyliard. To nie do odtworzenia, a fałszerze nie przepadają za wyzwania-mi. Ale – teraz uważaj – nie podrabiano dzieł mistrza Hansa, za to ktoś go świet-nie naśladował.
– Skąd to wiemy? – spytał.
– Co jakiś czas w różnych miejscach na świecie pojawiały się nieznane dotąd dość liczne portrety przypisywane Hol-beinowi Młodsze-mu.
– Dość liczne? Ile ich było?
– Nie wiadomo dokładnie. Kilkanaście.
– A skąd wiadomo, że to nie on je na-malował?
– Z głębszych analiz. Z reguły było tak: jakieś poważne muzeum, antykwariat al-bo dom aukcyjny otrzymywały propozy-cję kupna lub wystawienia na sprzedaż bardzo starego portretu. Niektórzy ofe-renci twierdzili, że to pamiątka rodzinna namalowana przez niezanego artystę, przechowywana od pokoleń i „ciekawe, czy coś jest warta”. A potem robili ogrom-

ne oczy i mdleli z radości, że to bezcenny obraz z okresu renesansu.
Inni wprost informowali, że mają ory-ginalnego Holbeina dziwnym trafem odnalezonego na strychu albo za sza-fą. W jednym i drugim przypadku wkra-czali eksperci i stwierdzali, że wszystko się zgadza: deska, na której namalowa-no portret, jest bardzo stara, a warsztat bez wątplenia wskazuje na Hansa Holbeina Młodszego. Te same techniki malowa-nia detali, typowy dla niego efekt linearny i kolorystyczny, ten sam sposób prowa-dzenia pędzla, operowania światłem i tak dalej. Czyli autentyk. Po takiej ekspertyzie wartość „cudownie odnalezonego” Hol-beina wzrastała do bardzo poważnych sum, dlatego trzeba było zrobić analizy naukowe. Nikt nie wyda paru milionów dolarów tylko na podstawie słowa honoru historyka sztuki. Więc nieznane portrety Holbeina jechały do laboratoriów.

Jest taki przesąd, żeby lepiej nie sprawdzać autentyczności dzieł Holbeina wiszących w światowych muzeach i galeriach

I tu zaczynały dziać się rzeczy dziwne i ciekawe. We wszystkich przypadkach badania tak zwanej chronologii dendrologicznej wskazywały, że deski pochodziły z szesnastego wieku, czyli z czasów współczesnych malarzowi. Nie-spodzianki zaczęły się pojawiać, gdy sto-sowano promieniowanie i dobierano się do farb.
Kuba słuchał z rosnącym zaciekawie-niem. Zaplótł ręce na piersiach i wpatry-wał się badawczo w Ludmiłę Ungier.
– Po prześwietleniu – kontynuowa-ła – okazywało się, że obraz namalowa-no w czasach Napoleona. Albo, w innym przypadku, w połowie dziewiętnastego wieku. Albo że nieznany portret powstał przed pierwszą wojną światową. Albo tuż po drugiej wojnie. Tymczasem historycy sztuki w każdym przypadku upierali się, że to Holbein.
– Zaraz, zaraz – przerwał Kuba. – Jak to możliwe?
Dziennikarka zmrużyła oczy.
– Czego nie rozumiesz? Po prostu Hans Holbein nigdy nie umarł. Miesz-ka sobie gdzieś na świecie, ma jeszcze pa-rę starych desek, trzaska co jakiś czas ko-lejny portretek z epoki i układa listę gości na swoje pięćsetne urodziny.
– A bez żartów?
– A bez żartów to jest właśnie legenda, do której nikt poważny się nie przyzna. Że Holbein miał sobowtóra. Kogoś, kto malował dokładnie tak jak on. Nie w stylu Holbeina, ale identycznie jak Holbein.
– Dlaczego to legenda?
– Bo sobowtór, żeby namalować te wszystkie „nieznane” portrety, też mu-siałby żyć z dwięście lat. Mało tego. Ży-je do dziś, bo „cudowne odnalezienia” ob-razów Holbeina nadal się zdarzają, a po-licie wielu krajów szukają człowieka, któ-ry za tym stoi.
– Jednego człowieka?
– Tak, bo to ciągle ta sama ręka. Od czasów napoleońskich, kiedy zdemasko-wano pierwsze dzieło sobowtóra. Wtedy Włosi nadali mu przydomek „Gemello”. Brat bliźniak.
– Chcesz powiedzieć, że Soboń ma dwa jego obrazy?

– Jeśli szykuje w Warszawie wysta-wę Hansa Holbeina Młodszego, to na mi-lion procent tak. A Hathor ubezpieczy podróbki, bo z pewnością pan senator ma mocne papiery podpisane przez eks-pertów potwierdzających, że to oryginal-ne dzieła mistrza. Badań laboratoryjnych nikt nie robi, bo twoja szefowa nawet się nie ośmieli tego zaproponować w obawie przed utratą tłustej polisy.
Kelnerka przyniosła kawę, próbując szerokim uśmiechem odzyskać szansę na napiwek.
– Powinieniem ostrzec Hathor
– uznał Kuba.
Wzruszyła ramionami.
– Przecież już próbowałeś. Jak się skończyło? Szukasz zardzewiałych śru-bek w stocznii. Jeśli twoja mądra szefowa bardzo chce się potknąć o własne nogi, to jej w tym nie przeszkadzaj.
– Nie chodzi o nią, ale o firmę.

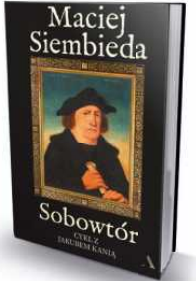
tracji na drodze. Udało mu się dojechać do Dolnego Sopotu bez interakcji i ko-mentarzy.
Zatrzymał się przed wejściem do She-ratona.
– Wejdiesz na górę? – spytała tonem niepozostawiającym wątpliwości.
– Nie wchodzę na góry – odparł z prze-praszającym uśmiechem. – Mam lęk wy-sokości.
Udała, że jej to nie ruszyło.
– To może chociaż pokażesz mi Gdy-nię? – spytała. – Jestem do czwartku.
Zawahał się.
– Nie obawiaj się. – Poglaskała go po ramieniu jak wystraszonego chłopca.
– W mieście się na ciebie nie rzucę. Po prostu – wzruszyła ramionami – nigdy nie byłam w Gdyni.
– Przyjadę pojutrze o szesnastej – po-wiedział. – Wycieczka należy się za infor-mację o Holbeinie.
Posłała mu całusa zdmuchnięte-go z dłoni i ruszyła w stronę szklanych drzwi, poruszając biodrami jak na kon-kursie samby. ●



Maciej Siembieda

• Zadebiutował jako pisarz w wieku 56 lat i szybko stał się jednym z najpopularniejszych twórców powieści sensacyjnych w Polsce. Autor książek, których bohaterem jest eks-pert od śledztw historycznych Jakub Kania: „444”, „Miejsce i imię”, „Wotum”, „Kukły”, „Kołysanka”, „Orient” oraz thrillerów histo-rycznych „Nemezis” i „Gambit”. Napisał także polsko-grecką sagę sensacyjną „Katharsis” (Nagroda Wielkiego Kalibru Czytelników 2023). Trzecia część sagi pt. „Kairos”, która ukazała się w październiku 2024 r. została Książką Roku Plebiscytu lubimyczytac.pl 2024, zanim zaczął pisać powieści, przez trzy dekady był reporterem prowadzącym śledztwa historyczne. Trzykrotnie otrzymał za nie nagrodę Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Do sześciu swoich książek sprzedał prawa do ekranizacji.

• **Maciej Siembieda „Sobowtór”.** Wydawnictwo Agora. Premiera książki 23 kwietnia. Już w sprze-daży w księgarniach na kulturalnysklep.pl Ebook i audiobook dostępny na publio.pl
• **Zapraszamy na spotkanie autorskie z Maciejem Siem-biedą:** 22 kwietnia godz. 19, Nowy Teatr, ul. Madalińskiego 10/16 w Warszawie. Rozmowę poprowadzi Justyna Dźbik-Kluge - dyrektorka Czwórki Polskiego Radia. Fragmenty książki przeczyta Mariusz Bonaszewski.



wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA,
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL:
Roman Imielski;
ZASTĘPCY:
Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielirski;

MAGAZYN KULTURA: Agata Żelazowska-Cieśla
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wie-czorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Andrzej Kulasek, Grażyna Zabińska
GRAFICY: Paweł Kapusta, Jacek Konarowski, Tomasz Lebioda, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski; FOTOEDYCJA: Marta Błażejowska, Dominik Gajda
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
Druk: Wyborcza sp. z o.o.
PREZES ZARZĄDU: Wojciech Bartkowiak
CZŁONKOWIE ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan, Joanna Kwas

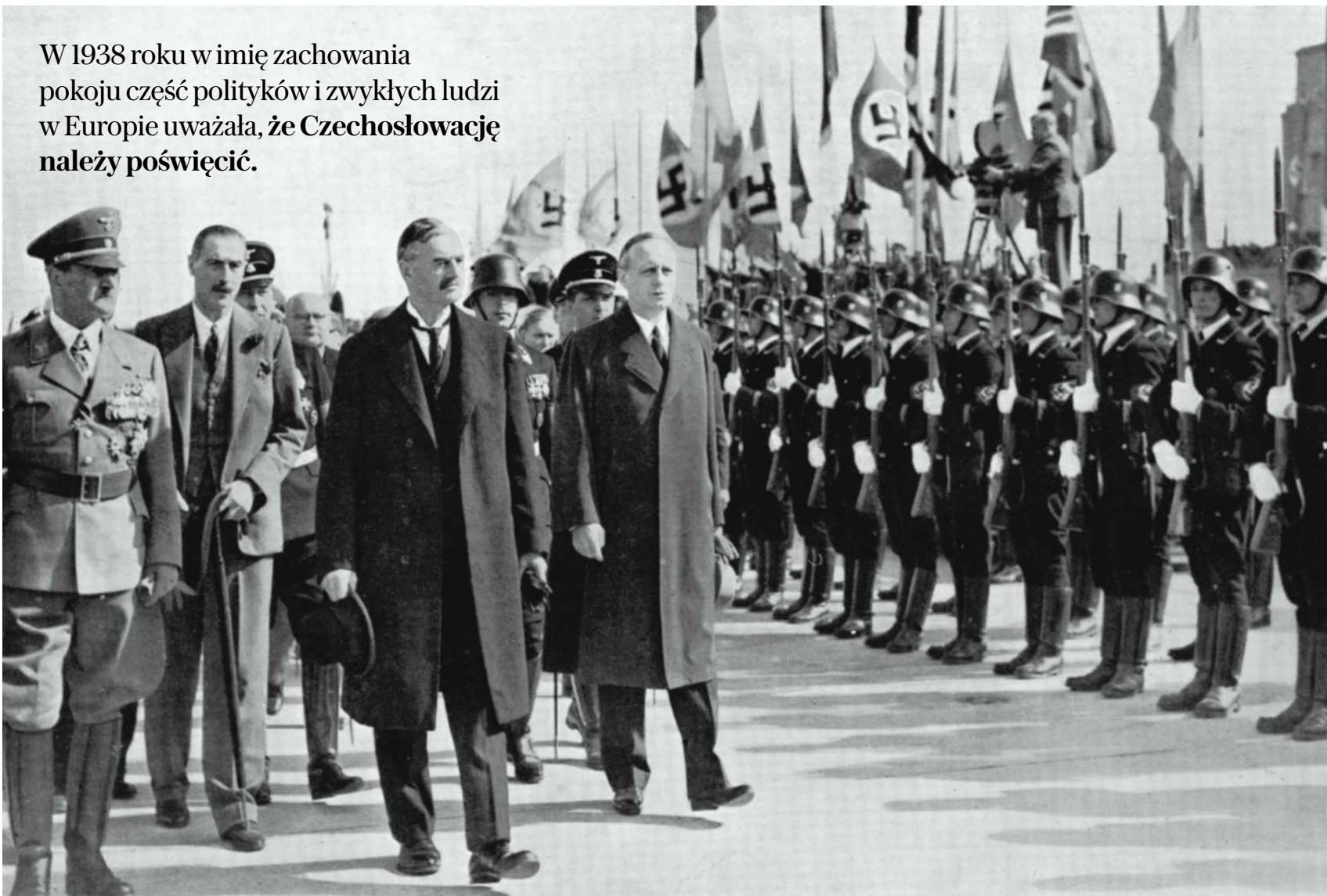
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



Monachium 1938. Groźna lekcja

TAK SIĘ KOŃCZY
NIEPODLEGŁOŚĆ

W 1938 roku w imię zachowania pokoju część polityków i zwykłych ludzi w Europie uważała, że Czechosłowację należy poświęcić.



Andrzej Krawczyk*

Premier Wielkiej Brytanii Neville Chamberlain, w reakcji na wiadomość z Secret Service, że niemieckie ambasady na świecie dostały tajną informację o planowanym na 25 września 1938 r. ataku Wehrmachtu na Czechosłowację, po raz pierwszy w życiu wsiadł do samolotu i poleciał do Niemiec, by w Berchtesgaden spotkać się z Hitlerem.

Uważa się ten moment za jeden z kluczowych w dziejach Europy. Chamberlain leciał na rozmowy z Hitlerem wewnętrznie przekonany już, że wojna z Niemcami w obronie Czechosłowacji nie miała by moralnego sensu, więc rozmowy mają służyć jedynie wynegocjowaniu warunków i sposobów zaspokojenia roszczeń niemieckich.

Dwa dni później, po powrocie, poinformował ministrów swego gabinetu, że w jego odczuciu przyłączenie Sudetów do Niemiec będzie zaspokojeniem roszczeń Hitlera i tym samym uchroni świat przed nową wojną światową.

W Czechosłowacji tymczasem rząd 16 września zdelegalizował partię Niemców sudeckich oraz ogłosił listy gończe za przywódcami niemieckiej mniejszości.

Francuski premier i szef MSZ 18 września 1938 r. przylecieli na konsultację do Londynu. Ustalili, że „w imię pokoju światowego” należy zaakceptować oddanie przez Czechosłowację państwu niemieckiemu terenów z przewagą ludności niemieckiej według austriackiego spisu ludności z 1910 r.

Taką decyzję powzięto bez uwzględnienia głosu Czechosłowacji, a nawet na razie bez poinformowa-

nia jej. Dopiero dzień później ambasadorzy Wielkiej Brytanii i Francji poinformowali o „rekomendacji” w sprawie Sudetów.

Prezydent Czechosłowacji Edvard Beneš wygłosił na zrozpaczonego. Ambasadorom odpowiedział jedynie wymijająco, że o treści ich wizyty poinformuje rząd. W swoich pamiętnikach napisze później, że od razu myślał o odrzuceniu propozycji brytyjsko-francuskich, choć trudno ocenić rzeczywisty stan jego myśli z września 1938.

Rząd Czechosłowacji rzeczywiście odrzucił propozycje zachodnich sojuszników. Natychmiast przekazano tę informację do Londynu i Paryża. W odpowiedzi, podczas ponownej, nocnej wizyty (przyszedł do prezydenta o godz. 2.00 w nocy z 20 na 21 września), obaj ambasadorzy długo, w nerwowej rozmowie, namawiali Beneša do przyjęcia tego dyktatu jako rozwiązania najmniej szkodliwego dla Czechosłowacji i światowego pokoju. Ambasador Francji miał - podobno ze łzami w oczach - powiedzieć, że „jeżeli wybuchnie wojna, będzie za nią odpowiedzialna Czechosłowacja, a Francja nie weźmie w tej wojnie udziału”.

Beneš wysłał pilną depezę do ambasadora w Moskwie, z zapytaniem czy Czechosłowacja może liczyć na wynikającą z umowy pomoc ZSRR, ale z Moskwy przyszła mgławicowa, niejasna odpowiedź, że Rosja potwierdza, że jeżeli do wojny przystąpi Francja, to ZSRR „jest zdecydowane okazać pomoc natychmiast i zdecydowanie”.

Beneš pisał później w swoich pamiętnikach, że noc z 20 na 21 października była dla niego straszna. De facto, podjął w tym momencie decyzję o przyjęciu ultimatum i zgodzie na cesję ziem zamieszkałych przez Niemców. Zrobił to jednak w sposób typowy dla siebie. Nie chciał, aby tak dramatyczna dla kraju decyzja była formalnie rzeczą biorąc jego decyzją, z jego podpisem. Przekazał ją więc do rozpatrzenia

Radzie Ministrów, którą zwołał ad hoc w kilka godzin na przedpołudnie 21 września.

Około południa rząd czechosłowacki podjął decyzję o przyjęciu brytyjsko-francuskiej rekomendacji, czyli zgody na odstąpienie III Rzeszy terytoriów z niemiecką większością. O 13.30 telegraficznie poinformowano o decyzji rządu wszystkich ambasadorów Czechosłowacji na świecie. W gruncie rzeczy to ta decyzja, a nie konferencja w Monachium była kluczowym wydarzeniem kryzysu sudeckiego.

Po przyjęciu kapitulacji rząd Milana Hodży podał się do dymisji. Parlament powołał w jego miejsce tzw. rząd urzędniczy obrony narodowej gen. Jana Syrového, dotychczasowego Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych, bohatera narodowego z lat I wojny, byłego dowódcy Legii Czechosłowackiej w Rosji.

Tymczasem w Pradze wybuchły patriotyczne demonstracje, wynikające z niezgody na kapitulację. Tłum, złożony z tradycyjnych przeciwników Beneša, w tym grupy radykalnie antyniemieckich czeskich faszystów, wdarł się na dziedzińce Hradu.

Beneš spędził ten dzień bardzo pracowicie: przygotował instrukcję dla ambasadorów, jak mają przedstawiać w krajach urzędowania zgodę na akceptację niemieckich roszczeń („zostaliśmy osamotnieni, nie mieliśmy innego wyjścia”), przygotował projekt ustawy o stosunkach między Czechami a Słowakami (co miało powstrzymać odśrodkowe tendencje słowackie) i pracował nad listem do prezydenta Polski Ignacego Mościckiego, z deklaracją gotowości ustępstw na Śląsku Cieszyńskim i jego odstąpienia Polsce (żeby chociaż z jednym z sąsiadów mieć dobre stosunki).

Wieczorem wystąpił z przemówieniem radiowym do obywateli. Wezwał do „spokoju, rozwa-

gi i jedności” i zapewnił, że na każdą sytuację „ma przygotowany plan”.

Chamberlain poleciał w tym dniu ponownie do Niemiec i spotkał się znowu z Hitlerem. Hitler był agresywny. Twardo zażądał przekazania przez Czechosłowację żądanych terenów do 1 października (rozmowa toczyła się 22 września!) pod groźbą rozpoczęcia działań militarnych. Chamberlain sprzeciwia się tyradzie Hitlera. Rozmowa kończy się w złej atmosferze. W nocy z 22 na 23 odbywa się druga rozmowa. Spotkanie kończy się polubownie.

W Pradze 23 września rząd ogłasza mobilizację powszechną. Społeczeństwo zostało wezwane do obrony ojczyzny. Europa stanęła przed groźbą wybuchu wojny powszechnej. Francja ogłosiła częściową mobilizację.

Opinia publiczna Europy nie była jednolita. Dominowało uczucie strachu przed wojną. W imię zachowania pokoju część polityków, jak i zwykłych ludzi, uważała, że Czechosłowację należy poświęcić i winna ona dobrowolnie oddać Niemcom tereny zamieszkałe przez ich rodaków.

Oczywiście dzisiaj znamy cenę, jaką przyszło ludzkości zapłacić za niepowstrzymaną w odpowiednim momencie agresję niemiecką. Potępienie i negatywny osąd polityki appeasementu jest w zasadzie jednoznaczne. Do kanonu politologii, ale i szerzej - moralności publicznej - weszło zrozumienie, że czasem trzeba w imię pokoju i wartości ogólnoludzkich użyć siły militarnej dla złamania agresora na wcześniejszym etapie, by nie dopuścić do jeszcze większej tragedii. Ale dla zrozumienia procesów historii i ludzkiego działania trzeba abstrahować od późniejszej wiedzy i umieć zrozumieć także hasła pacyfistyczne.

●

Hitler parł do wojny i groził nią światu. W wielkiej, propagandowo przygotowanej przez Goebbelsa mowie w berlińskim Pałacu Sportu 27 września ogłosił, że „jego cierpliwość się już wyczerpała” i jeżeli „pan Beeneesch (Hitler wymawiał jego nazwisko w specjalny, parodiujący sposób, by podkreślać swój dystans i wrogość) nie chce pokoju, weźmiemy sprawy w nasze ręce”.

Powszechnie sądzono, że wybuch wojny jest kwestią kilku, kilkunastu godzin. Chamberlain wystąpił z orędziem radiowym do narodu, gdzie wypowiedział słowa, które przeszły do historii jako negatywny symbol polityki appeasementu: „Jakie to straszne, fantastyczne, niewiarygodne, że musimy tu kopać okopy i przymierzać maski przeciwgazowe z powodu kłótni w odległym kraju między ludźmi, o których nic nie wiemy”.

W Europie przygotowywano się do ewakuacji mieszkańców z dużych miast, ludziom rozdawano maski i instruowano, jak się należy zachować podczas ataku lotniczego.

Pojawiła się włoska inicjatywa (wedle dzisiejszej wiedzy nieuzgodniona z Niemcami, a być może z uwzględnieniem inspiracji amerykańskiej), by spróbować jeszcze jednej szansy i zorganizować w formacie „Wielkiej Europejskiej Czwórki” konferencję dla zachowania pokoju, czyli poświęconą ustaleniu daty i sposobu przekazania przez Czechosłowację żądanych przez Niemcy terytoriów, która odbyłaby się w Monachium. Konferencja nie miała się zajmować tym, czy Czechosłowacja ma oddać te tereny (bo na to już się zgodziła), ale kiedy i jak!

Można oceniać pozytywnie ideę pokojowych negocjacji i swego rodzaju międzynarodowego arbitrażu, gdyby nie fakt, że oznaczało to, iż o konflikcie niemiecko-czechosłowackim (nawet jeżeli przyjąć taką perspektywę, bo przecież to był problem niemieckiej agresji na Czechosłowację, a nie kontrowersji między dwoma państwami) Wielka Brytania, Francja i Włochy będą dyskutowały z Niemcami, stroną zainteresowaną, bez obecności i wysłuchania drugiej strony - Czechosłowacji.

Było to praktyczne zastosowanie koncepcji odpowiedzialności za losy Europy przez grupę państw ważniejszych dla kontynentu (ta sama koncepcja obowiązuje dzisiaj na poziomie ogólnościatowym w postaci Rady Bezpieczeństwa ONZ), ale z punktu widzenia moralności planowana konferencja była od samego początku przedsięwzięciem problematycznym. Można stworzyć całą bibliotekę z negatywnymi, surowymi ocenami konferencji w Monachium, nawet z użyciem takich pojęć jak zdrada, głupota czy tchórzostwo.

●

28 września trwało pomiędzy Włochami, Wielką Brytanią, Francją i Niemcami uzgadnianie depesza- mi i przez ambasady „spotkania ostatniej szansy na

utrzymanie pokoju”. W Londynie panowała przynębiająca atmosfera oczekiwania na wiadomość o wybuchu wojny europejskiej. Spodziewano się jej w każdej chwili. W Izbie Gmin przemawiał właśnie premier, gdy nadeszła informacja z Berlina, że Hitler zgadza się na spotkanie w Monachium następnego dnia. Chamberlain natychmiast informuje o tym posłów. Przyszło odczuwalne odprężenie - na sali wybuchł szal radości i aplauzu dla premiera.

29 września rano uczestnicy konferencji zjeżdżają się do Monachium. Chamberlain, Édouard Daladier, Benito Mussolini i Hitler w kilku turach obradowali przez cały dzień do późnego wieczora. Porozumienie podpisane zostało już 30 września o pierwszej w nocy. Zaakceptowano formalnie cesję terenu opisanego jako „Sudety” do Niemiec, w zamian za gwarancję integralności terytorialnej Czechosłowacji w nowym kształcie. Wynegocjowano też, że przekazanie terytorium „Sudetów” nastąpi między 1 a 10 października.

Czechosłowacja nie uczestniczyła w obradach. Rząd z Pragi wysłał nawet do Monachium delegację, ale kazano jej czekać w pokoju hotelowym i dopiero po zakończeniu konferencji poinformowano o rezultatach. Paradoksalnie z wynegocjowanego porozumienia o pokojowym przekazaniu Sudetów najbardziej był niezadowolony Hitler, który zaplanował już akcję wojskową, a teraz musiał od niej odstąpić. Wychodząc z sali obrad, powiedział do towarzyszących mu osób, że po raz ostatni ustąpił dyplomatom.

Układ Monachijski (tekst)

Porozumienie zawarte w Monachium 29 września 1938 [w rzeczywistości 30 września o 1.30 - AK] między Niemcami, Wielką Brytanią, Francją i Włochami.

Niemcy, Wielka Brytania, Francja i Włochy, biorąc pod uwagę zasadniczo już osiągnięte porozumienie w sprawie cesji na rzecz Niemiec terytorium Niemców Sudeckich, uzgodniły następujące warunki regulujące wspomnianą cesję i wynikające z niej środki w tej sprawie i na mocy tej umowy każde z nich ponosi odpowiedzialność za kroki niezbędne do zapewnienia jej wykonania:

(1) Ewakuacja rozpocznie się 1 października.

(2) Wielka Brytania, Francja i Włochy zgadzają się, że ewakuacja terytorium zostanie zakończona do 10 października bez zniszczenia jakichkolwiek istniejących instalacji (...).

(3) Warunki ewakuacji zostaną szczegółowo ustalone przez międzynarodową komisję złożoną z przedstawicieli Niemiec, Wielkiej Brytanii, Francji, Włoch i Czechosłowacji.

(4) Obsadzanie etapami przeważnie niemieckich terytoriów przez wojska niemieckie rozpocznie się 1 października. (...)

(5) Komisja międzynarodowa (...) określi terytoria, na których ma być przeprowadzony plebiscyt. Terytoria te będą okupowane przez organy międzynarodowe do czasu zakończenia plebiscytu. (...)

(6) Ostateczne ustalenie granic zostanie przeprowadzone przez komisję międzynarodową. Komisja będzie również uprawniona do zalecania czterem Mocarstwom, Niemcom, Wielkiej Brytanii, Francji i Włochom, w pewnych wyjątkowych wypadkach, drobnych zmian w ściśle etnograficznym określeniu stref, które mają być przeniesione bez plebiscytu. (...)

(8) Rząd czechosłowacki w ciągu czterech tygodni od daty niniejszego porozumienia zwolni ze swych sił wojskowych i policyjnych wszystkich Niemców Sudeckich, którzy zechcą być zwolnieni. Rząd czechosłowacki (...) zwolni więźniów sudeckich, którzy odbywają karę pozbawienia wolności za przestępstwa polityczne.

Monachium, 29 września 1938

Adolf Hitler, Neville Chamberlain, Édouard Daladier, Benito Mussolini

■

Czeski historyk wyliczył, że wspólna siła wojskowa Czechosłowacji i Francji była w 1938 roku większa niż Niemiec. Gdyby Czechosłowacja próbowała się bronić, wynik wcale nie byłby przesądzony

◀ **Od lewej: zarządca Bawarii Franz Ritter von Epp, brytyjski ambasador w Niemczech Neville Henderson, brytyjski premier Neville Chamberlain i szef niemieckiego MSZ Joachim von Ribbentrop. Powitanie na lotnisku w Oberwieselfeld przed spotkaniem Chamberlaina z Hitlerem, 29.09. 1938 r.**

FOT. ANN RONAN
PICTURES/PRINT
COLLECTOR/GETTY
IMAGES



***Andrzej Krawczyk**

• ur. w 1954 r., historyk specjalizujący się w dziejach Europy Środkowej. Autor m.in. książek „Praska Wiosna” i „Słowacja księdza prezydenta (Józef Tiso 1887-1947)”. W latach 80. działał opozycyjnie, ambasador RP w Republice Czeskiej (2001-05), minister w Kancelarii Prezydenta (2005-07), ambasador na Słowacji (2009-12), oraz w Bośni i Hercegowinie (2013-18).

• Publikujemy fragment jego nowej książki „Edvard Beneš. Polityk z Europy Środkowej”. Ukazał się jesienią br. nakładem wydawnictwa Universitas w serii „Poleca Adam Michnik”. Tytuł tekstu i skróty – „Wyborcza”.

●

Kwestia „polityki ustępstw” przed wybuchem II wojny i jej fiaska - czyli po angielsku „appeasementu” - jest problemem przerabianym przez studentów historii i politologii na uniwersytetach całego świata (a nawet zdawanym na maturach jako jeden z klasycznych tematów pytań). Stała się (a w zasadzie jej zaprzeczenie) mitem założycielskim rządu Wielkiej Brytanii jednej z największych osobowości politycznych XX wieku - Winstona Churchilla.

Trzeba tylko dodać, że w ostatnich latach, już w XXI wieku, coraz częściej pojawiały się głosy częściowo usprawiedliwiające appeasement jako dramatyczną i trudną, choć nieskuteczną i być może naiwną, walkę o zachowanie pokoju na świecie. Nowa fala zainteresowania tą tematyką nastąpiła w 2024 i 2025 r. w związku z problem zakończenia wojny po agresji Rosji na Ukrainę i dyskusjami, jaką cenę można zapłacić za zaprzestanie działań militarnych i jaką sytuację można uznać za rzeczywisty pokój.

Warto w tym miejscu przywołać książkę Jana Tesařa - historyka, w czasach CSRS dysydenta i więźnia politycznego - „Mnichovský komplex. Jeho příčiny a následky” (Kompleks monachijski, Jego przyczyny i skutki) z roku 2000. Była ona czeską próbą nazwania tego problemu i opisu jego miejsca w czeskim imaginariu światopoglądowym.

Odniesienia do Ukrainy nie pojawiały się jeszcze wówczas w tej refleksji. Tesař zdiagnozował tematykę „monachijską” w czeskim światopoglądzie narodowym jako kompleks zdrady, który jest ważnym i potrzebnym mitem dla społeczeństwa. Pozwala on na lepszą samoocenę i „przerzucą” odpowiedzialność za błędy i braki polityczno-moralne na innych.

Tesař przeanalizował potencjał obronny Czechosłowacji w latach 1938 i 1939 oraz stan nastrojów społecznych w tym okresie. Pokazał, że wspólna siła wojskowa Czechosłowacji i Francji była w 1938 r. większa niż Niemiec. Upoważniało go to - jak zadeklarował – do wniosku, że wynik wojny, gdyby Czechosłowacja podjęła próbę obrony, wcale nie byłby przesądzony.

Dekonstruuąc mit, dochodził do wniosku, że interpretacja wydarzeń z okresu Monachium była świadomą socjotechniczną manipulacją Beneša, która została przyjęta przez ludzi, bo odpowiadała zapotrzebowaniu społecznemu. Beneš w tej interpretacji miał świadomie wykreować obraz zdradzonych i porzuconych przez sojuszników Czechów. Zdaniem Tesařa miał bardzo świadomie dążyć do wytworzenia poczucia winy u zachodnich sprzymierzeńców, że utrzymali (choćby na jakiś czas) pokój na kontynencie europejskim za cenę porzucenia i zdrady Czechów.

Miał to być polityczny kapitał w oczekiwaniu wielkiej wojny światowej, którą przewidywał. Kapitał, który będzie przydatny w odbudowie Czechosłowacji na korzystnych dla czeskiego narodu warunkach. Według Tesařa dalszy bieg historii potwierdził słuszność koncepcji Beneša.

Czechom udało się - twierdzi - wypracować status pierwszego nieprzyjaciela Hitlera, narodu, który chciał walczyć, ale odstąpił od tego ze względu na innych. Benešowi udało się wprowadzić do obiegu zachodniej opinii publicznej pogląd, że czeska ofiara (czyli rezygnacja z oporu) na rzecz społeczności międzynarodowej jest czymś wyjątkowym, co nie zdarzyło się wcześniej i jest przykładem czeskiej wyjątkowości w historii Europy, tak jak - dodawał nieco ironicznie - czeskie przywiązanie do pokoju, demokracji i humanizmu.

Jednocześnie Tesař oceniał, że „w gruncie rzeczy przeważająca większość ludzi na całym świecie popierała ugodę z Monachium. W końcu wziąć na siebie odpowiedzialność w XX wieku za wybuch wojny to nie taka łatwa decyzja”.

Kilkudniowa aktywność społeczeństwa, wzorowa mobilizacja i wysyp deklaracji o woli walki z września 1938 r. były wedle Tesařa jedynie „tygodniowym happeningiem” tłumów. Zwraca on uwagę na „lżawą teatralizację” wydarzeń w tych dniach i przytacza „szantażujące wiersze” jak np. „Dzwon zdrady” Františka Halasa, który wprowadził do obiegu termin „zdrada” w kontekście Monachium. Do dzisiaj uczą się go czeskie dzieci. Tesař uważał, że taka teatralizacja ma w sobie „coś fałszywego”.

Tesař konkludował, że polityka Beneša w takiej sytuacji była swego rodzaju sukcesem, bo poświęcił swoją reputację, aby wypracować dla narodu drogę do przyszłego zwycięstwa politycznego i psychologicznego po zakończeniu przez państwa demokratyczne i ZSRR zwycięskiej wojny z III Rzeszą. Pojęcie „haniebna zdrada Zachodu” stało się częścią historycznej tożsamości Czechów. ●

Anna Arno

W opowiadaniu Giorgia Bassaniego „Tablica na via Mazzini” Żyd Geo Josz wraca do rodzinnej Ferrary w sierpniu 1945 r. Przeżył jako jedyny ze 183 żydowskich mieszkańców miasta deportowanych do Niemiec. Na pamiątkowej tablicy w centrum miasta Geo Josz odczytuje ich nazwiska. Znajduje wśród nich swoje własne. Niezgrabny, postarzały Żyd pojawia się w Ferrarze jak widmo. Jest tu niepotrzebny, jego obecność uwiera i wadzi. „Nie, nie: zważywszy, jakie mamy czasy, im mniej ktoś wie o Żydach, o nie-Żydach i o wszystkim innym, tym lepiej dla niego” – dochodzi do wniosku przypadkowy przechodzień, młody Włoch.

Kiedy w 1961 r. Hersz (Grzegorz) Smolar jedyny raz po wojnie przyjechał do Mińska na Białorusi, trochę przypominał Geo Josza: był ocalałym świadkiem niezagojonej, niechcianej przeszłości. Zobaczył socrealistyczne osiedla, a pośród nich resztki getta.

Podszedł do domu, który był głównym punktem kontaktowym mińskiej organizacji bojowej. Tam się ukrywał, a potem wyskoczył z okna, gdy o północy przyszło gestapo. „Mój przyjaciel Nikołaj nie dotarł do okna” – wspomina.

Tego dnia na podwórku zastał szkolną wycieczkę.

„Nauczycielka zaczęła opowiadać uczniom historię tego konkretnego mieszkania – o gospodarzu Nikołaju, jego żonie Tani i ich 11-letniej córce Łucji. Opisała nocny nalot gestapo i aresztowanie całej rodziny, spalonej potem żywcem przez hitlerowców. Powiedziała, że uciekł tylko jeden mężczyzna, o pseudonimie »Skromny«.

Jej opowieść przerwał ochrypły krzyk. Z pokoju na parterze po lewej wybiegła rozczochrana staruszka z wytrzeszczonymi oczami palającymi nienawiścią. – Przez jednego Żyda, przez jednego Żyda wszyscy zginęli! – wrzasnęła, wskazując mieszkanie Nikołaja. Żyd – czyli ja – stał obok.

Od nauczycielki, która opowiadała dzieciom o wszystkim, co zaszło w tym mieszkaniu, nie usłyszałem ani słowa sprzeciwu wobec trującej nienawiści do Żydów, jaką przywitała uczniów sąsiadka rodziny Gerasimienków”.

Nienawiść jest mocna i zaraźliwa, a pamięć krucha. Hersz Smolar wycofał się bez słowa. Przeżył wojnę jako jedyny z organizatorów pierwszej i drugiej centrali ruchu oporu w Mińsku.

„Z czasem znaczenie zagłady Żydów w świadomości europejskiej błędnie – przyznaje Aleksander Smolar we wstępie do książki swojego ojca. – Częściowo wynika to z tego, że Izrael stał się silnym militarnie i ekonomicznie państwem, którego stosunek do Palestyńczyków i ziem okupowanych ukazuje teraz swe tragiczne strony”. Jak przyznaje Aleksander Smolar, „nie tylko ofiary Holocaustu, ale też inne ofiary historii, niedostrzegane, pogardzane w przeszłości, stają się jej uprzywilejowanymi świadkami i interpretatorami”.

Nie przypadkiem Hersz Smolar nosił pseudonim „Skromny”. Nie opowiadał o swoich dokonaniach, roli przywódcy ruchu oporu w getcie. Także w swojej książce pozostaje na uboczu. Skrupulatnie spisuje natomiast dziesiątki imion i nazwisk. Przywołane zostają odważne czyny, tragiczne sceny męczeńskiej śmierci. Gdyby nie ta książka, nazwiska i odwaga tych ludzi zostałyby zapomniane.

Wspomnienia Smolara „Fun Minsker getto” („Z mińskiego getta”), w języku jidysz, wyszły w 1946 r. w nakładzie 10 tys. egzemplarzy w moskiewskim wydawnictwie Der Emes (Prawda). Rok później przekład rosyj-

Getto w Mińsku jak warszawskie

RATOWALI I WALCZYLI

To człowiek z zewnątrz, polski żydowski komunista, przekonał ludzi w Mińsku, że muszą stworzyć ruch oporu bez czekania na rozkaz z Moskwy.



• **Hersz (Grzegorz) Smolar, zdjęcie wykonane przez polską policję po aresztowaniu go w 1928 r. za działalność komunistyczną** FOT. ARCHIWUM AKT NOWYCH / DOMENA PUBLICZNA

ski, „Mstiteli getto” („Mściciele getta”), ukazał się w 50 tys. egzemplarzy. Przez kilkadziesiąt lat była to jedyna w ZSRR książka poświęcona żydowskiemu ruchowi oporu i żydowskiej partyzantce. W kwietniu 1962 r. historyk Władlen Izmozik pisał do Ilii Erenburga, narzekając na brak literatury o Zagładzie: „Od iluż to lat nakład »Mściciele getta«, książki o getcie w Mińsku, jest wyczerpany?”.

Do wielowiekowych antysemickich „tradycji” należy stereotyp Żydów biernych, bojaźliwych i tchórzliwych. Wedle obiegowej opinii Żydzi poddali się wobec Zagłady, „szli jak baranki na rzeź”.

Po to ostatnie, biblijne porównanie sięgali nawet sami Żydzi – nie po to jednak, by wyrazić słabość, lecz by zagrzewać do boju. „Nie idźmy jak jagnięta na rzeź! – nawoływał w Wilnie na początku stycznia 1942 r. Aba Kowner [dowódca powstania w tutejszym getcie]. – To prawda, jesteśmy słabi i bezbronni, ale jedyną odpowiedzią wrogom jest opór!”.

Jak pisze historyk Krzysztof Persak, ten stereotyp „był tak głęboko zakorzeniony i silny, że przeczące mu fakty powodowały u obserwatorów dysonans poznawczy”.

„Ostatni raz Żydzi walczyli tysiąc osiemset lat temu – pisała w konspiracyjnej

W swojej książce Hersz Smolar spisuje dziesiątki imion i nazwisk. Przywołane zostają odważne czyny, tragiczne sceny męczeńskiej śmierci. Gdyby nie ta książka, ci ludzie zostaliby zapomniani

„Prawdzie Młodych” Zofia Kossak-Szczucka w trakcie powstania w getcie warszawskim. – Od tego czasu Żydzi pasożytovali na ciele narodów europejskich, powszechnie znienawidzeni i pogardzani. (...) Dziesiątki tysięcy Żydów szło biernie do komór gazowych lub pod kule, płaszcząc się nikczemnie przed wrogiem. I oto nagle ten sam naród żydowski chwytą za broń. Ten sam naród walczy heroicznie. Co tę odmianę spowodowało?... Nie wiadomo”.

Książka Hersza Smolara jest świadectwem wciąż zbyt słabo znanego rozdziału: żydowskiego oporu w historii Zagłady. Podziemie mińskiego getta uratowało ok. 5 tys. Żydów.

„Uderza fakt, że Żydzi musieli pokonać swój lęk przed Stalinem, aby przeciwstawić się Hitlerowi – pisze amerykański historyk Timothy Snyder. – To człowiek z zewnątrz, polski żydowski komunista Hersz Smolar, przekonał ludzi w Mińsku, że muszą zorganizować ruch oporu natychmiast, a nie czekać na rozkaz z Moskwy”.

„Zły Żyd” – taki tytuł dla swojej napisanej po francusku książki wybrał Piotr Smolar, wnuk Hersza, syn Aleksandra (polskie wydanie w przekładzie Agnieszki Grudzińskiej ukazało się w Znaku w 2021 r.).

Kto jest „Złym Żydem”? – zastanawia się dziennikarz „Le Monde”. Prowokacyjny tytuł sugeruje wyparcie i opór, ale „wyparcie może oznaczać zarówno tchórzostwo – lepiej unikać kłopotów – jak i opór wobec smutnej współczesności. Coś w rodzaju świadomego życia w ukryciu”.

Piotr Smolar zwraca się w książce do dziadka, stara się go na wielu poziomach zrozumieć. Dosłownie, ze względów językowych, nie rozumie choćby nagrania roz-

mowy dziadka z Claude'em Lanzmannem. Hersz Smolar zaczyna opowiadać po niemiecku, ale się buntuje: „Będę mówił po żydowsku – zapowiada. Reżyser oponuje: nie zna przecież ani słowa w jidysz. Hersz Smolar uspokaja: - Jak JA będę mówił, zrozumie pan każde słowo”.

„Zapamiętałem cię jako niedołężnego dziadka – pisze wnuk. – Mieszkaliśmy na różnych kontynentach, rzadko się widywaliśmy. Za każdym razem było to wielkie wydarzenie (...). Zachowałem wspomnienie twojego głębokiego głosu wstrząsanego śmiechem i krzaczastych brwi, których się właściwie wcale nie bałem. Byłeś chudy, niski, twoje ciało cię zdradziło, to najgorsza ze zrad, nie da się jej wymazać”.

Z kolei syn Aleksander zapamiętał ojca mocnego, imponującego: „Był niewątpliwie odważnym człowiekiem, ideałem mężczyzny dla dziecka i młodego człowieka”.

Hersz Smolar urodził się w 1905 r., w biednej żydowskiej rodzinie w Zambrowie. Uczył się na elektryka, potem zatrudnił się w pracowni kaletniczej. Jako nastolatek wciągnął się w kręgi lewicowe (zapewne za pośrednictwem brata Natana – syjonisty, nauczyciela, popularyzatora kultury jidysz; zginie w getcie warszawskim).

Od syjonizmu szybko przeszedł do bolszewizmu; w 1920 r., po zajęciu Zambrowa przez Armię Czerwoną, wszedł w skład miejscowego Komitetu Rewolucyjnego. Po odbiciu miasta przez wojsko polskie wraz z grupką entuzjastów nowego ustroju przekroczył granicę sowiecką.

W ZSRR pracował w fabryce wyrobów skórzanych i w redakcjach kilku czasopism. W 1923 r. zamieszkał w Moskwie, studiował w sekcji żydowskiej Komunistycznego Uniwersytetu Mniejszości Narodowych. Kształcono tam kadrę, która miała krzewić bolszewizm w swoich krajach.

Pięć lat później Smolar zostaje agentem Kominternu. Osiada w Wilnie. Za nielegalną działalność komunistyczną sześć lat spędza w więzieniu. Dawny towarzysz zauważył, jakie miał szczęście, że siedział w Polsce. W przeciwnym razie niechybnie padłby ofiarą czystek. Dopiero potem Smolar się dowiedział, że w jego papierach partyjnych w Mińsku znalazł się telegram z 1937 r.: jako „słynny szpieg” był poszukiwany przez NKWD.

W 1939 r. został redaktorem naczelnym gazety „Gwiazda Białegostoku” oraz sekretarzem Związku Pisarzy Zachodniej Białorusi. „Piszesz w jidysz, myślisz jak rewolucjonista – zwraca się do dziadka wnuk Piotr. – Dziennikarstwo według ciebie nie ma nic wspólnego z wyważoną na aptekarskiej wadze, skrupulatnie sprawdzoną informacją. Dziennikarstwo jest ideologiczną walką (...). Sprawą. Tylko ona istnieje nieomal w każdej linii twojego życiorysu”.

22 czerwca 1941 r. Niemcy zaatakowały ZSRR. Hersz Smolar idzie pieszo z Białegostoku do Mińska. Na początku wojny, podczas nalotu, długo musiał leżeć na ziemi. Zgubił okulary. „Od tego momentu przez cztery lata wojny nie miałem okularów” – wyznał w rozmowie z Lanzmannem.

Getto w Mińsku zostało utworzone w lipcu 1941 r. i ostatecznie zlikwidowane w październiku 1943. Znaleźli się w nim Żydzi sowieccy, z Mińska i okolic, ale także (podobnie jak Smolar) uciekinierzy z Polski. Byli także Żydzi z Zachodu, głównie z Niemiec, Austrii i Czechosłowacji.

17 sierpnia 1941 r. Hersz uczestniczył w pierwszym nielegalnym zebraniu w getcie. Wybrali komitet organizacyjny. Ich podstawowym zadaniem jest informowanie mieszkańców o Zagładzie. Wielu Żydów wierzyło, że nie może zdarzyć się nic gorszego niż zamknięcie w gettach i że te ciężkie czasy trzeba w głodzie i chłódzie przeczekać. Dlatego też zainstalowano radiodbiorniki, który podawał informacje Radia Moskwa lub wiadomości ze wstępniaków „Prawdy”. Do mieszkańców miało dotrzeć proste hasło: „Getto to śmierć”.

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Tomas Venclova*

*żeby dzień zaświtał wraz z chłodem starej biblioteki, w którym
mocnym echem narastają głosy ptaków;
żeby kolumnom wyrosły korzenie i liście klonu;
żeby Madonny nie bały się już trudnych, nazbyt mądrych Dzieci,
i żebym znalazł na kartach apokryfów, że Sądu nie będzie — on przecież jest codziennie;
żebym kosztował dźwięków słów pierwszych chrześcijan, które obmywają usta,
żebym szedł do Ziemi Świętej, zostawiwszy przyjaciół, córki i synów, których nie mam,
żebym przyjął śmierć nie w ogniu reflektorów, lecz, na przykład, przy kiosku na rogu,
i nie na oczach tłumu, ale żeby to była inna, mądra śmierć;
żeby Pan przemienił mnie w relief na romańskiej studni
z wizerunkami z Księgi Sędziów, którą mijają turyści,
i żebym przy sobie albo w sobie miał kroplę piasku i mrozu —
o to prosiłem w Gelati, agnostyk i odszczepieniec*

(1962)
przeł. Beata Kalęba



***Tomas Venclova** – ur. w 1937 r., litewski poeta, eseista, tłumacz. W czasach ZSRR dysydent, obrońca praw człowieka. Od końca lat 70. na emigracji w USA, w 2019 r. wrócił do Wilna. Po polsku ukazały się m.in. jego poezje „Rozmowa w zimie”, wymiana listów z Czesławem Miłoszem „Dialog o Wilnie”, biografia „Aleksander Wat. Obrazoburca”, „Niezniszczalny rytm. Eseje o literaturze”, „Z dzienników podróży”, „Wilno. Przewodnik biograficzny”. W 2024 r. wyszła u nas jego książka „Litwa, ojczyzna moja”, dzieje kraju od prehistorii do odzyskania niepodległości w 1990 r.
Tekst za: Venclova, „Obrócone w ciszę. Wiersze wybrane”, przekład zbiorowy, Zeszyty Literackie, Warszawa 2017.

FOT. BARTOSZ BOBKOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Następnie trzeba było jak najwięcej ludzi stamtąd wydestać. Wybierano więc osoby o „dobrym” wyglądzie, które wyprowadzały grupy do lasu. W mińskim getcie mordy odbywały się na miejscu, nie w odległych obozach Zagłady. Aby znaleźć schronienie w okolicy, niezbędne były kontakty z miejscowymi.

Tymczasem Białorusini nie mogą uwierzyć, że ruch powstał oddolnie, pytają, kto dał takie zlecenie. Podejrzewano, że Smolar ukrywa nazwiska mocodawców, ale paradoksalnie to budziło zaufanie: domyślano się, że jego inicjatywy zostały zaaprobowane przez partyjną hierarchię.

Opowieść Hersza Smolara ma charakter „świadcstwa” – narracja jest spokojna i rzeczowa. Liczy się za to każde imię, zapamiętany osobisty szczegół. Pamięć oddaje sprawiedliwość, ratuje od zapomnienia.

Przejmujące są tutaj pojedyncze obrazy. Kryjówka na strychu, gdzie Smolar spędza tygodnie „zamurowany” przy kominie: przez ruchomą cegłę odbiera jedzenie, przez tę szparkę ma też widok na getto. Autobus zaduszonych spaliniami „hamburskich Żydów”. Przeżył jeden: lekarz, chusteczka nasączoną własnym moczem zatkał nos i usta. Jasnowłosa dziewczynka, która wyprowadza ludzi do lasu. „Serca partyzantów stwardniały na kamień – przyznaje Smolar. – Nie jest łatwo sprawić, by partyzant uronił łzę”. Od początku postanowili nie dać się złamać na torturach, uciekać, nawet gdyby oznaczało to kulę w plecy.

Najbardziej dotkliwy rozdział książki nosi tytuł „W lesie też nienawidzą Żydów” – jak wyznaje autor, nawet partyzanci, którzy razem z Żydami uczestniczyli w niebezpiecznych akcjach, opowiadali antysemickie doczypy. Zdarzały się też mordy dokonane przez „swoich”: „Pewnego dnia dotarła do nas straszna wieść. W pobliskiej wsi Szarkowszczyzna oddział ulanów polskiego legionu dowodzony przez sierżanta Zdzisława Nurkiewicza, pseudonim »Noc«, zamordował dziesięciu Żydów z oddziału Zorina”.

Jak wspominał Aleksander Smolar, ojciec długo po wojnie obawiał się „katolickiego” antysemityzmu: ostrzegał nawet syna przed organizowaniem zabaw w Adwencie czy w Wielkim Poście: pamiętał przedwojenne „wielkopiątkowe” pogromy.

Dewizą ruchu oporu w mińskim getcie było „ratować i walczyć”, a jeden z rozdziałów książki nosi tytuł „Zemsta, święta zemsta”. Kiedy odgłosy bomb dobiegały z bliska, mieszkańcy poznawali, że wybuchają w koszarach, że to „nasi” mszczą się na mordercach. Na duchu podnosiły nawet drobne akcje dywersyjne: opóźnianie zamówień dla niemieckiej armii, niszczenie materiałów, wbijanie ćwieków w buty. Szczęśliwi ci, którzy nigdy nie czerpali siły z gniewu i nie znają ulgi wynikającej z zemsty.

W 1949 r. Hersz Smolar stanął na czele Centralnego Komitetu Żydów w Polsce, który w kolejnym roku zmienił się w Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Żydów w Polsce. Redagował też „Folks Sztymie”, jedyną żydowską gazetę w komunistycznym świecie.

„Trudno z perspektywy czasu zrozumieć twoje zaślubiny z komunizmem – pisze wnuk. – Choć zaangażowanie graniczące z sekciarstwem zawsze mnie odstręczało, wystrzegam się pochopnego sądu po latach”. Syn Aleksander zapamiętał późną rozmowę z ojcem, w szpitalu w Izraelu [dokąd Hersz wyjechał w 1970 r.; zmarł w tym kraju w 1993]. Po latach działania w antykomunistycznej opozycji nadal droczył się z wiernym młodzieńczym ideałom ojcem.

„I on wtedy powiedział mi: »Wiesz, my się różnymi oczywiście poglądami, należymy do różnych pokoleń, różne przekonania, różne wiary nas dzielą, natomiast jest rzecz, która nas łączy, która jest bardzo istotna: to znaczy nigdy nie uważaliśmy spraw prywatnych za najważniejsze i byliśmy gotowi zawsze angażować się w sprawy publiczne i płacić za to cenę».

To mnie wzruszyło, bo uznałem, że była w tym prawda. On miał ten ambiwalentny stosunek, była to mieszanina strachu i dumy, i w jakimś sensie podziwu”.



Hersz Smolar, **„Mińskie getto. Świadcstwo oporu”**, przeł. z angielskiego Sergiusz Kowalski, Wydawnictwo Austeria, Kraków – Budapeszt – Syrakuzy 2024.

Za pięć trzynasta

Upiory i piosenki Wielkiego Tygodnia

Należymy do kultury, która właśnie w tym tygodniu przeżywa śmierć niewinnego człowieka. I w tym świętym czasie z serwisów dowiadujemy się, że w Sumach zginęło trzydzieści pięcioro Jezusów i Jezusek. A w Krzywym Rogu, na placu zabaw – dziewięcioro. Jezusąt. Dzieci.

Jarosław Mikołajewski

Chyba nigdy my, artyści, nie wytłumaczyliśmy nieartystom na czym polega nasza praca, i może nie było chwili lepszej niż ta, żeby to w końcu zrobić. Bo nie wiadomo już na ogół co znaczy sztuka, jak to jest być artystą. Często spotykam się z przekonaniem, że rozmowa z artystą to rozmowa np. o obsadzie „Hamleta” w Teatrze Narodowym, a rolą artysty – w tym przypadku moją, jako przedstawiciela gatunku – jest odpowiadać w imieniu konkretnych twórców, czy można zatrudniać członków rodziny realizując spektakl.

Otóż nie. Być artystą to nie jest uczestniczyć w pogwarkach. I mówię „nie”, zmieniając radykalnie ton mojej wypowiedzi. Stając się nagle surowy, zagniewany, wściekły. Nie dlatego, że jako artysta narzucam sobie wściekłość. Tylko dlatego, że naprawdę trudno zachować w tym wszystkim spokój. Co bowiem my ludzie mamy wokół siebie, w sobie, poza kruchością naszą i bliskich?

Jest Wielki Tydzień. Bez względu na to, czy jesteśmy wierzący, a jeśli tak, to w co właściwie wierzymy i w kogo, należymy do kultury, która w tym właśnie tygodniu przeżywa śmierć niewinnego człowieka, i uczestnictwo w jego śmierci. I oto w tym właśnie świętym czasie z serwisów dowiadujemy się, że w Sumach zginęło trzydzieści pięcioro Jezusów i Jezusek. A kilka dni wcześniej, w Krzywym Rogu, na placu zabaw – dziewięcioro. Jezusąt. Dzieci.

W tym samym czasie, dostaliśmy zdjęcie Jezusa-dziewczyny. Margarity Polowinko, artystki. Którą gdybyśmy wymyślili sobie w jakims akcie wyobraźni i sztuki jako Jezusa, jej wizerunek zostałby uznany za prowokację. A wobec tego, że jest czystą prawdą – jest skandalem. Jak Jezus, który jest skandalem w języku samej Ewangelii. Zgorszeniem.Rostysław Kramar pisze o Margaricie, na stronie culture.pl: „artystka malarka, ratowniczkamedyczna, osoba o głębokiej wrażliwości. Jej sztuka skupiała się na półtonach – mitologicznych, emocjonalnych, cielesnych – i z każdą kolejną pracą stawała się coraz bardziej uważna na ciszę, pustkę, znikanie. W ostatnich latach żyła tak, jakby każdy jej gest był elementem kompozycji. Właśnie w takiej napiętej obecności poszła na wojnę – bez deklaracji, ale całkowicie świadomie, pozostając sobą”.Každaz informacji o Margarity żąda przypisu, dopowiedzenia, rozwinięcia. Każda budzi potrzebę zrozumienia. Zwłaszcza informacja że malowała krwią.

Komentowane będzie także samo to zdjęcie dziewczyny z 1994 roku, urodzonej w tym samym Krzywym Rogu, w którym urodziło się tamtych dziewięcioro dzieci ze zbombardowanego placu zabaw.

Zdjęcie – wyzwanie. Które z powodzeniem stać się może ikoną na rów-

ni ze słynną fotografią Kim Puc, wietnamskiej dziewczynki poparzonej napalmem. Powinno stać się ikoną. I tu uwaga na marginesie bycia artystą: jest wewnątrz artysty bezbłędny czujnik, który natychmiast utrwała rzeczy przeznaczone na wieczność. I jeśli nawet nie zostaną zinterpretowane od razu, pozostaną na przyszłość, jątrzące, nierozstrzygnięte. Jak niespełnione zadanie. I czymś takim – już wiem – stanie się fotografia Margarity. Jestem pewny, że kto tylko ją widział, zrozumie.

Artysta ma w sobie myśli poza gatunkiem tych, które słyszeliśmy w debacie kandydatów do prezydentury. Możemy śmiało nazwać je piosenką. Ta nasza piosenka to motyw, który atakuje poza świadomością, a raczej w samym jej palenisku. I kiedy to piszę, i próbuję wytłumaczyć nieartystom, jak funkcjonują artyści (choć każdy funkcjonuje inaczej, i nie jestem tu rzecznikiem nikogo poza samym sobą), mam w sobie piosenkę, której słowa brzmią „nic nie zrobiłam / zrobiłem”.

Jest to piosenka Jezusa, piosenka Margarity, piosenka krzyworoskich dzieci, sumskich mieszkańców, obywateli Mariupola i Buczy. Tę właśnie piosenkę zaproponowałbym Meli Koteluk jako ścieżkę dźwiękową tych dni. Nic, nic, nic nie zrobiłam... Przyjmujesz, Melu?...

I oto na dźwięk tej piosenki, trochę swojskiej, bliskiej, słowiańskiej, ukraińsko- i rosyjskojęzycznej, nakłada się piosenka dzieci i kobiet Sudanu. Także mężczyzn, o których się nie mówi, jak gdyby nie byli Jezusem, kobietami i dziećmi. Piosenka cicha, niepodkrećcana przez media. Prawie przemilczana. Peryferyjna. Bo może nieistotna dla Donalda Trumpa. Dla Elona Muska.

I jeszcze tamta piosenka, palestyńsko-izraelska, słyszana powszechnie jako dwie, izraelska i palestyńska, oddzielnie. I stąd tak naprawdę ta nasza ciekawość o obsadę „Hamleta”: jak Helena Englert wspiewa w te wszystkie piosenki obolałych ludzi i ludów Ofelię z jej i nie jej oblakaniem. I to wszystko naraz. Na raz. I nie ma jak tego porozdzierać, uspokoić.

Nic nie zrobiłem – śpiewają ofiary. Nic nie zrobiłam. I nagle w ich piosenkę jak zgrzyt wdziera się „nic nie zrobiłem” tych, którzy nie zrobili, a powinni coś zrobić. Na przykład my. Piosenka obojętnych. Piosenka nasza. Beznamiętna. I nie da się jej śpiewać, tej piosenki naszej bezradności wobec bólu Ukrainy, poza tą, którą same Ukrainki i Ukraińcy śpiewają w naszym kraju, słuchając nowego festiwalu piosenki polskiej, która mówi, że Ukraińców jest tu już za dużo, i powinni czekać w kolejkach do lekarza dłużej niż my, panowie tej ziemi. Panowie i Panie. Paniątka. Wieczne ofiary, które jedynymi na ziemi w naszych własnych oczach czyni nasz katolicyzm, polonizm. Katopolonizm.

Ot, i tak właśnie, wśród takich natręctw i myśli, na skrzyżowaniu takich piosenek żyje niejeden artysta w czas Wielkiego Tygodnia, przeżywanego symbolicznie i religijnie, na który nakłada się czas realnego cierpienia. Konkretnego. Czas krwi, która pisze sceny i słowa piosenek.



• Portret weneckiej kurtyzany Veroniki Franco (1546-91) autorstwa Jacopo Tintoretto lub powstały w jego pracowni, datowany na około 1575.

FOT. WROCESTER ATR MUSEUM, MASSACHUSETTS

KURTYZANY

Złota epoka

W renesansie uważano, że są niezbędne, by młodzi mężczyźni mogli zaspokoić pożądanie bez uszczerbku dla porządnych, cnotliwych kobiet i nie popadli w straszliwy grzech sodomii.

Anna Brzezińska

Adrianna Savorgnan żyła w renesansowej Wenecji, w złotej epoce włoskich kurtyzan. Jak „Dama kameliowa” parała się nierządem w najbardziej kosztownej, wyrafinowanej postaci. Lecz w przeciwieństwie do bohaterki powieści Aleksandra Dumasa nie skończyła na gruźlicę przyprowadzoną nieszczęśliwą miłością. Kiedy jeden z klientów zakochał się w niej bez pamięci, w 1581 roku pośpiesznie wyszła za niego za mąż.

PTAKI NIECH FRUNĄ DO GNIAZDA

Jej oblubieniec, 22-letni Marco Dondolo, należał do jednego z najzamożniejszych weneckich rodów. Nikogo nie dziwiło, że afiszował się z Adrianną, gdyż kontakty seksualne z kobietami niższego stanu stanowiły istotną część ówczesnej elitarnej kultury erotycznej i wręcz symbol statusu zamożnych mężczyzn. Wprawdzie po soborze trydenckim (1545-1563) władze kościelne – potem stopniowo także władze świeckie – przystąpiły do bardziej energicznej walki z nieformalnymi związkami i wszelkimi pozamałżeńskimi doświadczeniami erotycznymi, lecz stare zwyczaj trwały.

Arystokraci nadal miewali konkubiny, purpuraci kupowali przychyłność kurtyzan, rzemieślnicy korzystali z usług prostytutek, kupcy niewolili służące, a patrycjusze kupowali słowiańskie czy tureckie niewolnice i płodzili z nimi dzieci. Oficjalnie to potępiano, lecz władze przysmykały na to oko i sankcjonowały męskie potrzeby.

Oczywiście większość autorytetów kościelnych podkreślała, że prostytutka jest sprzeczna z prawem bożym i moralnie naganna. Długo jednak dopuszczano jej istnienie w imię porządku społecznego, zgodnie z bardzo starą tradycją sięgającą św. Augustyna, który zauważał, że jeśli nierządnice znikną, wszystko zostanie zamącone lubieżnością.

Uważano, że prostytutki są niezbędne, by młodzi mężczyźni mogli zaspokoić pożądanie bez uszczerbku dla porządku, cnotliwych kobiet i nie popadli w straszliwe grzechy sodomii.

Jak obrazowo tłumaczył Michele Savonarola – znany lekarz i dziadek słynnego dominikańskiego kaznodziei – prostytutkom w Ferrarze pozwalano odsłaniać publicznie piersi, by zwalczać ohydne grzechy przeciwko naturze i zapraszać ptaszki, żeby szczęśliwie frunęły do gniazda, co jest raczej oczywistą metaforą.

Renesansowe społeczeństwo kapitalizowało seksualność ubogich młodych kobiet, które nie miały posagów, więc nie uczestniczyły w normalnej seksualności związanej z małżeństwem. Prostytucja tworzyła niejako drugi, alternatywny obieg kobiet, pozabawionych szans na sukces na rynku matrymonialnym. Do pewnego stopnia te dwa obiegi się zazębiały. Zubożała czy porzucona małżonka mogła się z konieczności jąć nierządu, lecz na szczęście za życia Adrianny nie utrwalił się jeszcze pogląd, że nierząd bezpowrotnie kała kobietę. prostytutka mogła więc także łączyć posag albo znaleźć mężczyznę gotowego ją poślubić z miłości, a następnie jako szacowna mążka ponownie szczęśliwie zintegrować się ze społeczeństwem.

Zapewne właśnie na taki obrót spraw liczyła Adrianna Savorgnan. Renesansowe społeczeństwo jednak – jak niebawem mieli się przekonać nowożeńcy – nie pochwalało jawnego okazywania uczucia kochanicom, wywyższania plebejuszek i traktowania kurtyzan, jakby były porządnymi, cnotliwymi niewiastami z dobrych rodzin. Miłość przekraczająca granice stanowe budziła zdumienie i gniew, nawet jeśli wybranką była słynna w całej Wenecji dama kameliowa.

UCZCIWE LADACZNICE

U schyłku średniowiecza w wielu miastach istniały oficjalne miejskie zamtuzy, a ich rezydentki lowiły klientów na ulicach, placach i karczmach, rywalizując z innymi ladacznicami. Znanym siedliskiem płatnej miłości były łaźnie publiczne, dla wygody odwiedzających wyposażone w liczne pokoje z łózkami oraz sekretne wyjścia na wypadek wizyty wściebskich strażników miejskich. Istniały także kameralne przybytki rozkoszy, często w pobliżu karczmi, gdzie pracowały 2-3 kobiety. Część z nich traktowała nierząd jako dodatkowe źródło dochodu: pracowały jako barmanki czy służące, a okazjonalnie stawiały się na wezwanie sutenera czy stręczycielki.

Najniżej w zawodowej hierarchii sytuowały się pojedyncze ladacznice pracujące na ulicy, choć i one zazwyczaj potrzebowały opieki. Prostytucja

przez mężczyzn. Jak pisał Pietro Aretino, kurtyzany pod wszelkimi względami przypominały damy, lecz brakowało im dwóch zalet: nie były ani szlachetnie urodzone, ani cnotliwe.

KOBIETY POWINNY BYĆ WSPÓLNE

Do sukcesu renesansowych kurtyzan przyczynili się humaniści, pilni czytelnicy nowo odkrywanych klasycznych tekstów, które dostarczały im barwnych opisów antycznych heter oraz użytecznych moralnych wymówek usprawiedliwiających zamilowanie do wyrafinowanych i niecnotliwych kobiet. Humanizm idealizował męską przyjaźń i intelektualną wymianę myśli, niejednokrotnie kosztem małżeństwa, które miłośnicy antyku potrafili deprecjonować jako zagrożenie dla męskiego braterstwa.

W towarzystwie kurtyzan wykształceni mężczyźni z elit nie tylko dowodzili swojej męskości. Przede wszystkim upewniali się w swojej wartości, wywodząc, jak wiele różni ich od pospolitych, wulgarnych i niewykształconych kmiotków niskiego pochodzenia

pozostawała zajęciem niebezpiecznym i kompetytywnym, na co zresztą oficjalne miejskie prostytutki wielokrotnie się władzom skarżyły, apelując, by ścigano ich nielegalną konkurencję.

W XV wieku we Włoszech spośród różnorodnej grupy cór Koryntu wyłoniły się kurtyzany, najbardziej elitarne ladacznice, przy czym słowo to wtedy oznaczało damę dworu. Według jednej z teorii pojawiły się w Rzymie, siedzibie dworu papieskiego zdominowanego przez dostojników, którzy coraz częściej korzystali z życia na sposób świeckich książąt, lecz jako duchowni nie mogli wchodzić w związki małżeńskie.

Wielu wywodziło się z arystokratycznych rodzin, więc dobrze znali kod dwornej miłości, w której kobiety – przynajmniej teoretycznie – adorowano i obdarzano wysublimowanymi komplementami. Po przyjęciu święceń zachowywali przywileje i zwyczaj swojego stanu, ale ich potrzeby erotycznej gry, intymności i seksu nie mogły zaspokoić córki rzymskich patrycjuszy, których cnoty strzeżono z myślą o małżeństwie.

Łukę w łóżkach, przy stołach, a niekiedy i w sercach kościelnych dostojników wypełniały więc kurtyzany – damy negocjowanej cnoty, piękne, wykształcone i obdarzone świetnymi manierami.

W odróżnieniu od zwyczajnych prostytutek kurtyzany określano czasami meretrice honeste, uczciwe ladacznice. Oczywiście nikt nie miał złudzeń co do ich rozmiosła. Przypisywano im jednak honor rozumiany jako powszechny szacunek. Opierał się nie na cnotce – jak w przypadku innych kobiet – tylko sposobie zachowania i publicznej dobrej reputacji.

Piękne kurtyzany wprawdzie oddawały swoje ciało za pieniądze, ale jedynie wąskiej grupie starannie wyselekcjonowanych mężczyzn. Poza tym zachowywały wszelkie pozory uczciwego życia i posiadały umiejętności zarezerwowane dla arystokratek. Jednak w przeciwieństwie do nich poruszały się swobodnie w przestrzeni publicznej, zasadniczo zdominowanej

Najdobitniej wyraził to bodaj filozof Lorenzo Valla, proponując za Platonem, by kobiety były wspólne, bo dzięki temu zniknie przyczyna wielu konfliktów, między mężczyznami oczywiście.

Tymczasem część uczonych mężów posiadała żony, niekiedy pobożne, cnotliwe i gospodarne, lecz wykluczane z enklaw męskiej przyjaźni i debat o nowych ideach. Potrzeby intelektualnych rozrywek realizowano w domach kurtyzan. Biesiadowano z nimi, uprawiano hazard, cieszone się muzyką i konwersowano o wyrafinowanej sztuce miłości, która powinna być oparta na cnotcie, rozumie i kontrolowaniu emocji.

Zdarzało się, że kilku mężczyzn utrzymywało wspólnie kurtyzanę, dzieląc się nią bez zazdrości. Spotykali się, jedli, pili w jej domu i zażywali z nią rozkoszy w poczuciu, że umacniają w ten sposób swoją przyjaźń. Jednocześnie dzięki pieniądżom starali się zachowywać kontrolę w relacjach z inteligentnymi i obytymi, lecz jednak sprzedajnymi niewiastami.

Ten dualizm pomiędzy żoną i kochanką, pomiędzy małżeńskim obowiązkiem a namiętnością, pomiędzy płodzeniem dzieci a literacko wystylizowaną miłością nader wyraźnie widać w biografii Niccolò Machiavellego. Autor „Księcia” ożenił się zgodnie z oczekiwaniami swego stanu. Żonę szanował i płodził z nią dzieci, ale niezbyt się cieszył jej towarzystwem. Miłości i namiętności szukał w licznych romansach, m.in. z kurtyzaną La Riccią oraz znaną śpiewaczką i kurtyzaną Barbarą Salutari.

W towarzystwie kurtyzan wykształceni mężczyźni z elit nie tylko dowodzili swojej męskości. Przede wszystkim upewniali się w swojej wartości, wywodząc, jak wiele różni ich od pospolitych, wulgarnych i niewykształconych kmiotków niskiego pochodzenia, którzy jak zwierzęta nie panują nad pożądaniem i nie posiadają żadnych manier. Pięknej sztuki miłości, jak pisał Francesco Sansovino, nie są zdolni opanować zwyczajni kupcy czy dworzanie, którzy wykonują jakieś rzemiosło czy zawód. Zwyczajni ludzie, z duszą nastawioną na zarobek, nie mogą prawdziwie kochać kobiet.

PARTNERKI W NAMIEŃNOŚCI I PASJACH

Francuski filozof i humanista Michel de Montaigne był zszokowany pozycją włoskich kurtyzan. Ze zgrozą odnotował, że pobierają opłaty nie tylko za seks, ale nawet za rozmowę. Prowadząc błyskotliwą konwersację, większość po prostu spełniała oczekiwania elitarnej klienteli i podążała za intelektualnymi modami, mimochodem promowała nową humanistyczną kulturę.

Zainteresowania kurtyzan obejmowały cenione klasyczne i humanistyczne teksty. Grały również na instrumentach, tańczyły i komponowały.

Wiele renesansowych arystokratek kultywowało podobne umiejętności, ale kurtyzany, śpiewając o miłości, przyjmowały męską rolę uwodziciela i nie stroniły od aluzji seksualnych, na jakie porządne damy raczej by się nie odważyły. Recyto-

wały także i tworzyły utwory literackie. Współcześni zachwycali się na przykład, że Lucrezia Aquarcia zna Petrarę, Homera, Wergiliusza, a Matrema-non-vole z pamięci cytuje całego Petrarę i Boccaccia oraz wiele łacińskich wierszy. Zainteresowania artystyczne były częścią ich publicznego wizerunku. Słynna rzymska Imperia tworzyła poezje, komponowała sonety i madygały, Fiammetta Malaspina tłumaczyła Terencjusza i pisała poezje.

Twórczość kurtyzan była raczej odtwórcza, potwierdzała znajomość elitarnego kodu kulturowego. Niektóre jednak – Camilla Pisana, Alessandra Fiorentina, Tullia d'Aragona czy wreszcie najsłynniejsza z weneckich kurtyzan Veronica Franco – naprawdę były utalentowanymi poetkami. Świadomie wykorzystywały własną twórczość, by portretować się w roli oddanych, bezinteresownych przyjaciółek i partnerek w namiętności oraz intelektualnych pasjach. De facto stosowały te same strategie co artyści, wędrowni humaniści czy dworzanie. Jak oni domagały się publicznego uznania i konkurowały z nimi o uwagę, łaski i pieniądze wielkich panów. Nic dziwnego, że prowadziło to do konfliktów.

JAKBY BYŁY KSIĘŻNICZKAMI

Sukces kurtyzan zależał od młodości, urody, umiejętności i przede wszystkim autopromocji. Sprzedawały bowiem nie tylko ciała, ale przede wszystkim elitarne marzenie, iluzję swobody seksualnej i wyidealizowanej kobiecości, którą można było mieć do woli, ale bez zobowiązań, za pieniądze. Jednocześnie, eksponując swoją seksualność, otwarcie podważały moralne standardy, co oczywiście narażało je na krytykę i niebezpieczeństwo.

Nosiły się jak damy wysokiego rodu. Przyjmowały wyszukane arystokratyczne imiona lub przydomki zaczerpnięte z literatury bądź mitologii. Żyły po wielkopańsku. Na przykład Julia Lombardi, wenecka kurtyzana, mieszkała w bogato urządzo-

nym domu z trzema sypialniami. Dwie z nich posiadały własne studiola: w jednym urządzono garderobę, w drugim, jak w domach arystokracji, przechowywano artystyczne szkło, majolikę, porcelanę i książki oraz dzieła sztuki. W domu znajdowały się także: salonik, gdzie przyjmowała gości, pokój dla służby, kuchnia, spiżarnia, pralnia, piwnica i strych. Oprócz miejskiej siedziby miała również grunty orne i winnice, a także dwupiętrowy wiejski dom.

Montaigne'a zadziwieniem napelniały stroje kurtyzan odziewających się, „jakby były księżniczkami”. Rzeczywiście na pierwszy rzut oka można je było wziąć za szlachetnie urodzone niewiasty, mimo że władze usiłowały ograniczać ich zbytek i narzucały im hańbiące znaki mające je odróżniać od cnotliwych niewiast. Wspomniana Julia Lombardi posiadała ogromną garderobę z najkosztowniejszych tkanin, w tym tafty z Bagdadu, lnu z Reims czy perskiego jedwabiu. W jej inwentarzu znajdowały się na przykład 64 białe koszule o szerokich rękawach, które wystawiały przez rozcięcia w sukni, podczas gdy Bona Sforza miała ich w wyprawie 105, a zwykła zasobna arystokratyczna matrona – kilkanaście.

Także wyposażenie jej domu zostało starannie dobrane, by naśladować wielkopañski blichtr, i obejmowało m.in. 18 książek oraz 28 obrazów. Wrażenia egzotyki i luksusu w domach kurtyzan dopełniały zwierzęta domowe, niekiedy w ekstrawaganckiej ilości. Aktor Andrea Calmo w liście do byłej kochanki utyskiwał, że utrzymanie jej menażerii kosztowało go fortunę, co nie dziwi, zważywszy że posiadała: papugę, szpaka, skowronka, złotą rybkę, makolągwę, małpę, strzyżyka, przepiórkę, turkawki, przegowanego kota, kunę, jaskółkę, jak również trudne do zidentyfikowania satineto i sorzi d'India.

BOSONOGA CÓRKA WIEŚNIAKA

O Julii Lombardi pisano, zresztą niezgodnie z prawdą, że była córką wieśniaka, która przywędrowała do Wenecji boso i zdobyła wielkie bogactwo, gdyż ona akurat przyszła na świat w rodzinie zubożalego weneckiego obywatela, blawatnika. Ale wielu innym przybywającym do Wenecji czy Rzymu ubogim plebejuszkom bez powiązań rodzinnych i wsparcia ojców profesja kurtyzan dawała szansę na zdobycie bogactwa, statusu, sławy i względniego szacunku. Często już od dzieciństwa były przygotowywane do tej roli przez matki, które wcześniej same trudniły się nierządem, choć niekoniecznie na równie prestiżowym poziomie.

Taką właśnie ścieżkę przeszła Adrianna, wybranka bogatego patrycjusza Marca Dondola. Pochodziła z Friulu i nie miała w Wenecji żadnych krewnych poza matką. Ta utrzymywała, że jest stateczną wdową po żołnierzu, który oddał życie za Republikę św. Marka, choć w rzeczywistości był raczej skazańcem przykutym do wiosła galery. Kiedy została sama z córką, najmowała się na służbę, z trudem wiążąc koniec z końcem. Wcześniej zaczęła wprowadzać dziewczynkę w arkana najstarszej profesji świata. Adrianna straciła dziewictwo w wieku 13 lat i odtąd brała licznych kochanków, stopniowo budując reputację kurtyzany.

Kiedy wychodziła za mąż za Marca Dondola, miała już 23 lata, co w tej profesji stanowiło dość zaawansowany wiek. Kariery kurtyzan nie trwały długo. Po ich zakończeniu niektóre nawet bardzo popularne niegdyś damy musiały się mierzyć z ubóstwem. U szczytu kariery prowadziły życie na bardzo wysokiej stopie i dużo wydawały, by podtrzymać swój publiczny wizerunek, musiały więc rozsądnie gospodarować pieniędzmi, by się zabezpieczyć na przyszłość. Niektóre inwestowały w nieruchomości. Inne przyrzucały do zawodu córki lub przygarniały osierocone dziew-

czynki, by potem zostać ich sutenerkami. Adrianna jednak już przed poznaniem Marca Dondola rozglądała się za jakimś zamożnym mężczyzną dobrego rodu, który byłby gotów ją poślubić.

NIEBEZPIECZNA MAGIA MIŁOŚCI

Starzejący się – czyli czterdziestoparoletni – Machiavelli gderał, że miłość, oczywiście nie do żony, zagraża wszystkiemu, co ceni: rodzinie, majątkowi i całej jego tożsamości. W rzeczywistości pozamałżeńskie związki nie przysporzyły mu większych kłopotów, w przeciwieństwie do republikańskich sympatii. Ale Machiavelli nigdy nie rzucił wyzwania społecznym normom w tak otwarty sposób jak Marco Dondolo, który nie tylko zakochał się w kurtyzanie, ale na dodatek ją poślubił.



• **Obraz Vittore Carpaccio datowany na 1490-95, znany pod dwoma tytułami „Dwie weneckanki” albo „Kurtyzany”**

FOT. MUSEO CORRER, WENECJA

Kiedy Marco poznał Adriannę, był już dorosły. Rodzice odumarli go na długo wcześniej i mógł postępować zgodnie ze swoją wolą. Jednakże gdy tylko wieść o skandalicznym małżeństwie z kurtyzaną się rozeszła, jego krewni spieszenie je zakwestionowali, mimo że zostało zawarte w kościele w obecności księdza i świadków. Twierdzili, że jest nieważne, ponieważ Marco został do niego zmuszony czarami. Następnie sięgnęli po dość tradycyjną broń przeciwko nieodpowiednim narzeczonym: oskarżyli Adriannę i jej matkę przed trybunałem inkwizycyjnym o stosowanie magii miłosnej.

W tamtych czasach weneckie plebejuszki powszechnie uciekały się do rozmaitych form magii, zaś tamtejsza inkwizycja z pozbawieniem przyjmowała takie zabobony i nie skazywała za nie na śmierć. Niemniej oskarżenie o czary było niebezpieczne, czego doświadczyło kilka kurtyzan, łącznie z wielką Veronicą Franco. Wystawiało na szwank reputację i mogło doprowadzić do skazania i na przykład publicznej, hańbiącej chłosty.

Na początku Adriannę uwięziono, acz w przyzwoitych warunkach. Dostała do dyspozycji kilka izb i kuchnię, pozwolono jej zatrzymać służącego. Przyjmowała nawet gości, wśród nich wpływowych protektorów, których ani chybi zapewniała o swojej niewinności i prosiła o wstawienie.

Tymczasem świadkowie potwierdzili przed inkwizycją, że Adrianna kupiła od jakiejś greckiej czarownicy napój miłosny i uciekała się do praktyk magicznych, by zapewnić sobie miłość, ale działało się to już jakiś czas temu i dotyczyło zupełnie innych mężczyzn, nie Marca. Ujawnił się również jeden z jej byłych kochanków, może

przekupiony przez krewnych patrycjusza. Oznajmiał, że znacznie wcześniej obiecali sobie z Adrianną małżeństwo „w oczach Boga”, więc to on jest jej prawowitym mężem, a nie Marco Dondolo.

WYŚMIANA, KRUCHA MĘSKOŚĆ

Adrianna należała do najsłynniejszych weneckich kurtyzan swoich czasów. Mimo że przyszła na świat w ubogiej rodzinie spoza miasta, została wyrafinowaną wenecką damą, podziwianą i pożądaną. Świadkowie opowiadali w śledztwie, że zalotnicy szaleli z nienaturalnej wręcz miłości do niej i desperacko zabiegali o jej względy. Jak wiele wpływowych kurtyzan, dorobiła się nie tylko potężnych protektorów, ale i wrogów.

Była bowiem dobrem luksusowym i dbając o swój status, starannie wybierała kochanków. Podczas procesu zawiedzeni w swoich nadziejach zalotnicy mieli wreszcie okazję się zemścić.

Wielu współczesnych drażniło, że renesansowe kurtyzany odwracają tradycyjne zasady i hierarchie. Zazwyczaj to mężczyźni wybierali kobiety zarówno na rynku matrymonialnym, jak i rynku płatnej miłości. Kurtyzany jednak uzurpowały sobie władzę nad męskim pożądaniem i reglamentowały swoje wdzięki, a publiczne odrzucenie stawiało pod znakiem zapytania status i męskość wzgardzonych mężczyzn. W 1526 roku pewien młody wenecki patrycjusz nieopatrznie pozwał słynną florencką kurtyzanę Giulianę Neapolitanę, której zapłacił złotem za spędzenie z nim nocy. Kiedy do niego nie przyszła, zirytowany wybrał się do niej i zażądał publicznie wypełnienia umowy. Giuliana tylko wyśmiała go w obecności swoich zalotników. Przed sądem stawiała się ze swą 150 mężczyzn i nadal wyszydzała weneckiego prostaka nierozumiejącego zasad elitarnej gry w płatną miłość. Na dodatek sędzia też go wykpił i oddalił pozew.

Mimo takich okazjonalnych triumfów pozycja kurtyzany pozostawała niezmiennie krucha i w dużej mierze zależała od wpływowych protektorów. Adrianna i koleżanki po fachu budziły zarówno pożądanie, jak i potępienie, w zależności od kontekstu okazywano im albo podziw, albo pogardę. W jednej chwili wielbiona jako dama, w niesprzyjających okolicznościach kurtyzana szybko stawała się fałszywą sprzedawcą dziwki, która nie zasługuje na lepsze traktowanie niż dziewczęta wypatrające klientów na ulicach.

WYSTRZEGAJCIE SIĘ LITERATÓW!

W procesie Adrianny inicjatywę przejęli jej wrogowie. Świadkowie odwoływali się do niezmiennie popularnego stereotypu chciwej ladałaczki, przedstawiając ją jako zwycajną, zachłanną dziwkę, która bezlitośnie wykorzystwała łatwowiernego młodzieńca. Właśnie taki wizerunek kurtyzan budowała obszerna współczesna literatura satyryczna, ze słynnymi dialogami Pietra Aretina na czele. Starzejąca się kurtyzana Nanna uczy w nich swą córkę Pippe, jak monetyzować męskie pożądanie i kobiece ciało.

Aretino nie opiewał literackich czy muzycznych talentów kurtyzan. Jego bohaterki bez skrupułów kłamią i wykorzystują męską słabość, są okrutne, chciwe i samolubne. Nawet kiedy w liście chwalił jedną z najsłynniejszych weneckich kurtyzan, Angelę Zaffettę, pisząc, że „nakłada maskę przyzwoitości na twarz pożądania”, jest dyskretna, mądra, piękna, nie zdradza ani nie popycha mężczyzn do zazdrości, nie plotkuje, nie kłamie, nie zazdrości i nie jest podejrzliwa – w gruncie rzeczy zarzucał jej, że postępuje wbrew zasadom swojego fachu.

Co znamienne, Aretino ustami Nanny ostrzegał Pippe, żeby nigdy nie brała na klienta literata, ponieważ ci, jeśli zostaną odrzuceni, piszą straszliwe rzeczy o ko-

bietach. Słusznie. Humanistyczni twórcy wielokrotnie sięgali po pióro, by poniżyć i wyszydzać kurtyzany w obronie przywilejów swojej płci i stanu. Nawet komplementowana przez Aretina Angelę Zaffettę stała się w 1531 roku bohaterką utworu Lorenza Verniera, w którym ordynarnie opisał gwałt zbiorowy popełniony na niej jakoby przez 80 wieśniaków, rybaków, gondolierów i innych plebejuszy. Jak pisał, został kiedyś odrzucony przez pewną kurtyzanę.

Los Angeli, którą szkalował, przedstawiał więc jako przestrożę dla wszystkich kurtyzan, które ośmielią się wzgardzić wysoko urodzonym kochankiem. „Jeśli mężczyzna chce się pieprzyć – doradzał im – myślcie o Angeli i jej niesławie, zgadzając się, oddacie bowiem mężczyźnie cześć, a to jest, moje drogie kurwy, droga do sukcesu”. Z kolei Maffio Vernier umniejszał literacki sukces słynnej Veroniki Franco, beczere-monialnie nazywał ją unikatową ladałaczką i wytykał jej rzekome braki urody, ciało pokryte syfilitycznymi wrzodami i piersi tak obwisłe, że „mogłaby nimi wiosłować w gondoli”.

DOBRE RADY KRÓLOWEJ KURTYZAN

Na szczęście Adrianna oprócz wrogów miała też ustosunkowanych przyjaciół. Zapewne dzięki ich protekcji niebawem wyszła z więzienia. Wenecki patriarcha orzekł jednak, że jej małżeństwo z Markiem nie zostało zawarte, i nakazał im się rozstać.

Młodzi wszakże się zbuntowali i uciekli do Padwy. Tam dzięki pieniądзом Marca żyli wygodnie jako mąż i żona, okazując sobie demonstracyjnie miłość i równie demonstracyjnie lekceważąc prawo kanoniczne oraz weneckie władze. Zlekceważyli nawet trybunał inkwizycyjny, kiedy wezwał Adriannę na przesłuchanie. Zirytowani inkwizytorzy wysłali więc pacholków, by pojмали oskarżoną o czary i sprowadzili ją do miasta. Kochanków przydybano – jak w operetce – w łóżku. Marco zdołał jednak odwrócić uwagę napastników i rycersko umożliwił Adriannie ucieczkę. Do Wenecji doprowadzono tylko jego.

Podczas przesłuchania stanowczo zaprzeczył, jakoby zastosowano wobec niego magię miłosną. Po prostu zawsze kochał Adriannę, więc ją poślubił. Ostatecznie nie jest to niezgodne z prawem.

Odmówił również wyjawienia miejsca pobytu żony. Jako bogaty patrycjusz ze starego rodu nie obawiał się przesadnie inkwizycji, zresztą jego o nic nie oskarżano. Posunął się nawet do pogroźki, że złoży skargę do papieża, ponieważ całe to śledztwo jest prowadzone nieprawidłowo, z poduszczenia zazdrośników i na podstawie zwyczajnych plotek.

W rok później sprawę przeciwko Adriannie oddalono. Nikogo nie ukarano. Oboje z Markiem zniknęli ze źródeł. Możliwe, że po prostu cieszyli się wspólnym życiem, którego Aleksander Dumas poskąpił swojej bohaterce.

Tymczasem epoka wielkich renesansowych kurtyzan z wolna dobiegła kresu. Niebawem ich obraz zaczęto mitologizować, czyniąc z nich a to niewiasty nowoczesne i wyzwolone seksualnie, a to sawantki w czasach, gdy intelekt nie należał do cech najbardziej cenionych u kobiet.

Znacznie prawdziwszy obraz tej profesji nakreśliła Veronica Franco, królowa weneckich kurtyzan, która twierdziła, że z powodu braku męskiej opieki i ubóstwa kobiety są zmuszane do robienia rzeczy, których w każdych innych okolicznościach chciałyby uniknąć, a w liście radziła koleżance po fachu, by chroniła dziewictwo córki jako jedyne dobro, które można wymienić na godziwe małżeństwo. Nie wychowuj jej do profesji, apelowała, w której kobieta tak łatwo może zostać zniszczona, obrabowana, zabita czy wreszcie jednego dnia pozbawioną wszystkiego, co wśród tak wielu niebezpieczeństw zdołała zgromadzić. ●



POLSKA SZAFA w ukraińskiej chacie

Mamy korzenie
w tej samej wsi na Wołyniu.
Te same historie wojenne
słyszeliśmy z dwóch stron.

Elżbieta Kwiecińska, Petro Dolhanow



• Elżbieta Kwiecińska i Petro Dolhanow w Zielonym Dębie w sierpniu 2024. Na górze: krzyż w Kątach (ukr. Kuty) postawiony przez mieszkańców na miejscu spalonego kościoła katolickiego. Powyżej: płyta przy sklepie w Zielonym Dębie z nazwiskami rodzin Wereszczyńskich, Jasińskich i Krasickich, ofiar ukraińskich nacjonalistów i nieczynny sklep, obok którego pocho-
wano zamordowanych Polaków FOT. AUTORZY TEKSTU





Przelom lipca i sierpnia 2023, Międzynarodowe Centrum Dialogu im. Czesława Miłosza w Krasnogrudzie na granicy polsko-litewskiej. Kończymy przedstawianie się uczestników seminarium. Opuszczamy salę nazwaną „Powroty”. Zaczynamy small talk, po ukraińsku:

Elżbieta: – Słyszałam, że jesteś z Wołynia.

Petro: – Tak, z malej wioski na Wołyniu, pewnie nie wiesz.

– A z której konkretnie? Moi przodkowie pochodzili stamtąd.

– Zielony Dąb, w pobliżu znajdowały się: Ruska Huta, Hurby, Mosty, obecnie w obwodzie rówieńskim.

– Moi też. Moja babcia pochodzi ze Starej Huty, nieistniejącej polskiej wsi obok.

– Tak, moja babcia też urodziła się w tym rejonie, całe życie spędziła, opowiadając o wydarzeniach wojennych.

– Moja babcia Stanisława Kwiecińska, z domu Jeleńkowska, urodziła się na Wołyniu w 1929 roku. Część rodziny uciekła do Polski w 1943 roku, reszta została pochowana w zbiorowej mogile w Zielonym Dębnie.

– Mówisz o tym grobie za wiejskim sklepem?

– Tak, to ten. Czy wyślesz mi zdjęcie nagrobka? Pokażę babci i tacie. Ostatni raz byliśmy tam w 2010 roku. Miło, że ktoś pamięta.

– Byłem tam niedawno. Zdjęcie jest trochę nieostre, ale oczywiście wyślę.

Wymieniamy się materiałami. Petro przesyła mi nagrania wspomnień swojej babci, a ja jemu spisane wspomnienia mojej. Rozmawiamy potem kilka godzin, zapominając o trwającym właśnie seminarium poświęconym książce Timothy’ego Snydera „O wolności”.

Potem dzielę się rodzinną historią o Ukraince, która uratowała polskiego chłopca podczas rzezi wołyńskiej w 1943 roku w Zielonym Dębnie. Według słów ocalonego Jana Wereszczyńskiego brzmiała tak:

„Trzeba było jak najszybciej opuścić ten teren. By zdobyć trochę żywności, postanowiłem udać się do Krysti, żony Huka Syły. Ta, gdy mnie zobaczyła, rozczuliła się niemal i zaciągnęła mnie do swego domu, zapewniając, że swoich bać się nie należy. Oznaczało to, że obcych w domu nie ma. Ale gdy Ukrainka przygotowywała coś do jedzenia, usłyszałem z przyległego pokoju przyciszoną rozmowę, a za moment wypowiedziane męskim głosem zdanie: »Musisz to zrobić, to rozkaz!«. Chciałem skakać przez okno, ale zmieszana kobieta zasłoniła mnie sobą i przeprowadziła przez pokój przejściowy do kuchni, potem owiniętego jej zapaską doprowadziła poza stajnię i szepnęła: »wtikaj!«. Jeszcze idąc przez pokój, słyszałem szczęknięcie zamka od karabinu i teraz, gdy ruszyłem wózem w kierunku »Pasieki« i odbiegłem spory kawałek drogi, zobaczyłem z ukrycia, jak chyba sąsiad Sawatia biega poza stajnię i rozgląda się, czy mnie gdzieś nie dojrzy”.

Chrystia Huk to prababcia Petra, która uratowała Jana Wereszczyńskiego, dalekiego krewnego Eli od strony ojca (brat cioteczny babci Stanisławy). Sawatia to brat dziadka Petra, który chciał zabić Jana.

3 lipca 1943 roku w Zielonym Dębnie partyzanci UPA spalili w stodole 38 Polaków. Po tym, jak doszliśmy do tego, że oboje słyszeliśmy tę samą historię od naszych dziadków, obiecujemy sobie napisać kiedyś wspólny tekst. Oprócz Jana przeżył także drugi mały chłopiec z rodziny, Ambroży Wereszczyński. Ze wspomnień Jana i Ambrożego, Stanisławy Kwiecińskiej, czyli babci Eli, oraz Antoniny Huk, babci Petra,



• **Babcia Petra Antonina Huk z mężem w drugiej połowie lat 40.**

FOT. ARCHIWUM RODZINNE

dowiadujemy się, w jaki sposób nasze rodzinne historie składają się jak puzzle.

SYNU, JUŻ PRZEPADŁEŚ!

Elżbieta: – Kolejnego lata postanowiliśmy się spotkać. Ponieważ Petro jest w wieku poborowym, przyjechałam w sierpniu 2024 do Równego. Zatrzymałam się u cioci Petra, u której na kuchni w większości pisaliśmy ten tekst.

Petro: – Dla lepszego zrozumienia naszych opowieści rodzinnych warto przytoczyć kontekst historyczny. Latem 1941 roku Zielony Dąb znalazł się pod okupacją niemiecką, lecz brak informacji o tym, że Niemcy choć raz byli we wsi w tym czasie. Realną władzę pełniła ukraińska policja pomocnicza, której komendantury tworzone od lipca 1941 roku w okolicznych wsiach. Od zimy – wczesnej wiosny 1943 roku rozpoczynają działania oddziały UPA, które składały się z części byłych oficerów policji pomocniczej. W marcu 1943 roku Niemcy zatrzymali większość funkcjonariuszy policji pomocniczej pochodzenia ukraińskiego i zastąpili ich Polacy.

Elżbieta: – Według wspomnień Jana Wereszczyńskiego strach i dystans między polskimi i ukraińskimi sąsiadami w Zielonym Dębnie pojawił się, gdy zaczęto tworzyć UPA. Wtedy ukraińscy sąsiedzi zaczęli ich unikać. Dlaczego rodzina Jana nie zdecydowała się na ucieczkę?

Jan przywołuje tłumaczenia ojca: „Jesteśmy przeciw wśród swoich, tyle lat łączyła nas zażyłość, krzywdy nikomu nie wyrządziliśmy, bez powodu nic więc nam nie zrobią”.

Na wszelki wypadek jego rodzice wybudowali schron pod ubikacją w ogrodzie, który pozwolił Wereszczyńskim przetrwać

pierwszą falę mordów podczas Wielkanocy 1943 roku. Według Jana przestrogi przed napadami UPA przekazywali im ukraińscy sąsiedzi, czyli możliwe, że była to prababcia Petra – Chrystia. Schron pod toaletą chronił rodzinę aż do lipca.

Petro: – Moja babcia opowiada przede wszystkim o przemocy i niesprawiedliwości, których doznała nie ze strony Niemców, ale ze strony „swoich” – Ukraińców, czasami ze strony Sowietów, ale znacznie częściej ze strony nacjonalistycznego podziemia. Jej brat Mykoła latem 1943 roku został zmobilizowany niedobrowolnie przez UPA. Babcia do tej pory przeżywa jego stratę:

„On był jeszcze młody, dziecko. Przywieźliśmy snopy do stodoły wozem, tata wkładał je do szopy, ja je wrzucałam, a Mykoła wysypywał je z wozu. Podchodzi do nas [mężczyzna] i mówi: »Mykoła, chłopcy cię wołają«. Idzie – skoro chłopcy wołają, to musi iść. Wrócił i powiedział: »Powiedzieli mi, żebym poszedł z nimi«. Tata zaczął płakać, mama zaczęła płakać: »Synu, już przepadłeś!«. A on odpowiada: »Jeśli przepadłem, to sam, a jeśli nie pójde, to cała rodzina przepadnie«. Cała rodzina zginie, bo banderowcy go uduszą i pobiją, a także nas, za to, że nie poszliśmy walczyć za Ukrainę. Więc poszedł i walczył. Niemcy spalili Załuże i przygotowali tam zasadzkę. Mój brat został tam ranny i... [potem] został zabity w Szumsku”.

ANTOSZKA I MYKOŁA

Latem 1943 roku w Zielonym Dębnie i okolicznych wioskach doszło do okrutnych morderstw.

Babcia Antonina Huk: „W Zielonym Dębnie stała stodoła i spędzili wszystkich

Polaków do tej stodoły, i podpalili ją. Spalili się Polacy w tej stodole i pochowali ich tam obok sklepu, gdzie teraz stoi pomnik. Postawili go jacyś Polacy”.

Niektórym udało się uciec: część ukrywała się na własną rękę, innym pomogli ukraińscy sąsiedzi. Pewną Polkę z dwójką dzieci ukryła rodzina mojej babci.

Antonina Huk: „Polacy mieszkali blisko nas. Gdy zaczęli ich bić, uciekali, gdziekolwiek mogli. Była taka kobieta – tam, gdzie stoi nasz dom na Zielonym Dębnie, stał kiedyś jej dom. Nazywała się Antoszka, tak jak ja. Miała jedną córkę, taką jak ja, a druga była mała i miała okropny kaszel (mówili, że to krztusiec). A nie mogła nigdzie z nią nocować, nigdzie na zewnątrz, bo gdyby dziewczynka zakaszlała, banderowcy by ją usłyszeli i zabili. Więc spędziła noc u nas z tym dzieckiem. A moi rodzice jej powiedzieli: »Powinnaś jakoś dotrzeć do Szumska, bo tu mogą cię zabić«. I pewnej nocy, biedactwo, wyniosła się do Szumska”.

Petro: – Ze wspomnień Ambrożego Wereszczyńskiego (krewnego Elżbiety) dowiedziałem się, że mord w Zielonym Dębnie przeżyły jego kuzynka Antonina Jasińska, a także pani Krajewska i jej dwójka dzieci. Antonina często chodziła do ukraińskich przyjaciół po mleko dla dzieci pani Krajewskiej. Być może o nich opowiadają wspomnienia mojej babci, która również wspomina imię Antoszka, czyli Antonina. Kobieta, która przechowywała się razem z córkami w rodzinie mojej babci Antoniny Huk, przeniosła się do sąsiedniego miasteczka. Potem była świadkiem, jak pod wsią Załuże w Szumsku rozstrzelano brata mojej babci Mykołę Woźniuka. Wdzięczna za poprzednią pomoc polska sąsiadka poinformowała rodzinę Woźniuków o tym, gdzie zginął ich syn, i pokazała im grób, żeby mogli go pochować w obrządku prawosławnym:

„Gdy mojego brata zabrali banderowcy i potem jego ranili Niemcy (gdy palili wieś Załuże), to jego zabrali do Szumska, on wykopał dla siebie dół i jego tam zastrzelili i zakopali. A ta kobieta mieszała po sąsiedzku i to wszystko widziała. Więc ona przekazuje: »Powiedz Matwijowi, niechaj weźmie niecki i przyjdzie do mnie«. A ona chciała powiedzieć, żeby wziąć trumnę, ale bała się tak powiedzieć, więc powiedziała »niecki«. Wtedy był taki czas, że jak wyjdiesz, to z powrotem nie przyjdiesz. Jak pojedziesz do miasta, to zajądą drogę na polu i powieszą. Bo tak było z trzema chłopcami. Trzech chłopców pojechało do Szumska wyrobić dokumenty, żeby poruszać się swobodnie, a tam zastrzelili ich i wszystkich trzech powiesili. Więc wtedy nie można było jechać do Szumska – baliśmy się, więc tato nie pojechał i nie zabrał [ciała] syna”.

Ze wspomnień Ambrożego Wereszczyńskiego dowiedziałem się, że Mykoła Woźniuk najprawdopodobniej nie trafił w zasadzkę, gdy „Niemcy palili Załuże”, jak opowiadała babcia. Według Ambrożego partyzanci UPA napadli na Załuże i podpalili domy, a polska samoobrona z Szumska przybyła im na pomoc. Wywiązała się potyczka, podczas której Mykoła został ranny, znalazł się w niewoli i został rozstrzelany. Mogła tego dokonać samoobrona. Dlatego polska sąsiadka tak dobrze wiedziała, gdzie dokładnie zabito Mykołę z rodziny Woźniuków, która jej wcześniej pomagała.

DWIE POLSKIE SZAFY

Kilkoro innych Polaków, mężczyzn i kobiet, którzy przeżyli i ukrywali się w pobliżu, mieli mniej szczęścia od Jana Wereszczyńskiego. Zostali znaleźieni i zabici. Babcia Antonina opowiada o jednym z mordów, do którego doszło niedaleko ich podwórka: „Pewien Polak wspiął się na lipę w naszym ogrodzie. Myślał, że się ukryje. Znaleźli go na tej lipie i zabili”.

Elżbieta: – Polak, który zginął pod lipą, to prawdopodobnie Łukasz Wereszczyński-

ski, sąsiad i krewny Ambrożego, który tak wspomina jego śmierć:

„Na moment rzucam okiem w stronę dochodzącego huków wystrzałów i widzę uciekającego starszego człowieka, naszego kuzyna Łukasza Wereszczyńskiego oraz goniących go banderowców, którzy ostrze-liwują jego, a przy tym i mnie, bo uciekał właśnie dokładnie w moim kierunku. Ja szczęśliwie oddaliłem się na w miarę bezpieczną odległość i położyłem w zbo-żu, bo byłem ogromnie zmęczony. Jak się później okazało, ten biedny Łukasz, będąc potwornie zmęczony, upadł, a banderowcy zamordowali go w tym miejscu”.

Petro: – Najwyraźniej nacjonalistyczne podziemie wydało swoim zwolennikom w Zielonym Dębnie rozkaz, aby wytropili i albo zabili, albo wydali im polskich sąsia-dów, którzy przeżyli. Jednym z tych, którzy musieli wykonać ten rozkaz, był brat moje-go dziadka Petra Sawatij Huk, którego ofiarą omal nie padł Jan Wereszczyński, gdy za-trzymał się u mojej prababci Chrystyny Huk. Prawdopodobnie nigdy się nie dowiemy, czy Chrystyna uratowała Jana przed morder-stwem, czy też jej syna Sawatija, który mógł zostać mordercą. W rodzinie mojej babci był poległy żołnierz i przywódca UPA zapro-ponowali jej materialną rekompensatę za jego śmierć. Odkryło się to kosztem dobytku pozostawionego przez zamordowanych Po-laków z sąsiedniej wsi Kamyki i tych, którzy uciekli. Niedawno, po sprzedaży mojego domu rodzinnego w Zielonym Dębnie, znów zapytałem babcię o II wojnę światową. Wy-wiązała się między nami rozmowa:

„– A co jeszcze zabrali? Jakież rzeczy może oprócz zwierząt domowych?
– No jakie tam rzeczy?
– Żadnych takich szaf, niczego takiego?
– Szafy przywiózł, dwie szafy.
– A gdzie one były?
– No były polskie te szafy, to on je wziął, tam u dziadka Matwija [tato opowiadają-cej] stały. A potem, jak wyszłam za męż, to mnie dali jedną szafę.
– A gdzie ona – ta szafa, co ci dali? Czy była ona w twojej nowej chacie?
– Była. Nie wiem gdzie.
– A gdzie stała – w przedpokoju czy na wielkiej chacie? [salon, pokój dla gości]
– Na wielkiej chacie stała.
– Po prawej czy po lewej stronie od wej-ścia?
– ...drzwi na wielką chatę i tam po pra-wej stronie stała ta szafa”.

SKLEP NA MOGILE

Petro: – W okresie radzieckim Zielony Dąb stał się wyłącznie ukraińską wsią. Na miejscu mordu Polaków władza radziecka zbudowa-ła sklep. Ludzie kupowali tu artykuły spożyw-cze i narzędzia, pili alkohol. Masowy grób przeobraził się w miejsce handlu i rozrywki. Dopiero pod koniec lat 90. pojawił się tu po-mnik z nazwiskami trzech polskich rodzin: Wereszczyńskich, Jasińskich i Krasickich.

Elżbieta: – Pomnik powstał jeszcze w czasach mojego dzieciństwa z inicjatywy ocalałych ze zbrodni braci Jana i Ambrożego Wereszczyńskich oraz mojego wujka – brata babci Jerzego Jeleńkowskiego. Ze względu na stojący na działce sklep i zmienioną po prawie 50 latach rzeźbę terenu trudno było określić położenie grobu. Przy pierwszej próbie mylnie przekopano sad. Żaden z przy-glądających się ekshumacji mieszkańców Zielonego Dębu nie odważył się wskazać, gdzie leżą ludzkie szczątki. Dopiero za dru-gim podejściem udało się znaleźć, za sprawą Jana Wereszczyńskiego, który po wojnie pracował jako lekarz w Tarnobrzegu.

Jego brat Ambroży wspominał: „W 1997 roku został on [Jan] poproszony i przewieziony do Zielonego Dębu przez sy-na ukraińskiej sąsiadki sprzed wojny, która ciężko zachorowała, prosząc o pomoc. Brat zbadał ją, postarał się o potrzebne leki i dzięki temu ona się przełamała, nakazu-jąc synowi w nocy bez świadków wskazać miejsce grobu, i tak się stało”.

Antonina Huk: Polacy mieszkali blisko nas. Gdy zaczęli ich bić, uciekali, gdziekolwiek mogli. Była taka kobieta – tam, gdzie stoi nasz dom, stał kiedyś jej dom. Nazywała się Antoszka, tak jak ja

Zgodnie z ustaleniami ze stroną ukraiń-ską na płycie znalazł się wygrawerowany krzyż i informacja po polsku i ukraińsku:

„Tu spoczywają członkowie rodziny Wereszczyńskich, Jasińskich, Krasickich. Zginęli śmiercią tragiczną 3.07.1943 r.”.

Fraza „śmierć tragiczną” bez wskazania odpowiedzialnych za mord w kontekście sto-jącego obok sklepu brzmi, jakby w ten sklep uderzył piorun i zabił jego klientów i biesiad-ników, a nie jak celowe morderstwo...

WYRWIJMY CHWASTY NIEPAMIĘCI

Latem 2024 roku pojechaliśmy razem na wycieczkę śladami rodzinnych korzeni. Petro wypożyczył samochód, załadowali-smy go zniczami, kwiatami i sprzętem do czyszczenia nagrobków.

Petro: – Podróż do Zielonego Dębu przez bezdroża nie była prosta. Jednak udało nam się dotrzeć do mojego domu i sklepu, za którym postawiono pomnik upamięt-niający pomordowanych. We wsi niemal nikt się nie ostał, sklep jest nieczynny, wokół chwasty. Trochę uporządkowaliśmy teren wokół pomnika.

Elżbieta: – W miejscu spalonego domu moich prapradziadków Petro pomógł mi zasadzić kwiatki (ziemia była twarda), wyczyściliśmy grób, zapaliliśmy znicze. „Dawaj, wyrwiemy chwasty niepamięci!” – rzucił Petro. Wyrwaliśmy je rękami. Zmó-wiłam krótką modlitwę, usiedliśmy obok siebie na murku i gapiliśmy się na tę płytę nagrobną w dwóch językach.

Potem poszliśmy napić się wody, stud-nia była polska, przedwojenna, w środku był napis 1934 rok. Petro pokazał mi resztę wsi, w tym swój dom rodzinny zbudowany na zgłiszczach przedwojennego polskie-go domostwa.

Z Zielonego Dębu pojechaliśmy do Kątów (ukr. Kutry) i Starej Huty, wsi rodzinnej mojej babci Stasi. W Kątach stoi zadbane krzyż na miejscu spalonego polskiego kościoła katolickiego, postawili go mieszkańcy

Natomiast w Starej Hucie jedynym śladem świadczącym o polskiej przeszłości są resztki sadów owocowych, które w dziwny sposób rosną pośrodku zagajników i lasu. Żadnego pomnika czy upamiętnienia. Kwiatki zasadzi-liliśmy pod którąś z jabłonek, a znicze zapalili-smy w Kątach przy krzyżu upamiętniającym dawny kościół. Tuż obok tablicy z fotografią miejscowego młodego żołnierza, który zagi-nął w walce z Rosją po lutym 2022 roku. Tam postawiliśmy nasz ostatni znicz.

Po powrocie do Polski dałam tacie prezent na 65. urodziny – butelkę wody z polskiej studni w Zielonym Dębnie.

Jestem wdzięczna Petrowi, który mnie tam zabrał. Na pewno nie było to dla niego łatwe. ●



• Stanisława Kwiecińska, babcia Elżbiety, w 1951 roku w wieku 22 lat

FOT. ARCHIWUM RODZINNE

Dr Elżbieta Kwiecińska

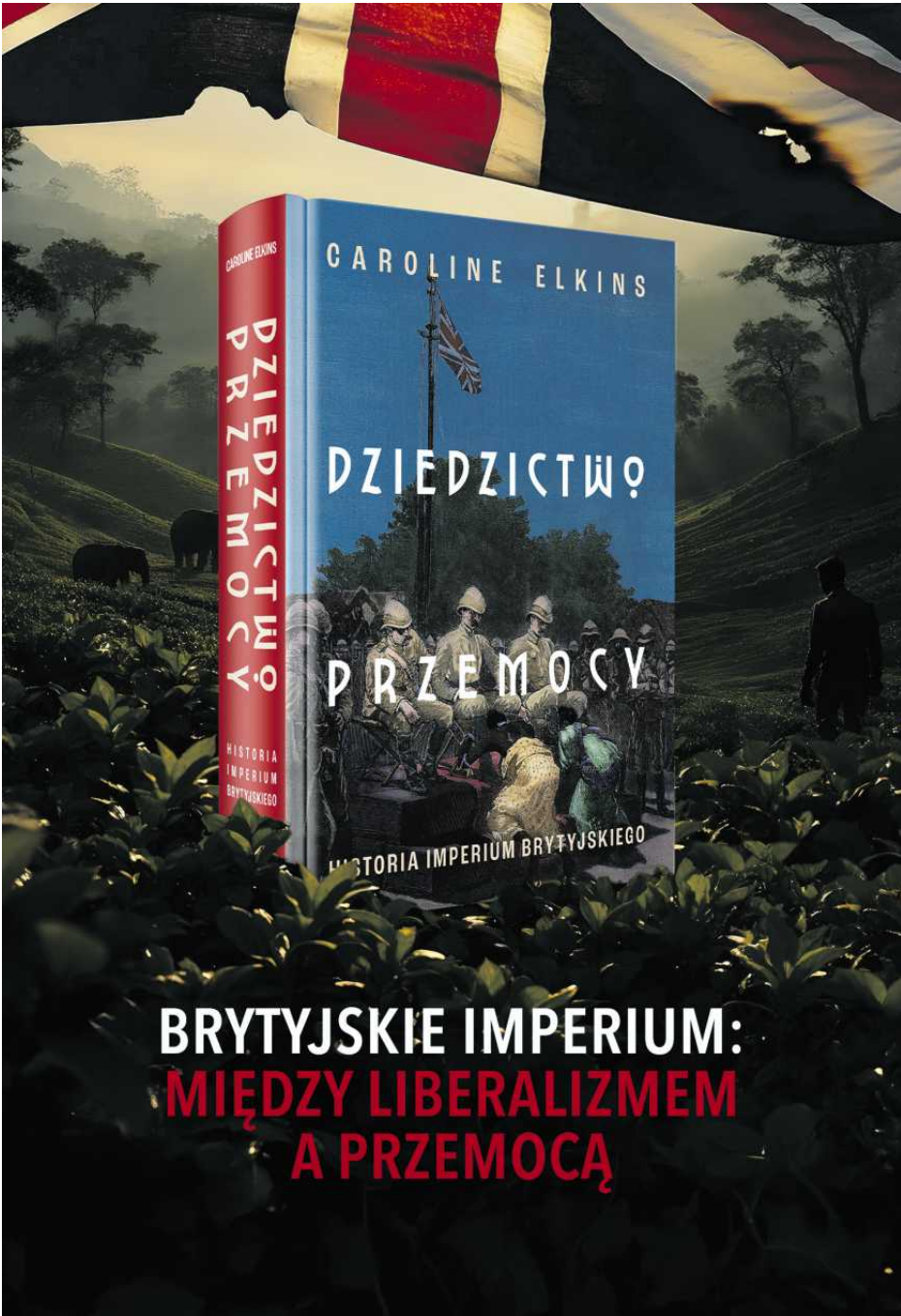
• Historyczka i socjolożka, pracuje w Insty-tucie Slawistyki Polskiej Akademii Nauk oraz na Ukraińskim Uniwersytecie Lata-jącym (Invisible University for Ukraine) na Uniwersytecie Środkowoeuropejskim w Budapeszcie/Wiedniu. Doktorat z historii obroniła na Europejskim Instytucie Uniwer-syteckim we Florencji

Dr Petro Dolhanow

• Historyk i menedżer projektów edukacyj-nych, współpracownik naukowy Centrum Historii Współczesnej im. Mykoły Hajewoho na Ukraińskim Katolickim Uniwersytecie we Lwowie i redaktor działu przewyści-żyć przeszłość (Подолання минулого) w czasopiśmie „Ukraina Moderna” <https://uamoderna.com/>

REKLAMA

34372759

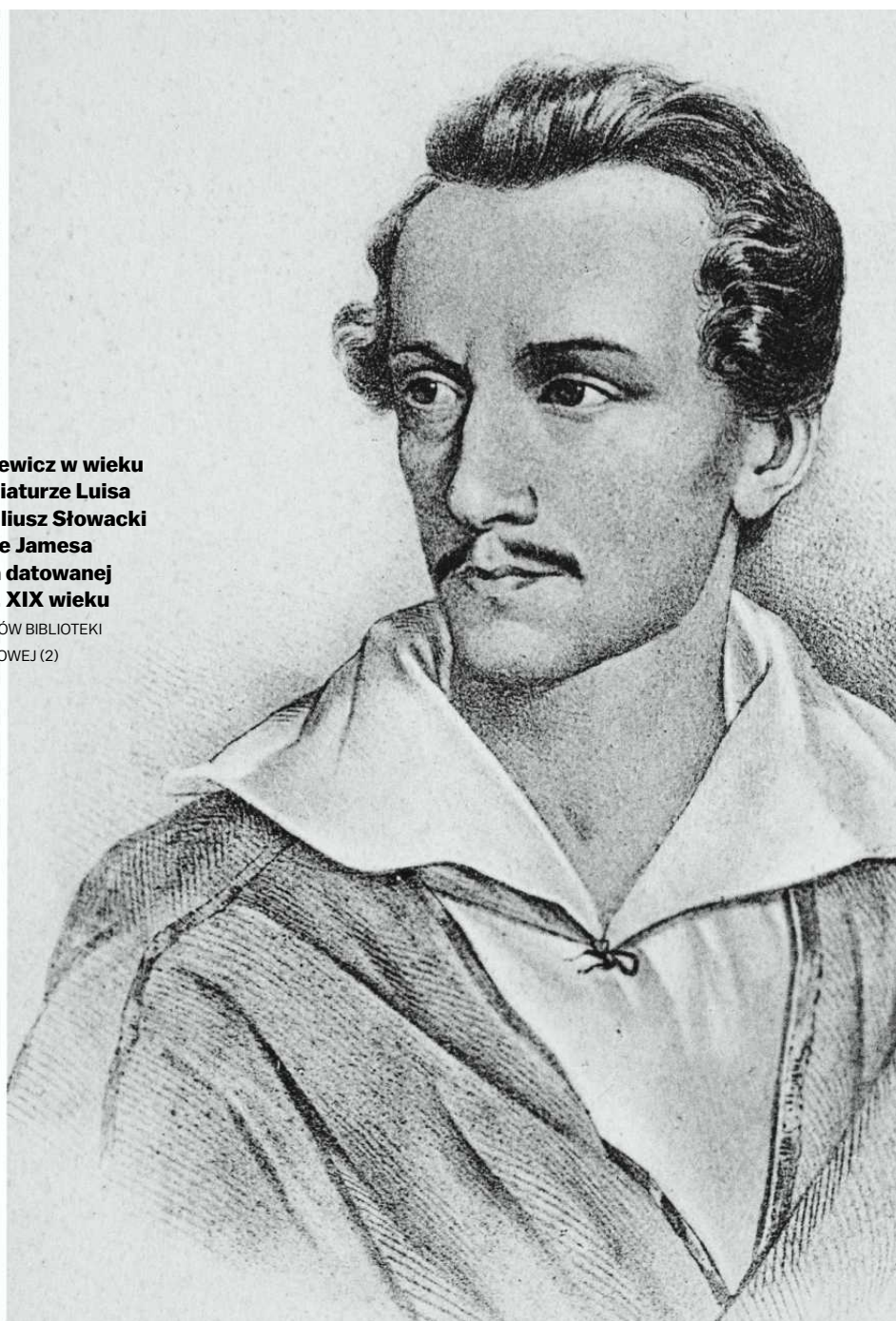


BRYTYJSKIE IMPERIUM:
MIĘDZY LIBERALIZMEM
A PRZEMOCĄ



• Adam Mickiewicz w wieku 27 lat na miniaturze Luisa de Viviena i Juliusz Słowacki na rycinie Jamesa Hopwooda datowanej na lata 40. XIX wieku

FOT. ZE ZBIORÓW BIBLIOTEKI
NARODOWEJ (2)



Wieszcz u dentysty

Słowacki wyrywanie zęba traktował jako próbę charakteru: „Mamo! Jak się Julek odmienił – wszak pamiętasz, jak kiedyś płakał”, pisał w liście. Mickiewicz ciągle zgrzytał zębami.

Wojciech Szot

Badacze i badaczki już od dwóch stuleci rozpisują się o wzajemnych relacjach Mickiewicza i Słowackiego. Pisano o ich romansach, pobytach w Szwajcarii, porównywano to, jak pisali o Rosji. Ale nigdy jeszcze nie pisano o ich uzębieniu.

Przyjrzenie się fizyczności obu poetów – jak udowadnia w brawurowej „Dentomachii” Michał Nikodem – może dać zaskakujące wnioski, jak choćby ten, że uważany za filigranowego Słowacki był wyższy od autora „Pana Tadeusza”.

Kto jednak cierpiał katusze z powodu bólu zębów?

KONFRONTACJA NA SZCZĘKI

Słowacki miał 13 lat, gdy pierwszy raz spotkał Mickiewicza. W czerwcu 1822 roku opromieniony sukcesem „Ody do młodo-

ści” poeta odwiedził salon, który w Wilnie prowadziła matka Juliusza. Przyszły autor „Kordiana”, opisywany przez ówczesnych jako „malec o dużych, czarnych, palających oczach” z nieodłącznym „pierwiastkiem pychy”, miał być świadkiem starcia między Mickiewiczem a Janem Śniadeckim.

Śniadecki, astronom i krytyk poezji romantycznej, był pierwowzorem uczonego z ballady „Romantyczność”, w której Mickiewicz pisze, że wyżej ceni sobie „czucie i wiarę” niż „mędrca szkiełko i oko”.

Czy warto zatem – dwa stulecia po balladzie – zamiast zachwycać się poezjami naszych wieszczów, spoglądać na ich kościec przez szkiełko mędrca?

„Konfrontacja szczęk obu poetów” nie ma – jak pisze Nikodem – stawiać komicznych pytań w rodzaju tego, czy wielcy poeci się podgryzali albo warczeli na siebie. Jej cel jest wyższy: refleksja nad tym, jak znosili ból i brak zębów, co o nich mówili, pisali, myśleli.

Co zaskakujące – w XXI wieku nie jest wcale trudno zajrzeć poetom w zęby.

Mickiewicz pozostawił po sobie wiele zapisków, w których rozprawia o swoich problemach z uzębieniem. Po Słowackim zostały nie tylko – skromniejsze – listy, ale też dobrze sfotografowana czaszka.

CZASZKA SŁOWACKIEGO

Sfotografował ją – z niemal pełnym uzębieniem – niejaki pan Londyński. Był rok 1927, gdy na cmentarzu Montmartre dokonano ekshumacji szczątków wieszca. Znaleziono czaszkę, dwa piszczele i – jak opowiadał świadek, poeta Jan Lechoń – „masę brązowego prochu” oraz gigantyczną ilość włosów. „Było ich prawdopodobnie, jeśli można to tak ująć, o wiele za dużo” – pisał Jarosław Marek Rymkiewicz w poświęconym poecie eseistycznym kompendium „Słowacki. Encyklopedia”.

O tym, że włosy były „długie, cienkie, gęste, otaczały głowę, tworząc bogate pukle barwy szatyn”, dowiadujemy się z relacji

Georga Papillaulta, francuskiego profesora antropologii, który dowodził ekshumacją. Polski przekład jego raportu opublikowano w 1928 roku razem ze zdjęciem czaszki.

WIESZCZ BEZ SIEKACZA

Jej pojemność wynosiła 1590 cm sześć., informował profesor. Ustalił to tradycyjną metodą Broca. Mówiąc wprost – wsypał do czaszki śrut i zmierzył jego objętość. Ponoć czaszka Słowackiego przewyższała objętością inne. Papillaut wierzył jeszcze w to, że „w ogóle pojemność czaszek ludzi wybitnych znacznie przewyższa średnią, a Słowacki stoi w ich rządzie”.

Francuski badacz nie pominął oczywiście zębów Słowackiego. Miał poeta „piękne i dobrze rozwinięte uzębienie”. Było to – co w tamtych czasach nie zdarzało się często – uzębienie „dobrze zachowane”. W żuchwie Słowackiego tkwiły wszystkie zęby. Gorzej było z zębami na górze. Tu

trup poety mógł się pochwalić jedynie dziewięcioma zdrowymi.

„Słowackiemu na pewno brakowało czterech zębów w górnej szczęce i były to: prawa dwójka, siekacz; prawa czwórka, przedtrzonowiec; lewa piątka, przedtrzonowiec; i lewa szóstka, trzonowiec. Prawdopodobnie brakowało mu jeszcze kolejnych trzech zębów: prawej piątki, przedtrzonowca; prawej szóstki, trzonowca; oraz lewej siódemki, trzonowca”, pisze Nikodem.

Zdaniem antropologa Juliana Talko-Hryncewicza w górnej szczęce widoczne były ślady chorób, a zęby Słowackiego „parę razy musiały być operacyjnie wyjmowane”. Ślady tych zabiegów zachowały się w korespondencji Słowackiego?

ZAKRĘCIŁ I ZŁAMAŁ

22 września 1833 roku Słowacki pisze do matki: „Jesień nadchodziła – lubię pasjami jesień, lepiej niż wszystkie pory roku – aż tu ból zębów napadł mię. Zęby chciały mię pozbawić wszelkiej przyjemności jesiennej... Jednego więc poranku wstałem rano o godzinie 7–mej i poszedłem do dentysty”. Działo się to w Genewie, w której poeta mieszkał od roku. Słowacki zdecydował się na gabinet doktora Chavanne. Okazało się, że do wyrwania był ząb trzonowy. Oprócz dentysty w operacji brała udział „służąca dla potrzymania głowy”.

Słowacki opisuje wyrywanie zęba jako brutalną operację. Chavanne najpierw „zakręcił” mu ząb i go... złamał. „Cóż teraz będzie?”, zapytał przyszły wieszcz. „Nic, weźmiemy go z korzenia” – Chavanne był nieporuszony. „Jakoż rozlamał mi dziąsła i ząb wydobył... zaledwo lekki krzyk wydałem podczas operacji...”, pisał dzielny pacjent Słowacki.

Wyrywanie zęba potraktował jako próbę charakteru. „Mamo! Jak się Julek odmienił – wszak pamiętasz, jak kiedyś płakał, kiedy mu zęby wyrywano, choć tyś mi, Matko, trzymała głowę (...)”.

Badacze twórczości Słowackiego ustalili, że pan Chavanne przyjmował w Genewie jako rue Cite nr 34. Co spowodowało, że poeta wybrał akurat ten gabinet? Nie był to najbliższy zakład. Ani o największej renomie. Zdaniem Krzysztofa Dąbrowskiego przedłużeniem ulicy Cite była Grand Rue, przy której mieściły się czytelnia i biblioteka, z których często korzystał poeta. Czyżby zatem Słowacki wstał wcześniej, by wyrwać zęba i nie stracić czasu potrzebnego na pracę?

Czy warto było wybrać akurat Chavanne’a? Niekoniecznie. W końcu dentysta podczas zabiegu najpierw zwyczajnie złamał poecie ząb, a „wzięcie go z korzenia” było próbą naprawy błędu. To musiało boleć.

„Ówczesne narzędzia dentystyczne były niezbyt wyrafinowane oraz nie stosowano jeszcze znieczulenia”, zauważa Michał Nikodem. Do narzędzi i technik jeszcze wrócimy.

MISTYK PISZE O ZĘBACH

Niecały rok później, w czerwcu 1834 roku, Słowacki znowu donosi matce, że jego życie jest całkiem znośne, a Bóg „odwraca ode mnie wszystkie choroby”. Poza jedną – bólem zębów, który jednak „dręczy mię – nie tak jednak, aby go wytrzymać nie można było”.

Chyba każdy z nas chciałby mieć tyle szczęście co Słowacki. Kolejna bowiem wzmianka o zębach pojawia się w jego listach dopiero 14 lat później.

„Droga Matko moja – pisze w 1848 roku z Paryża – zmieniła się moja natura – jako ciało ani z rozkoszy żadnej ucieszyć się nie mogę, ani mię boleść cielesna może udręczyć. Spróbowałem tego ostatniego niedawno rwaniem okropnym zęba. Uczy-

niłem to z zupełną obojętnością, a krzyczyć [sic!] mi się nie chciało, tylko dla ostrzeżenia dentysty z uśmiechem wewnętrznym [sic!] krzyknąłem, aby wiedział, że ciągnie”.

Czy Juliusz wciąż próbował udowodnić matce, że jest dzielny? Badacze przypominają, że już na początku lat 40. przeszedł „przełom mistyczny”. List do matki był zatem dowodem na to, że potrafi nie tylko dzielnie znieść cierpienie, ale też tak doskonale kontroluje swoje ciało, że doprowadził je do obojętności na ból. Michał Nikodem podejrzewa, że wizyta u dentysty była wręcz próbą oraz „duchową i fizyczną walką”. To „heroizm weryfikowany u stomatologa”.

Nic więcej o zębach Słowacki w listach nie napisał. Dysponujemy dowodem zaledwie dwóch ekstrakcji. Co z pozostałymi czterema? Jak zauważa badaczka Alina Kowalczykowa, korespondencja wieszczą w pewnym momencie przekształciła się w wykład idei, której postanowił się poświęcić, gdy „z dandysa przeobraził się w ascetę”. Nikodem trzeźwo zauważa, że od listów, których „głównym celem ma być przekazanie objawienia”, trudno oczekiwać opisów bólu zębów.

Mimo zaledwie trzech fragmentów poświęconych problemom z zębami autor „Balladyny” okazał się człowiekiem silnym duchem i odpornym na ból.

KORZEŃ MICKIEWICZA

Nie można tego powiedzieć o Mickiewiczu, którego listy są „dziennikiem boleści”, ze szczególnym uwzględnieniem bólu zębów.

Roman Koropeczyj, biograf wieszczą, zauważył, że „Mickiewicz nigdy nie lubił narzekać na nic oprócz zdrowia”.

W kwietniu 1820 roku prawie 22-letni poeta pisze – do nieznanego adresata – że jego „piersi mają się lepiej, chryпка ustaje, ale zęby, zęby! Przytomność traciłem, teraz nogi moczę. Warto żyć na świecie”. List ma wyraźnie ironiczne zabarwienie, ale jest pierwszym świadectwem problemów z zębami.

Czy moczenie nóg pomaga na chore zęby? Być może łagodziło cierpienie. Na krótko, bo już w maju – z Kowna – pisze Mickiewicza do swoich przyjaciół, członków Towarzystwa Filomatów, Jana Czeczota i Tomasza Zana: „Blisko tygodnia cierpiałem na ząb srodze, kilka bezsennych nocy i dni nieznośnych zmusiły mię do okropnej operacji wyrwania tego uprzykrzeńca. Aż mię dreszcz przechodzi, ilekroć wspomnę na owe łamanie i skrzypienie, i wleczenie dwucalowego korzenia, i płynienie krwi, itd. Działo się w sobotę, niedziela była dniem świętym. Zdrów wstałem (...)”.

Operacja była dla Mickiewicza ostatecznością. Nie ma się mu co dziwić.

Jeszcze do XVIII wieku „leczeniem” zębów i uśmierzaniem bólu zajmowali się wędrowni wyrywacze zębów. Nowoczesna dentystyka narodziła się zaledwie stulecie przed Słowackim.

Do zabiegów – jak podaje w swojej rozprawie doktorskiej Aleksandra Pakuła – wykorzystywano takie narzędzia jak: cęgi, lewarek, klucz angielski i wypychacz.

Pakuła zauważa, że dopiero w połowie XIX wieku zaprojektowano kleszcze dostosowane do anatomicznej budowy zęba. „Zakończenie dziobów pozwalało na wprowadzenie ich pod dziąsło, co w odróżnieniu od dotychczasowych narzędzi chroniło tkanki miękkie wokół zęba”, pisze

badaczka. Wcześniej zęby wyrywano często z fragmentami tkanki, co prowadziło do zakażeń i – nieraz śmiertelnych w skutkach – powikłań.

Ważnym elementem nauki o wyrywaniu zębów była umiejętność radzenia sobie z pacjentem omdlewającym. Pakuła: „Pacjenci mdleją najczęściej z powodu strachu przed zabiegiem usunięcia zęba. W takich przypadkach, gdy pacjent staje się błądy i jest bliski omdlenia, wskazane jest chwilowe przyjęcie przez pacjenta pozycji z głową między jego kolanami. Innym sposobem było stosowanie zimnej wody oraz zapachu amoniak”.

Narkozę przy operacji usunięciu zęba zastosowano po raz pierwszy w 1842 roku. Z tym, że fluor pomaga w zapobieganiu próchnicy, lekarze zgodzili się dopiero 30 lat później.

„Pacjent Mickiewicz siedział najprawdopodobniej na zwykłym kuchennym krześle wyposażonym w podglówek”, pisze Nikodem. Przypominające gotycki horror, opisane przez Mickiewicza łamanie, skrzypienie i płynienie krwi było zapewne reporterskim opisem ekstrakcji zęba. Nie we wszystko możemy mu jednak wierzyć.

Mickiewicz wspomniał o „dwucalowym korzeniu”. Tu jednak należy założyć, że mamy do czynienia z licentia poetica, taki korzeń musiałby mieć bowiem aż 5 cm, tymczasem najdłuższy korzeń – mowa o dolnym kle – ma około 2,8 cm.

TRZEBA ZNOWU RWAĆ

Już rok później Mickiewicz zaczął się uskarżać na ból zębów. W styczniu 1822 roku towarzyszący wieszczowi Czeczot pisze do ich wspólnego przyjaciela, poety Onufrego Pietraszkiewicza: „Ząb zawczoraj jeden wyrwał, ale mu drugi na to miejsce boleć dziś okrutnie zaczął. Trzeba znowu podobno rwać drugi”. Franciszkowi Małewskiemu donosił, że Mickiewicza „i to i owo boli, zęby wyrwya, a i to bieda”. Nic więc dziwnego, że sam poeta w liście do jednego z przyjaciół życzy mu: „zdrowych zębów i dobrego powodzenia”.

Pod koniec 1824 Mickiewicz dostaje nakaz wyjazdu z Polski. „Z korespondencji nie wynika jednak, ile zębów usunął Mickiewicz na Litwie”, pisze Nikodem. Problemy z uzębieniem nie opuszczają Mickiewicza także na obczyźnie.

Autor „Dentomachii” wynotowuje dzięsiaćki – dokonywanych przez samego poetę lub jego przyjaciół – wzmianek o bólach zębów wieszczą. Być może rzecz działa się nawet częściej, bo zapewne nie odnotował w listach każdego bólu zęba ani nie mówił o każdym swoim przyjaciółom.

GENIUSZ ZGRZYTA ZĘBAMI

Jedną z przypadłości, o której często wspomina Mickiewicz, jest bruksizm. Oczywiście nigdy nie użył tego słowa, ale wielokrotnie pisze o zgrzytaniu zębami.

„Powtarzalna aktywność mięśni szczęki, charakteryzująca się zaciskaniem zębów lub zgrzytaniem nimi”, tak bruksizm definiuje medycyna. Zgrzytamy przeważnie podczas w snu, choć bywają i tacy, co zgrzytają w dzień. Współcześnie bruksizm – przy prawidłowym uzębieniu – uważany jest za objaw psychosomatyczny. Zgrzytamy w wyniku stresu.

U Mickiewicza zębami zgrzyta choćby Tukaj, tytułowy bohater młodzieńczego wiersza. To autobiograficzny utwór w ironiczny sposób opisujący męki poety z pisaniem. Tukaj nad kartką papieru „westchnął, mruzczał, zębem zgrzytał,/ ręce na czoło zakłada”. Każdy, kto intensywnie zastanawiał się nad napisaniem kolejnego zdania, zna te gesty. Autor „Dentomachii” zauważa zaś, że mimowolne ruchy zuchwą, które mogą skutkować westchnieniem czy mruzczeniem, to częsty przejaw głębokiego namysłu. Co ciekawe, przed kilkoma laty ukazały się badania, w których udowodniono pozytywny wpływ żucia na procesy myślowe.

Najsłynniejsze zgrzytanie zębów pojawia się w Nowym Testamencie. W Ewangelii wg św. Mateusza czytamy, że „niepożytecznego sługę” należy wrzucić „do onych ciemności zewnętrznych, tam będzie płacz i zgrzytanie zębów” (korzystam z barwnego przekładu „Biblii Gdańskiej”). Stąd w kulturze przekonanie, że zgrzytanie zębami to cecha dusz skazanych na piekielne męki.

Jednak Mickiewicz wiedział, że nie tylko najgorsi grzesznicy zgrzytają zębami. W balladzie „To lubię” opowiedział o dziewczynie, którą porwał i „w czyśccowe [sic!] rzucił potoki” duch jej ukochanego Józia. Tam dziewczyna słyszy jęk i zgrzytanie zębów. „Mickiewicz przesuwą je zatem ze strefy wiecznego potępienia do strefy pośredniej”, pisze Nikodem.

Problemy ze zgrzytaniem zębami musiały być dla Mickiewicza przekleństwem. W „Panu Tadeuszu”, w słynnym „Epilogu”, pisze, że „kraj lat dziecinnych”, który „zawsze zostanie/ święty i czysty, jak pierwsze kochanie”, to kraj, w którym poeta nie tylko rzadko płakał, ale też „nigdy nie zgrzytał”.

TRIUMF NAD ZĘBAMI

Pod koniec czerwca 1890 roku odbyła się uroczysta ekshumacja zwłok Mickiewicza. Władysław Laskowicz, jej naoczny świadek, pisał, że – gdy otworzono wieko trumny – „ujrzano obuwie i odkryto czaszkę i tołup [sic!], ale tak pokryty przyklepioną trawą, że nie można było obejrzeć, w takim stanie jak najostrożniej przeniesiono do nowej metalowej trumny, przy podniesieniu usunęła się czaszka i odpadły trzewiki (...)”. Ciało włożono do nowej trumny, która po kilku dniach podróży dotarła do Krakowa.

Jak zauważa Nikodem, czaszka Mickiewicza nie została przez nikogo zbadana. Tym samym poeta odniósł nad zębami „triumf zza grobu”. W jaki sposób? „Podczas życia dotkliwie mu dokuczały, przyczyniły się do jego odejścia, po śmierci zaś zabrał je ze sobą i stał się duchem, wieszczem, który wszak – wystarczy spojrzeć na pomniki! – nie ma zębów”.

Każdy, kto przeczyta „Dentomachię” Michała Nikodema, będzie uważniej przyglądał się nie tylko dziełom naszych wieszczów. ●

Michał Nikodem
Dentomachia.
Adam Mickiewicz
i Juliusz Słowacki
u dentysty

Dentomachia.
Adam Mickiewicz
i Juliusz Słowacki u dentysty

Michał Nikodem
Słowo/ obraz terytoria, 2024

Wielkanoc 1945

Jedni **jeszcze walczą,**
inni już świętują

Ostatnie święta II wojny światowej rozpoczęły się 1 kwietnia.

Joanna Banaś

31 MARCA,
WIELKA SOBOTA
Warszawa

Wielkie wrażenie na warszawiakach robi grób Pański urządzonej w ruinach zwałonej nawy bocznej, na tle zerwanego sklepienia kościoła św. Krzyża przy Krakowskim Przedmieściu. Wykonała go Maria Czapska-Pajzderska, łączniczka w powstaniu warszawskim, po wojnie architektka.

Święcenie wielkanocnych pokarmów odbywa się też w ruinach kościoła św. Anny przy Krakowskim Przedmieściu, ale grób Pański znajduje się w jego niezniszczonej części.

Breslau

„Wielka Sobota zaczęła się niespodziewanie spokojnie” – notuje 42-letni Hans Hartung, żołnierz Luftwaffe, w cywilu dyrektor literacki teatrów. Kwitną forsycje, piekarnia z okolicy upiekła świąteczne ciasto z kruszonką. Idylla nie trwa długo.

Sowieci ogłaszają przez megafony, że w Wielkanoc miasto będzie bez przerwy atakować 750 bombowców.

„Pod wieczór wszystko się zmienia. Znienacka rozpętuje się huraganowy ogień, przy którym błędą wszelkie dotychczasowe doświadczenia. W powietrzu pojawiają się bombowce, z których nieustannie sypie się grad pocisków”, pisze Hartung w swoim dzienniku.

1 KWIETNIA, NIEDZIELA
WIELKANOCNA
Moskwa

Podczas odprawy marszałkowie ZSRR Georgij Żukow (dowódca armii I. Frontu Białoruskiego) i Iwan Koniew (I. Front Ukraiński) raportują Stalinowi o sytuacji. Do stolicy Niemiec bliżej ma Żukow, idący od północy, ale Stalin chce wykorzystać chęć rywalizacji między marszałkami i zarządza: „Kto się pierwszy wedrze, ten niech bierze Berlin”.

Cieśnina Tajwańska

Japoński statek pasażersko-transportowy Awa Maru idzie na dno storpedowany omyłkowo przez amerykański okręt

podwodny USS Greenfish. Na pokładzie giną 2003 osoby, poza załogą głównie japońscy kapitanowie statków handlowych, oficerowie marynarki, mechanicy, marynarze i urzędnicy państwowi ewakuowani z Singapuru. Katastrofę przeżył jedynie osobisty steward kapitana. Awa Maru miał zagwarantowane bezpieczne przepłynięcie jako statek pomocowy przewożący zaopatrzenie Czerwonego Krzyża do obozów jenieckich, jednak z powrotem wiozł także japońską kontrabandę.

Lublin

Teatr Domu Żołnierza, w którego repertuarze dominują rewie, wystawia premierową sztukę „Cegielka do cegielki” w reżyserii Bronisława Broka.

Nasielsk

Wczesnym rankiem na konnych wozach kilka rodzin z okolicy jedzie na mszę rezurekcyjną do kościoła. Na dzisiejszym skrzyżowaniu ul. Polskiej Organizacji Wojskowej i Granicznej w Nasielsku atakuje ich pijany radziecki czołgista. Zabija 10 osób, w tym dwoje dzieci, oraz ciężko rani kobietę, która umrze wkrótce potem. To nie jest nieszczęśliwy wypadek – ludzie, którzy próbują uciekać po polu, żołnierz goni i rozjeżdża.

Sopron

Armia Radziecka zdobywa to węgierskie miasto leżące na granicy z Austrią. 2. i 3. Front Białoruski idą na Wiedeń.

Okinawa

75 tys. żołnierzy amerykańskich ląduje rano w rejonie plaży Hagushi, by tego samego dnia utworzyć solidny przyczółek przy minimalnych stratach własnych. Później Japończycy bronili się jednak zaciekle przez niemal trzy miesiące, a bitwa o Okinawę uznawana jest za jedną z najkrwawszych w czasie II wojny światowej.

Wertheim

Miasto Wertheim (w połowie drogi między Frankfurtem a Norymbergą)



• **Kobiety sprzedające palmy wielkanocne na Krakowskim Przedmieściu**
FOT. PAP





• Grób Pański, autorstwa powstanki Marii Czapskiej-Pajzderskiej, w ruinach kościoła św. Krzyża w Warszawie
FOT. ARCHIWUM

zostaje pokojowo przekazane Amerykanom. Niemieccy żołnierze stacjonujący na zamku wywieszają białą flagę, którą jednak szybko zdejmują po naciskach miejscowego policjanta. Po podniesieniu jej po raz drugi, około godz. 16.45, Amerykanie wkraczą do miasta bez jednego wystrzału. O godz. 21 ogłaszają jego zdobycie. Mieszkańcy Wertheimu już wieczorem wracają do swoich domów.

Berlin

O godz. 20 radio nadaje apel do wszystkich Niemców o wstępowanie do Werwolfu, ruchu oporu inspirowanego powieścią Hermanna Lönsa „Der Wehrwolf” (Wilkołak) z 1910 roku. „Uderzaj we wroga, gdziekolwiek go spotkasz! Bądź przebiegły! Kradnij

broń, amunicję i racje żywnościowe!” – to niektóre wytyczne dla członków organizacji.

Kaunitz

Amerykanie zdobywają powiat Verl (Westfalia). Tego dnia nikt nie cieszy się bardziej niż 800 polskich, czeskich i węgierskich Żydówek, które amerykańscy żołnierze spotykają w okolicy miasteczka Kaunitz. Kobiety, były więźniarki KL Auschwitz, a potem robotnice przymusowe w Lippstadt, w marszu śmierci idą właśnie do KL Bergen-Belsen. Wbrew wytycznym amerykańscy żołnierze umieszczają uratowane więźniarki nie w obozach, ale w okolicznych domach.

Uczestniczki powstania warszawskiego, a teraz więźniarki obozu w Ravensbrück, na Wielkanoc dostają po dwa lub trzy kartofle w mundurkach i po łyżce drobnych rybek

Breslau

W Niedzielę Wielkanocną radzieckie bombowce zrzucają na miasto 5 tys. bomb burzących i zapalających. Bombowce nadlatują falami, każdy atak trwa od 45 do 60 minut. Komuniści z Breslau rozwieszają w mieście 125 białych flag. Jeśli nawet radzieccy lotnicy je dostrzegają, to na pewno ignorują.

Hartung: „Biegniemy pochyleni, z głowami wciśniętymi w ramiona, trzymając się przy ścianach budynków i co chwilę uskakując do piwnic. Po południu w schronie podpułkownik von B. parzy kawę według południowoamerykańskiego przepisu, jest też wielkanocny tort. Wielkanocną uroczystość w schronie rozświetlają bożonarodzeniowe świece”.

Ksiądz Paul Peikert idzie do swojego kościoła jeszcze przed świtem. Na spowiedź czekają obok jego parafian całe oddziały żołnierzy. Penitentów jest tylu, że msza zaplanowana na godz. 6 zaczyna się z opóźnieniem. Nie jest to jednak rezurekcja – trwałaby zbyt długo – ale zwykła msza, nawet bez procesji. To ostatnie nabożeństwo odprawione w kościele św. Maurycego.

Następną mszę ksiądz Peikert odprawia na prowizorycznym ołtarzu w schronie. Tuż przed jej rozpoczęciem w pobliżu wybucha pięć bomb, które niszczą sąsiednie budynki. Przy każdy wybuchu przewracają się lichtarze na ołtarzu, a wierni co chwila podrywają się do ucieczki.

W kościele św. Bonifacego mury też drżą, ale młody ksiądz odprawiający wielkanocną mszę nie traci zimnej

krwi. Chór też śpiewa cały czas, chociaż wierni krzyczą z przerażenia. Po mszy udaje im się przebiec na drugą stronę ulicy i ukryć.

Hartung: „Nie wszędzie mają świąteczny tort i ciasto, ale w niektórych miejscach gra muzyka z radia lub z gramofonu, jeśli pomimo bombardowania mają tam jeszcze prąd”.

Bombardowanie ustaje około godz. 17. Na wieczorną mszę do św. Maurycego nie przychodzi żaden parafianin, są tylko dwaj żołnierze.

Ogień szaleje – powstają tzw. burze ogniowe, gdy gorące powietrze unosi się do góry, a w jego miejsce wchodzi chłodne, bogate w tlen, podsycający płomienie.

Wieczorem miasto rozświetla luna. W piwnicy kościoła Bonifratrów wybucha panika: pod wpływem gryzącego smrodu spalenizny ludzie się tratują, wybiegają ze schronu prosto na ulicę trawioną ogniem. Ich ubrania płoną. Przerażeni próbują się gasić, rzucając się na ziemię.

Kraków

Premiera sztuki Jerzego Zawieyskiego „Mąż doskonały” Teatr Stary w Krakowie zaczyna powojenny etap działalności. Tego dnia na scenie jako Pasterz debiutował niespełna 18-letni były milicjant Tadeusz Łomnicki, słuchacz działającego przy teatrze Studia Teatralnego.

KL Ravensbrück

Uczestniczki powstania warszawskiego, a teraz więźniarki obozu, na Wielkanoc dostają po dwa lub trzy kartofle w mundurkach i po łyżce drobnych rybek.

Gdańsk

Po zajęciu miasta przez Sowieców resztki wojsk niemieckich opuszczają Westerplatte i drogą morską są ewakuowane na wschód, w rejon Sobieszewa i Mierzei Wiślanej oraz na Hel.

Warszawa

PLL „LOT” otwierają regularne połączenia lotnicze dla pasażerów i poczty. Odtąd od poniedziałku do soboty kursują samoloty z Warszawy do Łodzi, Krakowa, Rzeszowa i Lublina.

Hillersleben

Powstańcy warszawscy pracujący przymusowo w fabryce Leinz & Co w Niedzielę Wielkanocną mają się stawić na placu, gdzie leży w kawałkach rozebrany barak. Mają go złożyć.

2 KWIETNIA, PONIEDZIAŁEK WIELKANOCNY Hillersleben

Jeńcy z Warszawy dostają kolejny rozkaz: tym razem muszą rozebrać zbudowany dzień wcześniej barak i ułożyć jego elementy w miejscach, w których pierwotnie leżały.

Ocean Atlantycki

Na południowym zachodzie od Irlandii tonie niemiecki okręt podwodny U 321 zaatakowany sześcioma bomba-

mi głębinowymi przez polskiego pilota RAF-u z Dywizjonu 304.

Warszawa

Przy ul. Marszałkowskiej 56 otwiera się kino Polonia – pierwsze po wojnie w lewobrzeżnej Warszawie.

Graz

W amerykańskim bombardowaniu miasta ginie 95 osób.

Breslau

Hartung: „Tej nocy mieliśmy wrażenie, jakby całe Breslau stało w płomieniach. Przez okrągłą noc byliśmy zaangażowani do gaszenia pożarów, podczas gdy wokół bez przerwy śmigaly bomby. (...) Co jakiś czas, w długich odstępach, bije jakiś rozkołysany żarem ciężki dzwon. Wielkanocny dzwon w Breslau. (...) I oto piekło nieustannie szaleje przez cały drugi dzień świąt”.

Rankiem promienie słoneczne z trudem przebijają się przez wszechobecny dym. Bombardowanie zaczyna się o godz. 9, apogeum osiągnie wczesnym popołudniem. Na zabytkowym Ostrowie Tumskim płonie niemal wszystko, także katedra, oprócz sierocińca pw. Matki Boskiej Bolesnej, na którego dachu staje zakonnica z krucyfiksem modląca się o ocalenie.

Ognista wichura przez wybite szyby wtłacza do mieszkań iskry, żar i snopy ognia, powodując pożary we wnętrzach.

Cisza zapada około godz. 20. Dwie trzecie zabudowy miasta zostaje doszczętnie zniszczone.

Paryż

Generał de Gaulle na Place de la Concorde w obecności ogromnego tłumu wręcza Krzyż Wyzwolenia miastu Paryż. Nowo sformowane pulki armii francuskiej otrzymują z jego rąk flagi i sztandary.

PO ŚWIĘTACH Merkers

Minister propagandy Joseph Goebbels nie napisał o świętach w 1945 roku ani słowa w swoim dzienniku. Ale 9 kwietnia odnotował, że dzień wcześniej rezerwy złota Rzeszy wpadły w ręce Amerykanów w kopalni Kaiseroda w Merkers w Turynii. „Dowiaduję się po zasięgnięciu języka na kolei Rzeszy, że wprawdzie wydano dość luźne zarządzenia, aby przetransportować do Berlina [wywiezione na prowincję] przede wszystkim złoto i zabytki kultury, ale – co charakterystyczne – przeszkodziły w tym Święta Wielkanocne. Człowiek może sobie wyrwać wszystkie włosy z głowy, kiedy sobie wyobrazi, że kolej urzęda Święta wielkanocne, a tymczasem cały nasz zapas złota staje się lupem nieprzyjaciela”. ●

Korzystałam m.in. z: Hugo Hartung, „Śląsk 1944/45. Zapiski i pamiętniki”, Richard Hargreaves, „Ostatnia twierdza Hitlera. Breslau 1945”, Antony Beevor, „Berlin. Upadek 1945”, Michał Tomasz Wójciuk, „Powstańcza Wielkanoc 1945” (1944.pl)



Cwierć tysiąclecia temu z okładem, dokładnie lat 255 niejaki James Hicks (pojawia się też wersja nazwiska zapisywana Hickes), porucznik Royal Navy, brytyjskiej marynarki wojennej, dostrzegł wczesnym rankiem z pokładu żaglowca „Endeavour” zarysy lądu. Dowodzący jednostką porucznik James Cook od razu uznał, że oto podróżnicy mają przed sobą wschodnie wybrzeża Nowej Holandii – ziem odkrytych przez Holendrów. Ówczesną nazwę zawdzięczały one jednemu z nich, żeglarzowi Abelowi Tasmanowi.

Z tym że nikt jeszcze przed Cookiem – oczywiście licząc Europejczyków - nie dotarł do wschodnich wybrzeży tegoż lądu. Miejsce, które dostrzegł jego podkomendny, James Cook sprawiedliwie nazwał Point Hicks. Dziś stoi tam latarnia morska, wzniesiona pod koniec XIX wieku, choć najprawdopodobniej punkt, który miał dostrzec Hicks nie jest tym, który figuruje dziś na mapach pod tą nazwą.

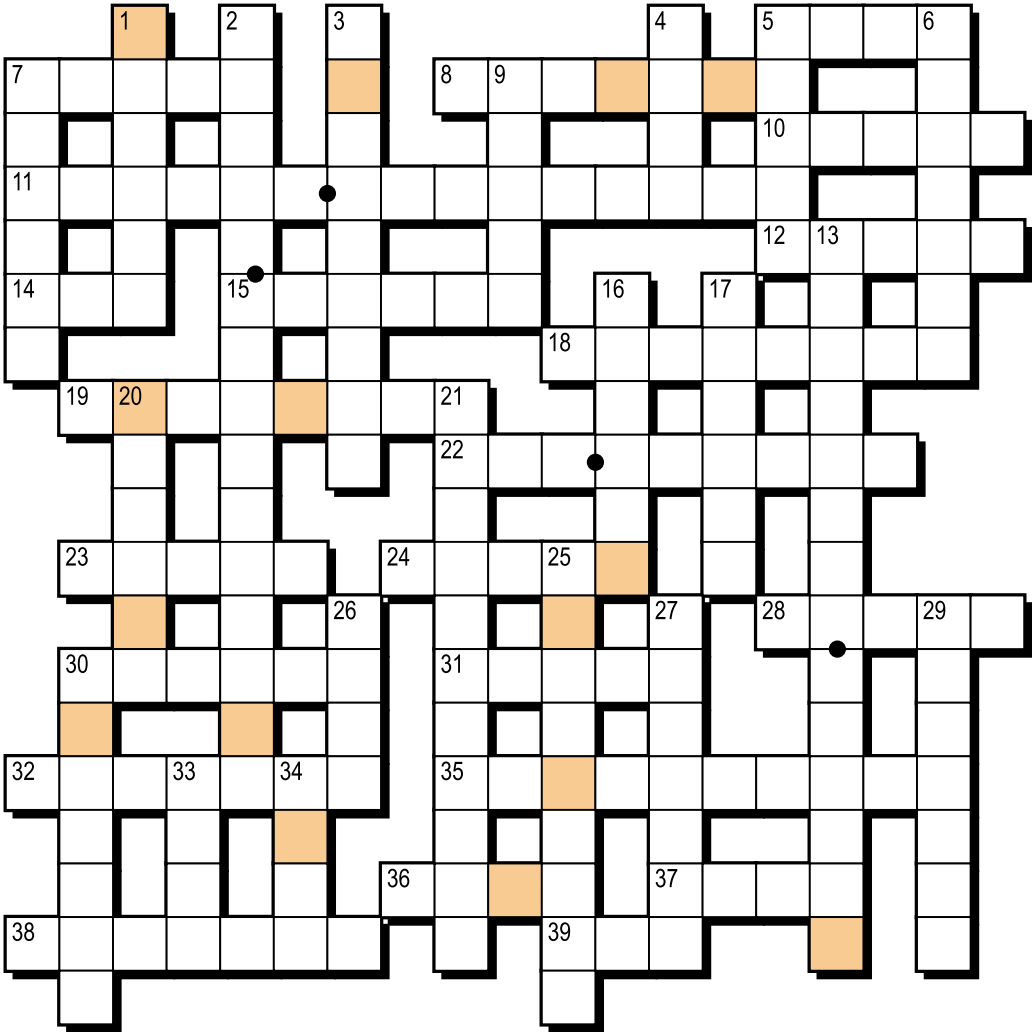
Hicks był też pierwszym Europejczykiem, który zetknął się z rdzennymi mieszkańcami kontynentu, Aborygenami. On to dowodził bowiem załogą wysłaną na ląd w celu uzupełnienia zapasów wody i drewna, po tym, jak „Endeavour” zakotwiczył w Zatoce Botanicznej.

Cook pożegłował na północ, wzdłuż wybrzeża, dotarł m.in. do Wielkiej Rafy Koralowej, a gdy wylądował na Wyspie Possession, objął w imieniu króla Jerzego III nowoodkryte ziemie we władanie brytyjskie. I nadał im nazwę Nowa Południowa Walia. Dziś nazwa ta oznacza tylko jedną z australijskich prowincji. Australia, określenie powstałe od Terra Australis Incognita (nieznany południowy ląd), jak zwano mityczny przez dłuższy czas Ląd Południowy, spopularyzował jeszcze ktoś inny. Angielski odkrywca Matthew Flanders, żyjący na przełomie XVIII i XIX wieku (urodził się w 1774 r., pięć lat przed śmiercią Cooka), dla którego „Australia” brzmiała bardziej przyswajalnie dla ucha niż „Terra Australis”.

Sam Hicks, którego imię nosi też zatoka w Nowej Zelandii, zmarł nieco ponad rok od dostrzeżenia australijskiego lądu, w 1771 r., jeszcze przed powrotem „Endeavoura” do Anglii. Miał marynarski pogrzeb – ciało oddano morzu, dokładniej – wodom Oceanu Atlantyckiego u wybrzeży Św. Heleny. Tej samej, na której później odda ducha Napoleon Bonaparte.

I wszystko jest już jasne – dzisiejszą „Weekendówkę” poświęcimy zatem Australii, krainie kangurów położonej na końcu świata. W drogę!

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki”
nr 150 z 12.04

Poziomo:

- 4) Abelard 8) Nietzsche
11) tomista 13) kosmogonia 14) dialektyk 16) dogmaty
18) przemyslenia 22) bakonizm
23) Blaise 24) Morus 25) rozum
27) Comte 29) Anzelm
30) nakaz 31) Leszek 33) dewiza
35) Marek 36) mistyk 37) Ernst
38) Niderlandy

Pionowo:

- 1) filozof na tronie 2) szkoła
3) uczony 5) byt 6) lampa
7) Russell 9) Epikur 10) Martin 12) Sokrates 15) Immanuel Kant 17) taoizm 19) Zenon z Kition
20) Erasm 21) poszukiwanie 26) Tales 28) Efez 31) Locke
32) Simone 34) Hegel

HASŁO:
IDEE PLATONA

KRZYŻÓWKA AUSTRALIJSKA

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, tworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 5) Peter, reżyser filmu „Piknik pod Wiszącą Skatą”
7) monolit Uluru, zwany także Ayers Rock
8) Canberra
10) The ..., siedziba australijskiego premiera w Canberze
11) torbacz występujący na wyspie z miastem Hobart
12) Chris Hemsworth, Hugh Jackman lub Russel Crowe
14) australijski niełot
15) skoczy Aborygenowi po zakupy?
18) startują z Tullamarine
19) bumerangiem lub palenia

- 22) zagrał w filmach „Mad Max”, „Zabójcza broń”, „Okup”
23) waluta Australii
24) ... Smith, postać z cyklu filmowego „Matrix”, w którą wcielił się australijski aktor Hugo Weaving
28) Australii – z Union Jackiem
30) Brisbane, Melbourne, Adelaide i Perth
31) najstynniejszy gmach 7 pionowo
32) byli głównymi kolonizatorami Australii
35) rdzenna mieszkanka kontynentu australijskiego
36) jednostki długości dłuższe niż kilometry (dawniej obowiązywały w Australii)
37) jezioro – najniższe położone miejsce Australii
38) najwyższy ... w Australii to Q1 Tower w Gold Coast

- 39) skojarz: 1770, James Cook, odkrycie

Pionowo:

- 1) papuga występująca w Australii
2) polski poeta i pieśniarz, który w 1995 r. zamieszkał w Australii
3) ... australijski (część świata)
4) dingo
5) Nowa Południowa ..., stan sąsiadujący z m.in. z Queensland
6) duże części Australii, takie jak Tasmania i Wiktorja
7) największe miasto Australii i Oceanii
9) jedno z mórz opływających Australię od północy
13) film, który przyniósł sławę Paulowi Hoganowi
16) imię...
17) ...i nazwisko australijskiej aktorki znanej z filmów „Barbie”, „Wilk z Wall Street”

- 20) Karpentaria i Józefa Bonapartego (wpisujemy w liczbie mnogiej)
21) wyjeżdżanie na stałe np. do Australii
25) ssak taki jak dusznik australijski
26) świecące ... na drogach, testowane m.in. w Australii
27) byłe więzienie we Fremantle lub archikatedra w Adelaide
29) białe – na fladze Australii
30) Kylie, gwiazda muzyki pop
33) pokrywają ok. 17% powierzchni kontynentu australijskiego
34) Nick, australijski piosenkarz („Wild God”, „Murder Ballads”)

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



Kraj/34354617